

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Józef Ignacy KRASZEWSKI

LALKI

Sceny przedślubne

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*Inter calicem et os multa cadunt*¹

Przysłowie

Dworek szlachecki w Uściu nad Bugiem, własność pana chorążego Zachariasza Zebrzydowskiego, śmiało się mógł liczyć do najpiękniejszych wzorów siedzib starych, przy prostocie dawnej pełnych wdzięku niewyszukanego, naturalnego, chociaż się tu żadne nowsze pojęcie warunków piękności i dobrego smaku ani przyozdabiania siedlisk wiejskich nie wcisnęło. Sam dom stał pewnie od półtora wieku nie tknięty, ale go pierwszy właściciel z takim staraniem o trwałość budował, z takim materiałów doborem i obrachunkiem, że na nim przeżytych lat wcale znać nie było, oprócz że miał wybitniejszy charakter stary, którego żadne naśladowanie nie nadaje.

Wzniesiony na podmurowaniu, ze swym dachem ogromnym, gankiem poważnym i rzeźbami drewnianymi u słupów, lepiej się wydawał od niejednego pałacu.

Za tło służył mu sad i drzewa rozrosłe, a jak kokosz pod skrzydły tulić się zdawały porządnie rozłożone dokoła budowle gospodarskie. Wioseczka należąca do Uścia była niewielka, ale i na niej też gospodarza dobrego i troskliwego o byt włościan poznać było łatwo.

Śmiało się tu jakoś wszystko uśmiechem powagi, uroczystości jakiejś pełnym, rzekłbyś, pobożnym i uświęconym. Nie inaczej by pewnie wyglądał dwór szlachcica w *Panu Podstolim*² Krasickiego. I patrząc na Uście z dala, każdy doznawał tego wrażenia, jakie wywiera widok miły spokojnego, cichego szczęścia.

Domyślać się go miał każdy prawo – a jednak w chwili gdy na próg domu tego wchodzimy, daleko było w nim od tego, co się na ziemi szczęściem zowie.

W pierwszym pokoju, ze staroświecka i bardzo po prostu przybranym, mężczyzna już niemłody, średniego wzrostu, siwy, w długiej szaraczkowej kapocie³, siedział u okna z rękami złożonymi i niby oryginał staruszka Wańkowicza⁴, tego pięknego obrazu ukradzionego z przeszłości. Ale na czole jego nie było tego spokoju i rezygnacji, jakie opromieniają twarz malowanego starca. Wojna powlokła je zmarszczkami, w ustach czuć było niemy ból.

Wieczór późnej jesieni z wolna zmrokiem okrywał okolicę – przez okna wpadały jeszcze reszty pomarańczowego światła z zachodu. Ogród otaczający dwór cały stał w złocistych i purpurowych barwach jesieni, a część jego już z

¹ *I n t e r c a l i c e m e t o s m u l t a c a d u e t* (łac.) - Między ustami a brzegiem pucharu wiele się zdarza

² *P a n P o d s t o l i* Krasickiego - powieść Ignacego Krasickiego ogłoszona w latach 1778, 1784 i 1803, w której autor zawarł panoramiczny przegląd spraw aktualnych, religijnych, społecznych i obyczajowych ówczesnej Polski

³ *s z a r a c z k o w a k a p o t a* - kapota zrobiona z szaraczka, tkaniny (zwykle samodziałowego sukna) z nitki czarnej i białej

⁴ *W a ń k o w i c z W a l e n t y* (1800 - 1842) - malarz polski, twórca wielu kopii obrazów religijnych i portrecista. Najbardziej znany jest jego *Mickiewicz na Judahu skale*

liści była огоłociona. Przez na wpeł otwarte okno przewiewało ciepłe jeszcze pięknego wieczora po dniu wyjątkowo gorącym powietrze. Starzec patrzył zadumany na niebo i drzewa, jakby nie chciał widzieć i nierad był słyszeć kobiety stojącej opodal przy kaflowym piecu, z założonymi rękami, widocznie toczącej z nim o coś walkę.

Postać kobieca równie była niepospolitą jak ów starzec, któremu towarzyszyła. Znacznie młodsza od niego, równie słusznego wzrostu i silnej, pięknych jeszcze kształtów budowy kobieta nosiła na twarzy ślady niepospolitej, zachowanej starannie piękności. Ubiór jej nie był wykwintny, ale niezmiernie czysty i smakowny. Ciemnych włosów, czarnych oczu wypukłych, biała i rumiana, z małymi ściągniętymi ustami, pani chorążyna była jedną z tych piękności bez wyrazu, które zdziwić mogą, ale nie pociągają ku sobie. Na chłodnej tej, marmurowej fizjognomii nie malowało się nic prócz żelaznej woli, nienawykłej do uginania się w najcięższej walce. Oczy błyszczały czasem przerażająco despotycznie.

Staruszek, nawykły znać nie od dziś do wojowania z żoną, siedział, jakby na teraz odmawiając jej walki, co widocznie panią gniewało. Milczał posępnie albo nie odpowiadając jej, lub słowem szczerym starał się zamknąć nieprzyjemną rozmowę.

– Powiadam ci – szybko i głośno wołała pani chorążyna – że nic mnie więcej oburzać nie może nad twoje postępowanie. Zgodziłeś się na wszystko, powinieneś być szczęśliwym losem dziecięcia, a przecież się trapisz, jakby go największa spotkała niedola. A to tylko rano i wieczór Panu Bogu dziękować.

– Jam nawykł, moja jejmość, moja Anno – rzekł po cichu chorąży ciągle patrząc w ogród – za wszystko, co mnie spotka, dziękować Bogu, dziękuję i za to, co się stało, ale nie każ mi być szczęśliwym z tego, co jeszcze różnie wypaść może...

– Jak to „różnie”? jak to! – podchwyciła stojąca pod piecem kobieta zżyjąc ramionami. – A więc wołałbyś, aby twój kochany, jedyny syn, skończywszy jakieś tam szkoły z ekonomskimi synami razem, wrócił do Uścia hreczkę siać całe życie i, jak my, zakopany w kącie siedzieć?

– Moja kochana Anno – odparł spokojnie chorąży – wierzaj mi, wierzaj, że niekoniecznie tam szczęście mieszka, gdzie go ludzie szukają. A byłoby to tak bardzo złym dla naszego dziecięcia, gdybyśmy je przy sobie mieli, gdybyśmy z nim razem żyć mogli, gdyby się nauczyło pracować na małym, na małym przestawać i w ciszy Boga chwalić?

– Nie masz najmniejszej ambicji! – zawołała kobieta.

– Nigdy jej nie miałem – rzekł stary.

– Wolno jegomości dla siebie jej nie mieć, ale dla dziecka – odpowiedziała kobieta – dla dziedzica tak wielkiego imienia...

Staruszek się dziwnie uśmiechnął.

– Moja kochana Anno – rzekł – wiele to ja razy powtarzałem ci, że ja w to nasze wielkie imię nie wierzę. Szlachta jesteśmy jak i drudzy, i po wszystkim.

– Co? Zebrzydowscy!!! – przerwała, ręce łamiąc, kobieta.

– Ale, dalipan, wielce wątpię – śmiejąc się dodał stary – wielce wątpię, a raczej pewny jestem, że my od owych wichrzycieli⁵ sławnych wcale nie po-

⁵ w i c h r z y c i e l e - Mikołaj Zebrzydowski (1553 - 1620), wojewoda krakowski, w okresie bezkrólewia poparł Zygmunta III Wazę, następnie prze-

chodzimy, to imaginacja pana brata Filipa, któremu się galicyjskiego hrabstwa⁶ chciało i który papiery te nie wiem skąd powydobywał...

– A już ciż ich nie pofalszował! – krzyknęła oburzona chorażyna.

Stary uśmiechał się ciągle.

– Moja jejmość – odezwał się – gdy mu się tej prozapii⁷ tak bardzo zachciało, a skinał tylko na gryzpiórków, nie potrzebował ich fałszować, wywiedliby go od króla Dawida⁸, gdyby był tego sobie życzył. Ale dosyć już tego, dalipan, dosyć...

– Ano, nie i nie – oparła się jejmość – raz trzeba się o tym rozmówić jak należy, żeby to już nie powracało. Ja jestem z domu Babska i tylko prosta szlachcianka, a więcej mam ambicji od jegomości, coś się Zebrzydowskim urodził. Widziałeś jegomość sam papiery, a hrabstwa nie chciałeś i z kąta wyleźć swego nie potrafiłeś.

– Daj mi asińdzka pokój – rzekł stanowczo stary, acz zawsze łagodnie – odmienić mnie nie potrafisz, przekonań nie zmienię. Kontentuj się tym, iż na twe prośby niemal się syna wyrzekłem, żem go oddał, aby z niego robił pan Filip, co mu się zamarzy... że z niego lalkę i panicza wystroi i że ja na starość pociechy z dziecka mieć nie będę... At, dosyć!

– Ale, mój Zachariaszu – trochę łagodniejąc poczęła nie ustępująca kobieta – ja ciebie nie rozumiem. Dziecku się krzywda nie stała, syn nasz ma przed sobą otwarte wszystko... dziedziczy po stryju miliony.

– Już nie mówmy, jak zrobione, choć to brat rodzony – rzekł stary – ale nie doszedłby do nich przecie, gdyby on jak ja na grzędzie gospodarzył.

– Miał więcej sprytu i odwagi niż ty, mój Zachariaszu – odezwała się jejmość – ot i po wszystkim. Nikt mu przecie nic zadać nie może. Ludzie zapobiegliwością majątki robią, jegomość, nie wymawiając, mawiałeś: Maciek zrobił, Maciek zjadł, toteż jakeśmy w Uściu siedli, tak siedzimy.

– Nie możesz się asińdzka skarżyć, aby ci na czym zbywało – odparł stary – posag nie uszczerbiony, ojcowizna twoja cała, coś się i uciulanego znajdzie.

Krótkie milczenie żony dowiodło, że się przed dalszymi wymówkami roztropnie cofnęła. Zmieniła rozmowę, ale jej przerwać nie chciała mimo znaczącego westchnienia pana chorażego.

– Mnie o to nie idzie – odezwała się – co ja mam lub my mamy chciałabym widzieć cię szczęśliwym, tak jak sama się czuję, i to mnie gnębi iż w jegomości tego przekonania wlać nie mogę.

Stary odwrócił się nareszcie od okna, spojrzał na żonę, ręce na kolanach położył i wolnym głosem poważnie mówić zaczął:

– Nigdy o sercu twym nie wątpił, moja Anno, inaczej przecież rzeczy widzę i czuję niż ty. Kobieta, dałaś się uwieść błyskotkom, ja, mężczyzna, sto-

szedł do opozycji, atakując politykę króla; uchodził za przywódcę rokoszu Zebrzydowskiego.

⁶ g a l i c y j s k i e h r a b s t w o - W Galicji „świeżo spanoszeni” właściciele ziemscy kupowali od rządu austriackiego tytuły hrabiowskie (Fredrowie, Krasicy i in.), dodając do herbów po 7 lub 9 gałek (pałek), które Kraszewski nazywa perłami.

⁷ p r o z a p i a (łac.) - ród, przodkowie

⁸ k r ó l D a w i d (zm. ok. 972 p.n.e.) - drugi król izraelski od około 1012, syn Izaja (Jesse) z pokolenia Judy

kroć winniejszy jestem, iż uległem napaści brata i twojej. Rekapitulujmy, moja jejmość, jak to było, i niech mnie, kto chce, sądzi, czy słuszności nie mam. Przypomnij sobie przeszłość. Po ojcu zostało nam dwa folwarki niewielkie, jam na moim pozostał, po staremu gospodarząc, pan brat, swój sprzedawszy, poszedł szczęścia szukać za kordonem⁹. Długośmy o nim ani wieści, ani słyhu nie mieli. W ciężkich czasach nie zgłaszał się do nas, nic nie pomyślał o bracie. Ledwie przez obcych i wypadkiem dowiadywałem się o niesłychanych powodzeniach pana Filipa, co mnie wcale ku niemu nie ciągnęło. Urósł tak z dzierżawcy na dziedzica, a z jednej wsi dorobił się klucza¹⁰ i dóbr, i majątności znacznych. Naraz słyszemy o hrabi Zebrzydowskim. Śmiać mi się chciało. Żenił się, wdowiał, robił majątek, a o nas nie pytał. Było tak przed ożenieniem z jejmością, było i potem, gdy nam Bóg syna dał. Aż jednego poranka przed nasz szlachecki dworek w Uściu zachodzi landara¹¹, a z niej wysiada łysy i stary ten, któregośm znał młodym i rumianym, sfrancuziały półpanek.

– Całą gębą pan – wtrąciła jejmość.

– Niech i tak będzie – mówił dalej stary. – Pan, bo się tu wkradł, kryjąc niemal z braterstwem, kryjąc z sobą, wstydząc szlachetki, którego się rodzonym musiał nazywać... I po cóż przybył, po co? aby, nie mając dziecka, syna przybrać naszego. Można by w istocie Panu Bogu za to dziękować, gdyby nie warunki.

– Cóż za straszne warunki? ja, matka, co przecież kochać muszę dziecko moje, nie skarzę się na nie.

– Bo ci głowę państwo i hrabstwo to, z pozwoleniem głupie, zawróciło – mówił chorąży – lecz warunki to były i są niemal bezbożne, nieludzkie prawie. Wydarł mi dziecko, kazał mu się niemal zaprzeć ojca. Pamiętasz asińdzka, iż żądał od nas słowa, że się u niego nigdy w Pruhowie nie pokażemy. Boże odpuść, podobno tam w Galicji puścił baka, że ojciec hrabiego Romana nie żyje, wielkie dobra strwoniwszy.

Dziwnie śmiać się począł stary.

– No i cóż? zmarnowałże ci syna? – zaczęła gorączkowo chorążyna – albo mu zabronił się tu pokazywać? Alboś nie widział i nie ocenił, co z niego za śliczne, miłe, delikatne paniątko zrobił?

– A śliczne! śliczne! – przerwał chorąży – lalka, istotnie lalka... Na woskowanej posadzce ją postawić i uperfumowaną admirować, ale czy to mąż, czy to mężczyzna, czy to człek zbrojny na losu wypadki? – Ręką machnął w powietrze. – Boże odpuść! lalka! lalka!

– Tego nie możesz powiedzieć, aby mu serce popsuli i wysuszili – żywo zaczęła matka – ile razy był u nas, widziałeś, z jakim poszanowaniem, z jaką miłością przybywał.

Westchnął pan chorąży i wstał... łzę kręcącą się w oku otarł i nie odpowiedział nic.

⁹ z a k o r d o n e m - tu: w Galicji; kordonami nazywano granice zaborów: austriackiego, pruskiego i rosyjskiego

¹⁰ k l u c z - tu: zespół majątków ziemskich, wsi

¹¹ l a n d a r a (niem.) - ciężka, zwykle czteroosobowa karetka podróżna

- Moja Anno - odezwał się łagodniej - chcesz szczęścia i spokoju mojego, proszę cię, błagam, nie poruszaj nigdy tej kwestii. Męczysz mnie i siebie nadaremnie. Co się stało, odstać się nie może, oddałem dziecię dla jego szczęścia niby... nie mam syna... nie zakrwawiaj mi serca, tobie starczy jego los świetny, mnie on napęlnia strachem i zgryzotą. Dość tego.

Domawiając tych wyrazów i już nie czekając na odpowiedź żadną, chorąży ruszył się ku drzwiom i chcąc dalsze przeciągnięcie rozmowy uczynić niemożliwym, wyszedł na ganek.

Jejmość popatrzyła za nim długo, chwyciła kluczyki i jakby chcąc odzyskać czas stracony, wybiegła także w drzwi drugie.

Stary stanął w ganku... oczy z początku bezmyślnie toczyły się dokoła, lecz wkrótce, jakby sobie gwałt zadając, zobaczywszy starego gumienego¹², przywołał go ku sobie gospodarz i wypytywać począł o dzień upłyniony.

Stadnina powracała z paszy mimo wrót dworu, siewacze, którzy ostatki oziminy dokończyli, szli pozdrawiając starego, pługi i radła¹³ ciągnęły z pola do wsi.

Było więc o czym mówić i radzić na dzień następny - najmniejszy szczegół nie uszedł bacności chorążego, który długo na podwórzu z gumiennym się zatrzymał. Szary mrok zastąpił wieczór malowany jaskrawo. Na niebiosach płowe światło poprzerzynane ołowianymi obłokami co chwila przygasało, z przeciwnej strony mżyły już na firmamencie gwiazdeczki. Zajęty rozmową i rozporządzeniami roboty na dzień następny, chorąży czymś jednak niepokoiony był widocznie. Odwracał się za każdym odgłosem z dala usłyszanym, poglądał na drogę wiodącą ku lasowi, niepokój ten rósł z każdą chwilą.

Na dworze też jakieś niezwykle widać było przygotowania i krzątanie się służby niecodzienne. Chorążyna kilka razy wybiegała na ganek, przywołując niecierpliwie kobiety z bliskiej oficyny, nagłać o pośpiech i coraz nowych gnając posłańców ze dworu, którzy powracali, przynosząc rozmaite z kuchni przybory do wieczerzy.

Mrok padał już coraz gęstszy i przez szyby dworku widać było rześisto oświetlony pokój bawialny, gdy chorążyna, którą zbyt długie zatrzymanie się męża z gumiennym zdawało jej niecierpliwą, wyszła przywołując go ku sobie.

- Co jegomość myślisz? - spytała - wszakże wyraźnie dał znać, że dzisiaj będzie. Może jaki w drodze wypadek. Na Uściług¹⁴ jechać musi, tam poczty¹⁵ ani koni nigdy w porę dostać nie można, może, drogi są szkaradne, posłać by konnego, aby przeprowadził?

- Po co? - zapytał chorąży - swoimi końmi nie jedzie, pocztowe weźmie, a pocztylionowie tak dobrze znają okolicę jak nasi ludzie.

- Ale się na dziś zapowiedział - dodała matka - cóż to może być?

¹² g u m i e n n y - człowiek mający nadzór nad gumnem - podwórzem gospodarskim wraz z budynkami gospodarskimi

¹³ r a d ł o - drewniany, prymitywny pług

¹⁴ U ś c i ł u g - miasteczko przy ujściu rzeki Ług do Bugu, w dawnym powiecie włodzimierskim; dziś w ZSRR

¹⁵ p o c z t a - w XVIII w. poczta utrzymywała konie i pojazdy dla przewożenia podróżnych i przesyłek, tu: pojazd należący do tej instytucji

– Nie wiem i sam niespokojny jestem – rzekł stary nie kryjąc wzruszenia – a cóż pomoże posłaniec? Mogło go co powstrzymać.

Chorażyna ramionami ruszyła.

– Otóż widzisz, jak by się był przydał kaganiec¹⁶, gdyby był w domu – odparła – ale ty zawsze się sprzeciwiał zaprowadzeniu go, pod pozorem, że to pańska rzecz.

– Gdzież ci to asińdzka widziała szlachcica na jednej małej wioszczynie paradującego z jezdnyimi i kagańcami?

Nie domówił jeszcze, gdy na gościńcu od lasu, w wielkim oddaleniu, usłyszano dzwonki pocztowe. Oboje chorąstwo zamilkli. Stary pobladł i wszedł powoli w ganek.

– Choć kapotę byś nową włożył – odezwała się żona.

– Po co? do syna? – odparł dziwnym głosem stary – a niech się nauczy widzieć mnie, jakim jestem w życiu powszednim.

– Ale ludzie, co z nim przyjadą...

– Asińdzka przecie wiesz, że ludzi nigdy hrabia Filip nie daje, aby z sekretu nie wydali, że ma takiego niepozornego ojca.

Uśmiech pełen gorzkości towarzyszył tym wyrazom.

Dzwonki coraz się głośniejszy odzywały na gościńcu, nie było już wątpliwości, że ktoś się zbliżał ku dworowi, a dla obojga chorążych nie mógł to już być kto inny, tylko syn oczekiwany. Coraz niecierpliwsza pani, nim się ukazał powóz, postąpiła chłopcami, ażeby wrota otworzył.

W mroku niewiele dostrzec było można. Coś ciemnego zbliżało się groblą ku dworowi i dzwonek poświadczał, że to był powóz pocztowymi końmi zaprzężony, gościniec nie prowadził nigdzie dalej – nie ulegało też wątpliwości, iż ktoś się zbliżał do dworu. Chłopcy szeroko już zawczasu otworzyli wrota, klaskanie z bata dało się słyszeć i kocz¹⁷, czterema pocztowymi chabetami ziejącymi parą, która z nich buchająca, zaprzężony – w galop zatoczył się przed ganek, zajmując znaczną część szczupłego podwórza.

Wszystko, co żyło we dworze, w oficynie, na folwarku, albo wybiegło na dziedziniec, lub przez okna się przypatrywało. Na płotach widać było poprzewieszanych chłopców i czeladź stojącą.

W chwili gdy kocz zajeżdżał, służąca wybiegła ze dworu ze światłem, osłaniając je ręką od wieczornego wiatru. Z powozu, nie czekając na otwarcie go, wyskakiwał już młody, dwudziestoletni chłopiec, bardzo wytwornie ubrany, w lakierowanych bucikach, obcisłych rękawiczkach, tużurku¹⁸ czarnym, który spod zrzuconego na pół płaszcza wyglądał, w kapelusiku okrągłym, z nieposzlakowanymi kołnierzykami białymi obciskającymi mu szyję.

Widząc go w uścisku milczących rodziców, którzy obok eleganta wyglądali oboje tak skromnie i niewytwornie, trudno się było domyślić w nim syna, chociaż piękną twarzą rysy matki przypominał. Jak przepowiedział chorąży, młody hrabia Roman nie miał z sobą nikogo ze służby. Staremu więc

¹⁶ k a g a n i e c - tu: koszyk żelazny albo garnek z palącym się wewnątrz ogniem, umocowany na tyczce, używany do oświetlenia

¹⁷ k o c z (węg.) - półkryty, zwykle elegancki powóz dwu-, cztero- lub sześciokonny

¹⁸ t u ż u r e k (fr.) - dwurzędowy, długi surdut męski, używany także jako strój wizytowy

siwemu półsłudze, półgumiennemu zlecono wypakowanie powozu, a matka, nie puszczając syna, w którym oczy rozognione utopiła, prowadziła go do pokoju, za idącym wprzód chorążym.

Tu przez czas niebytności jego zmieniło się wielce, bo stół był z wyraźnym wyszukaniem nakryty i światło na kominku, przy herbacie, na drugim stoliku u okna nad potrzebę zostało wyszafowane. Co tylko dom miał najparadniejszego, występowało, aby przed dzieckiem nawykłym do zbytków i wytworności pokryć ubóstwo istotne chorąstwa. Zmarszczył się nieco, widząc to, pan Zachariasz, ale widok syna go zajmował tak bardzo, że o wszystkim na chwilę zapomniał. Hrabia Roman wyglądał rzeczywiście na prawdziwe hrabiątko: z wypieszczoną twarzą, ruchami pełnymi wyszukanego jakiegoś wdzięku, obejściem się ceremonialnym i zapożyczonym. Znać było po nim, że się tu czuł nie w swoim żywiole. Matka, zobaczywszy go przy świetle, zaczęła ścisnąć na nowo, ojciec stał z wlepionymi w niego oczyma, milczący. Na kilka zapytań pierwszych tyczących podróży nieśmiało odpowiedział Roman i zdawał potrzebować odejść z wzruszenia. Matka chciała go zaraz posadzić przy herbacie, spojrział trwożnie na ojca.

– Siadaj, acan! – rzekł chorąży.

Nie kleiła się rozmowa jakoś. Z przerywanego francuszczyzną, łatanego nieco opowiadania dowiedzieli się chorąstwo, że w istocie uściługski pocztmajster w zмовie z miejscowymi furmanami nie dał koni póty, póki sowitego nie ściągnął haraczu¹⁹ za pocztę w bok od gościńca.

Chorąży z niedostrzeżonym prawie ironicznym półuśmiechem słuchał syna pląającego się ciągle dla braku wyrazów zastępowanych francuszczyzną z nałogu, chociaż wiedział dobrze, iż tego języka oboje rodzice nie rozumieli. Chorążyna to na syna z admiracją²⁰ spoglądała, to z oburzeniem na męża. W istocie chłopak był godzien pewnie tej miłości, jaką mu matka okazywała, twarzy wdzięcznej i dobrocią trwożliwą nacechowanej, łagodnego wyrazu, niezmiernie troskliwy, aby się niczym nie narazić rodzicom dla niego obcym prawie. Na ojca spoglądał z obawą i niepokojem. Chorąży milczał ciągle, lecz wkrótce surowy wyraz oblicza zastąpiło politowanie jakiegoś i rozczulenie. Pomyślał może, iż to dziecko tak zniewieściałe nie było winne temu, iż je tak wychowano i taką go napiętnowano cechą.

Chłopak rumienił się ciągle, długo trzymał kapelusz w ręku i nie śmiał zdjąć rękawiczek, które wreszcie na skinienie matki pościągał i wyszukawszy miejsca, złożył z kapeluszem na boku. Chorążyna miała naówczas przyjemność ujrzeć ręce syna białe, utrzymane z kobiecym staraniem i przyozdobione kilku pierścieniami, wśród których jeden z olbrzymim turkusem szczególnie oko pociągał. Ojciec rzucił tylko wejrzenie na te ręce niemęskie i żywo je zaraz odwrócił.

Cały strój młodego hrabiego niezbyt był do odwiedzin domu rodzicielskiego stosowny, ale taki, jakiego prawidła wymagały od przybywającego wieczorem z podróży salonowego młodzieńca. Tużurek czarny leżał na nim, rysując piękną ciała budowę prześlicznie, buciki mogłyby być służyć elegantce do przechadzki, bielizna śnieżnej białości, ze złotymi guzami od najpierwszego

¹⁹ h a r a c z (ar.) - tu: opłacanie się komuś, danina

²⁰ a d m i r a c j a (łac.) - podziw, uwielbienie

wiedeńskiego jubilera, skrojona była wedle miary i czyniła zaszczyt paryskiemu krawcowi, który jej dostarczył.

Obok niego choraży w starej, wyszarzanej szaraczkowej kapocie i kozłowych butach odbijał dziwną jakąś powagą i męską siłą, gdy w tej postaci znać tylko było pieszczone o zewnętrzzną formę starania.

Ile razy oczy starego przebiegły, a raczej ośliznęły się szybko po synu, spuszczał je jakby zawstydzony i zbolący. Matka natomiast spoglądała na to dziecko tak śliczne z pociechą, tryumfem coraz rosnącym i unikać się zdawała spojrzenia na męża, ażeby widok ten nie zatarł jej doznawanej rozkoszy.

– Stryj kazał oświadczyć swe uszanowanie – rzekł hrabia Roman po niejakiem czasie – byłby zapewne sam ze mną przyjechał, bo bardzo pragnął widzieć ojca i mamę, ale zostawiłem go chorym. Leżał nawet przez dni kilka... byłbym przy nim został, gdyby nie wyraźny rozkaz udania się do Uścia.

– Cóż mu to tam jest? – spytał choraży.

– Nie wiem prawdziwie – odparł przybyły – ale puchlina, którą miewał w nogach, zdawała się nieco postępować do góry.

– To bardzo zły znak – rzekł stary – a doktorowie...

– Nadworny nasz dosyć był strwożony – odezwał się Roman – przywołano nawet doktora Szwarca ze Lwowa...

– Powinieneś był się zatrzymać – wtrąciła matka cicho.

– Stryj mi kazał jechać – odparł zapytany – i polecił ojcu oddać list, do którego zdawał się przywiązywać wagę, bo mi kazał przywieźć nań odpowiedź jak najrychlej.

To mówiąc hrabia Roman dobył bardzo pięknego pugilaesu z bocznej kieszeni, otworzył go i wyjąwszy zeń list wstał, by ojcu doręczyć.

Choraży siedział właśnie przy stoliku, na którym były dwie świece; w milczeniu więc otworzył zaraz kopertę i na list rzucił okiem. Nie śmiejąc przystąpić, żona starała się po twarzy męża odgadnąć, co mógłby list zawierać. Rysy jednak czytającego nie dozwoliły nic się domyślać, po chwili, przebiegłszy pismo, złożył je nie mówiąc słowa i schował do kieszeni.

Pani chorażyna zawahała się z zapytaniem, przemogła ciekawość.

– Cóż pisze? – wyrwało się jej w końcu.

– Pomówimy o tym później – i zerwał się choraży.

– Ale to prawdziwe nieszczęście ta choroba hrabiego – wtrąciła żywo matka, nie chcąc okazać po sobie, ile ją lakoniczna odpowiedź męża obeszła – pewnie ci kazał powracać prędko... bywasz u nas tak rzadko, nawet się toba nacieszyć nie można...

– Ani go poznać, co gorzej! – dorzucił choraży.

– Powrót mój – jakajac się wtrącił syn – ma zależeć od rozkazu ojca...

Spojrzenie badawcze matki nic nie potrafiło dobyć z zachmurzonego chorażego, który westchnawszy, podparł się na rękę i zadumał głęboko. Skorzystała tylko z tego matka, po cichu poufalszą z synem rozpoczynając rozmowę.

– Przygotowałam ci najlepszy pokój, mój Romanku – szepnęła matka całując go w głowę i przyciskając ją do serca. – Kazałam ogień napalić na kominie. Ty nawykłeś do tyłu wygódek, o których my wyobrażenia nie mamy, sama nie wiem, jak by ci dogodzić.

– A! tu mi zawsze dobrze będzie! – cicho, całując w rękę matkę, odezwał się syn.

– A tam? wszak i tam jest... musi ci być dobrze, kochany Romanie.

– Ale mnie dotąd wszędzie było i jest dobrze, kochana mamó – rzekł chłopak rumieniając się.

Rozmowa przeszła w szept cichy, a chorąży, jakby przebudzony, nagle wstał i pod jakimś pozorem z wolna się wysunął z pokoju.

Naówczas namiętnie schwywszy dziecię w objęcia, chorążyna zawołała:

– O! musisz mi wszystko, wszystko opowiedzieć o sobie!

Pomimo dziwnej nieśmiałości, której hrabia Roman nie miał wcale w salonach, a nabawiał go ją mimowolnie dom rodzicielski, ilekroć w nim gościł – byłby się szczerze z matką rozmówił, bo do niej daleko był śmielszym, ale ojciec wkrótce powrócił, a jego surowa postać zamknęła usta obojgu. Na twarzy starego znać było, że mu jakaś nowa troska przybyła, a pewnie ów list stryjowski przeczytać musiał. Poszedł na swe dawne miejsce przy stoliku i siadł, wedle zwyczaju ręce złożywszy.

Rozpytywano o zdrowie hrabiego Filipa, o ostatnie podróże Romana odbyte po Europie, bo dla dokończenia wychowania wysyłał go przybrany ojciec do Włoch, Francji i Anglii, a Niemcy znał już dawniej. Młodzieniec pod wrażeniem świeżym tego, co widział, unosił się nad pięknosciami natury, dziełami sztuki i wysoką cywilizacją zachodnich krajów. Matka słuchała go z zachwytem, ojciec z ciekawością ponurą i smutną. Parę razy nawet przerwał mu owe zachwyty, zwracając uwagę, że własny kraj miał też wiele rzeczy widzenia i poznania godnych. Tych hrabia Roman nie miał zrzeczności zwiedzenia, bo to zapewne w program wychowania jego nie wchodziło.

Po herbacie i razem prawie podanej wieczerzy, bo tej czas był nadszedł, a chorąży swych obyczajów dla nikogo zmieniać nie lubił, hrabia Roman udał się, oddawszy dobranoc, na spoczynek. Odprowadziła go matka do wcześniej przygotowanego pokoju wychodzącego na ogródek, który na krótki pobyt swego dziecka, po kryjomu przed mężem, starała się przybrać wedle własnych pojęć o wygodach i nawyknieniach tego świata, w którym żyło jej dziecię. Pokój to był w zwykłe czasy przeznaczony dla krewnych i gości. Paliło się w nim najsuchszymi olszowymi drzewkami na kominku przybranym bukietem jesiennych kwiatów, jakie mógł dostarczyć ogródek. Całe łóżko i podłoga przed nim usłana była ogromnym dywanem macierzyńskim jeszcze wyprawnym, ale od dawna w kufrze spoczywającym. Świeżo zachowane jego barwy i jaskrawe róż bukiety dziwnie się wydawały na nie pokostowanej, z prostych tarcic²¹ podłodze. Ale tej niepodobna było zmienić i matka tylko ją wstydliwie poprzykrywać usiłowała małymi kilimkami dodatkowymi, tak że ledwie się jej kawałeczki pozostawały. Z własnej sypialni okradła matka też stary zegar, bez którego komin obejść się nie mógł. Wykadzono lawendową wódką i sionkę, i pokój, a co tylko wymyśleć było można dla wygody panicza, zniesiono na jego stolik i komodę.

Świeże firanki białe nadawały niepozornej izdebce, której belki do rozpacz chorążynę doprowadzały, fizjognomią wesołą i miłą. Nie było tu jednak tego wytworu²² i elegancji, jakich życzyła matka, bo tych dom cały nie miał nigdy.

²¹ t a r c i c e - grube deski otrzymane przez podłużne przecięcie okrągłaków

²² w y t w ó r - tu: wytworność

Wytworne tłomoki i torebki podróżnego z czerwonej skóry z brązowymi okuciami stały dotąd nie rozpakowane, bo służącego nie było. Spostrzegłszy to, matka zaczęła się naprzód domagać, aby pomoc mogła do rozłożenia synowskiej toalety. Hrabia Roman nie zaprzeczył, że wypakowanie jej było niezbędną potrzebą, lecz chciał się tym sam zająć.

– Ja jestem nawykły w istocie do wielkiego porządku – rzekł – bo i stryjaszek to lubi, żeby zawsze było przyzwoicie wszystko i w swym miejscu... ale ja to natychmiast podobywam i rozłożę.

Do rozłożenia wszakże okazał się brak stołu nakrytego, który by przybory eleganta mógł pomieścić.

Na komodzie bowiem i na małym stoliczku tyle nagromadzono różnych rzeczy, iż toaleta już by się na nich jak należało rozłożyć nie mogła. Chłopak zawołany wniósł żądany stół; serwety jednak nie dozwolił zasłać hrabia Roman, upewniając, że ją ma z sobą i wozi zawsze na wszelki wypadek.

Z pedantyczną dokładnością otworzył zamczystą torbę, która rozwarłszy się, ukazała zdziwionym oczom matki we wnętrzu swym niezliczone mnóstwo tajemniczych narzędzi, flaszek, szczotek, woreczków, pudełeczek i skrzynek.

– I do czegoż się to wszystko przydać może? – zawołała pani chorążyna.

Roman uśmiechnął się z pewną dumą.

– Ale tu nie ma jednej śpilki, która by nie była koniecznie, nieodbitie potrzebna, widzi kochana mama – rzekł, dobywając lusterko, flakony, puszki i cały szereg najdziwaczniejszych narzędzi. – Bez tego ja bym doprawdy nie wiedział, jak się przyzwoicie umyć rano i ubrać...

Dwanaście flaszek perfum różnych, wód do zębów, do twarzy, kilka gąbek różnego kalibru, ręczniki twarde i mięsiste, cienkie i delikatne, na ostatek pudełko różnych guzików i kolekcja szpilek zaświeciły symetrycznie ułożone na stole. Za tymi poszło wydobywanie ubrań wieczornych i rannych, czapeczek, fezów²³, szlafroków, pantofli ciepłych i zimowych... tak że chorążyna, której to bogactwo zrazu pochlebiali, w końcu sama też uśmiechać się z niego zaczęła zamyślona.

– Przyznam ci się – odezwała się cicho – że jesteście niewolnikami wielu, zdaje mi się, zupełnie potrzebnych nawyknień. Mój Boże! myśmy życie całe przebyli, nie domyślając się wcale ich niezbędnej konieczności, ale...

– Ale, proszę mamy – całując ją w rękę dodał hrabia Roman – u nas byłby wyśmianym, kto by do powszechnego zwyczaju się nie stosował, a popełnić jakąś nieforemność, okazać się nieświadomym pewnych obyczajów, to zabija.

– To być może – spuszczaając głowę i siadając u kominka, zamknęła matka – ja też dziwię się tylko, a nie krytykuję nic... Mówmy raczej o tobie. Jakże stryj? zadowolniony z siebie?

– Tak mi się zdaje – odparł Roman – okazuje ciągle największą czułość dla mnie i nieraz mi powtarzał, iż ziściłem jego nadzieję i godnym się okazuję potomkiem wielkiego Zebrzydowskich domu. Staram się do jego wskazówek i rad stosować. Moje stosunki nawet, znajomości, przyjaźnie poddałem jego rozkazom.

²³ f e z (tur.) - niska czerwona czapeczka zakończona czarnym chwastem

– Boś ty także dobre, pocziwe dziecię! – przerwała matka, aby mieć powód pocałować go w głowę.

Chłopak zarumienił się z radości i dumy.

– Ale wie mama - dodał po cichu, rumieniąc się bardziej jeszcze i spuszczać oczy na śliczne swe białe, długie, szlifowane pazurki – wie mama, po co mnie tu podobno wysłano i co, jeśli się nie mylę, list stryjaszka zawiera?

Chorażyna ciekawie otworzyła oczy, a Roman, zbliżając się, szepnął:

– Zdaje mi się, że stryj mnie chce ożenić!

Matka drgnęła i mimowolnie klasnęła w dłonie.

– Czy to może być?

– Już mi coś nawet wspomniał o tym. Czuje się gorzej i rad by to małżeństwo co rychlej przyprowadzić do skutku. Pewnie o tym pisał do ojca.

– Ale z kimże! z kim? Znasz ją? – podchwyciła chorażyna.

– Ja? widziałem ją raz tylko z daleka w salonie – rzekł chłopak.

– Któż to jest?

– Niech no mama posłucha... to pomysł stryjaszka, a może dawno osnuty projekt, o którym tylko wprzód wspominać nie chciał...

Chorażyna starym zwyczajem po cichu na intencję tę, żeby zły nie usłyszeć nowiny, prędko zmówiła „Zdrowaśkę”. Roman poprawił włosy, potem turkusowy pierścień na palcu, potem krawatę i śpilkę i tak mówić zaczął:

– W czasie kiedy jeszcze stryj miał interesa, jak powiada, i nim z nich przyszedł do tej wielkiej fortuny...

– Którą tobie zapisuje – wtrąciła matka.

– Poznał się we Lwowie z bardzo znacznym urzędnikiem austriackim, baronem von Wilmszofen. Mówią, że to stara bardzo familia i w wielkim znaczeniu i łaskach u dworu. Ten baron ożenił się we Lwowie z Polką i jakoś mu się tak szczęśliwie wiodło, że do dóbr w Galicji przyszedł. Później więc ze stryjem sąsiadowali i kochali się jak bracia. Umarła Wilmszofenowi żona, a potem i on sam jakoś prędko życie skończył, zostawiając córkę jedynaczkę, dziedziczkę sąsiadującego z naszym majątku. A że z familią swą żył baron niedobrze, bo go podobno znać nie chciała, gdy ubogi wszedł w służbę, nie nazaczył opiekunem nikogo, tylko stryja. Stryj się z tym nie wydawał, że pannę wychowywał, oddawał na pensję i całym majątkiem zarządzał. Panna dorosła, ma przy sobie tylko teraz jedną starą ciotkę, niejaką panią Nieczujską. Stryj widocznie chce mnie z nią swatać.

– I nie poznał was z sobą? – przerwała matka – i to jakaś Niemka!

– Tylko nazwisko niemieckie, a wychowana we Lwowie na najpierwszej pensji w klasztorze. Stryj rad by co rychlej nas, widzę, pożenić, bo się obawia, aby jej kto nie pochwycił. Panna jest baronówna i ma parę milionów posagu.

Chorażyna chwyciła się za głowę.

– Pocziwy stryj magnatem cię zrobi! a co to za wielki człowiek! ileśmy mu winni... Panna wychowana w klasztorze... więc to skromne i pocziwe być musi. A ładnaż?

Roman się na nowo zarumienił.

– O! bardzo piękna! – zawołał – chociaż niewiele o tym mówić mogę, bo ją w salonie tylko widziałem z daleka, ale mi się wydała bardzo wdzięczną. Znać po niej wielką panią. Jak się ubiera, jaki chód, ruchy, dystynkcja. Wszyscy się nad nią unosili.

– Ale jakże stryj mógł już pisać o małżeństwie niby o rzeczy pewnej i osnutej, gdy ty zaledwie wiesz o nim, a z panną nie miałeś czasu zrobić znajomości ani się starać jej podobać.

– Proszę mamy – odparł z niejaką zarozumiałością młodzieniec – na wielkim świecie wszystkie małżeństwa tak rozumnie i z planem się wykonywują. Dlaczegoż by przyzwoity młody człowiek nie miał się pannie spodobać albo taka panna jemu?

– Ależ charaktery? przywiązanie?

– A, kochana mamó – cicho odezwał się Roman – ja tylko to powtarzam, co widzę i słyszę. U nas wszystko tak jest ściśle uregulowane, okryte prawnymi formami, przewidziane, obmyślane, że się zawsze charaktery zgodzić muszą, a jak stryj powiada, przywiązanie albo się później urodzi, albo przyzwoici ludzie potrafią się, nie okazując tego po sobie, obejść bez niego.

Chorażyna, słuchając tej teorii synowskiej, dziwnie poczęła trząść głową.

– Inny to świat – rzekła – ja go tam ani rozumiem, ani mogę pojąć, ale musi to z tym być dobrze, kiedy ludzie, co na świecznikach stoją, do tego doszli i tak sobie życie ułożyli... Żenią się i u nas dla dogodności, przez rozwagę, a małżeństwa bywają ni gorsze, ni lepsze niż te, które miłość wiąże... A jednakże...

Westchnęła matka.

– Cóż mnie do tego – dodała – jeśli ty to znajdujesz naturalnym i dobrym... a jednak ja bym dla ciebie była pragnęła żony, co by cię, jak wart jesteś, kochała...

Spojrzała nań i pocieszyła się myślą:

– Któraż by tego ślicznego chłopca mogła nie kochać!

Zdaje się, że hrabia Roman, nie wydając się z tym, podzielał jej przekonanie.

– Myślisz, że o tym pisał do ojca? – zapytała chorażyna.

– Tak sędzę, kazał mi na list przywieźć odpowiedź. Głównie olszowe dopalały się na kominku, stary zegar wskazywał jedenastą godzinę. Chorażynie przyszło też na myśl, że dziecko mogło być zmęczone, wstała więc ściskając je w milczeniu, zadumana, a hrabia Roman, odprowadziwszy ją do sieni, zebrał się przy niezręcznej pomocy chłopaka, którego mu przysłano do skomplikowanej toalety wieczornej, nie mniej jak dzienna wyszukanej i prawidłowej.

Tymczasem chorażyna szła do sypialni, gdzie męża zastała klęczącego i zatopionego w jakimś rozmyślanu głębokim. Zdaje się, że przyjście jej usłyszawszy, stary pośpiesznie dokończył modlitwy i wstał jakby ze snu przebudzony.

W twarzy jego zamiast radości, jaką powinno było obudzić przybycie dziecięcia, malowała się boleść utajona.

Chorażyna przewidywała już z niej burzę.

– Czy to jegomości niedobrze z tego wzruszenia? – rzekła – może byś się co napił?

– Ja? napił? – podchwycił stary – chyba letejskiej wody²⁴?

²⁴ l e t e j s k a w o d a - woda z mitologicznej rzeki Lete, która miała dawać zmarłym zapomnienie przeżytych na ziemi cierpień

– Jakaż to woda? ja jej w domu nie mam – w prostocie ducha odezwała się chorążyna – może Roman, co z sobą różne rzeczy wozic musi, ma ją przypadkiem, poszłabym wziąć.

Stary się uśmiechnął.

– Nie trzeba nic już – rzekł – przejdzie to, jak przeszło wiele, jak wszystko przechodzi. Asińdzka już pewno wiesz o nowym pana Filipa projekcie. Lalkę tę ledwie wystrychnął, już smarkacza żenić myśli, i to jeszcze z baronówną niemiecką.

– Roman mi mówił, że się czegoś domyśla... ale panna milionowa.

– Niechże by sobie zaniósła i siebie, i miliony do Niemiec – zawołał chorąży – tego jeszcze brakło, żeby Roman przy niej się na cudzoziemca wystrychnął, choć i tak nie wiedzieć, co to jest... ni Polak, ni Francuz, ni Austriak, ni szlachcic, ni...

Ruszył ramionami.

– Proszą mnie o zezwolenie – dodał śmiejąc się ironicznie – prawdziwy luksus i ceremonialność pana Filipa, boć wiedzą, żem syna się zrzekł i ręce mam związane. Zdałem jego losy i szczęście o przyszłość na stryja, niech sam radzi...

– Ależ dziecku choć błogosławieństwo tve należy – wtrąciła chorążyna.

– Co mu po nim – smutnie rzekł ojciec – obczyśmy sobie, niepodobny do mnie, ja go nie rozumiem... rozeszły się drogi nasze.

Głosu mu na chwilę zabrakło, lecz wnet z podniesionym i gwałtownym wybuchem mówić znowu zaczął:

– O! nieszczęsna to była i grzeszna życia mojego godzina, gdym, uległszy wam, dziecka mojego się wyrzekł. Karze mnie Bóg, bom zasłużył, bom nie powinien był dla marnej próżności, dla bogactwa, dla jakichś wielkości głupich, które w oczach Bożych i ludzi statecznych nic nie znaczą, oddawać dziecko na pastwę komediantom, by z niego lalkę zrobili.

Chorążyna przerażona załamała ręce.

– Na miłość Bożą, ucisz się! co ci jest? Jeszcze Roman posłysz! Co pomyśli? Jużeś i tak zimno go przyjął i karzesz za swą winę, jeżeli to być ma twoja wina. Za cóż każesz mu pokutować?

Stary się umiarkował.

– Masz słuszność – rzekł tłumiąc wzruszenie – dosyć tej rozmowy bolesnej, skończmy dzień, grzechy i karę ofiarując Panu na sąd Jego...

To mówiąc ukląkł znowu i modlić się zaczął. Jejmość, która zrazu czekać chciała, dopóki nie dokończy pacierzy, i na spoczynek nie szła, przekonała się wkrótce, iż na próżno by się męczyła. Chorąży z głową w dłonie zanurzoną nie przestawał się modlić ciągle, niekiedy tylko westchnienie i bicie się w piersi świadczyło, iż czuwał jeszcze. Zasnęła więc jejmość znużona i nie wiedziała nawet, kiedy biedny starzec pokutne swe modły dokończył.

Nazajutrz rano, gdy się zerwała z pościeli, chorążego już w pokoju nie było – wyszedł do dnia na palcach, aby się zająć gospodarstwem. Jejmość znalazła go odpoczywającego na ławce w ganku, smutnego jeszcze, ale z twarzą pogodną i zrezygnowaną.

Przewalczył znać na modlitwie wczorajsze usposobienie swoje i był już panem siebie.

Roman, który był nawykł do snu długiego i dłuższego czuwania, nie przebudził się tak wcześnie. Godzina była dziewiąta i śliczny czas chłodny, ranek

jesieni ze słońcem jasnym na niebie rozbudził wszystkich do życia, gdy matka, usłyszawszy ruch w pokoju syna, posłała doń chłopca, czy każe odebrać okiennice. Zerwał się Roman z pościeli i zapowiedział, że natychmiast wstanie i gotów będzie. Pomimo największego wszakże pośpiechu przygotowaną kawę trzy razy odnosić musiano, nim się w rannym ubraniu wielce gustowanym okazał w pokoju. Chłopak, który mu posługiwał i z ciekawością przypatrywał się całej manipulacji rannego ubioru, donosił co chwila o postępie tej ważnej czynności. Opowiadał dziewczętom w kawiarni²⁵, że pan czesać się i szczotkować zaczął, że zasiadł do piłowania i szlifowania pazurków; że trzeci raz coraz inaczej się umywał, że w ostatku chustkę wiązał, co trwało kwadrans, i rękawiczki niezbędne z wielką usilnością uniknięcia marszczków naciągał.

Cały ten ceremoniał na wsi, do dwojga starych rodziców był niezmiernie śmieszny, lecz hrabia Roman wychowanym był i nawykłym, nigdy z surowych obowiązków swych nie ustępować nic. Kapelusz ranny włożony wieczorem, rękawiczki niewłaściwego koloru wzięte po południu byłyby go w oczach własnych sromem okryły.

Nawet pobłażająca matka z lekka ruszyła ramionami, spojrzawszy na rękawiczki, kapelusz, misterny węzeł krawatki i zaczesanie włosów, dowodzące niemałego trudu poświęconego przerżnięciu ich pod linię aż do karku.

Ojciec może dlatego, witając się, nie przyglądał mu się bardzo, ażeby znowu niepotrzebnie nie oburzyć się. Zapach, który z sobą wniósł do pokoju Roman, woń najczystsza „Jockey Clubu”²⁶ neutralizowała resztki dawnego jałowca i skórek jabłkowych z cukrem, ale nienawykłym zdała się zbyt silną i u mężczyzny też śmieszna.

Kawa z najdoskonalszym kożuszkiem i sucharkami, którą przygotowała matka, zdziwiła bardzo hrabiego Romana nawykłego śniadać po angielsku, herbata, szynką i jajami na miękko; zawahał się przed filiżanką, gdyż innej kawy nad czarną nie pijał. Odgadła matka, że w czymś uchybić musiała, i szepnęła na ucho, co by sobie mieć życzył. Roman musiał się przyznać do jaj i herbaty, co uszło, szczęściem, oka chorążego, a samowar podano nieznacznie. W ciągu śniadania stary ojciec starał się syna słówkiem zaczepić, badając o nauki. Odpowiedzi nie bardzo widać były zrozumiałe, bo wkrótce pytać zaprzestał.

– Nie może być – rzekł w końcu – ażebyś asan nie wiedział, co mi w liście przywiozłeś. Stryj pisze, że chce cię ożenić, zaręczając, że osoba przeznaczona mu jest majątną, dobrze wychowaną i znakomitego rodu. Wziął na siebie wszystko, niech i w tym rozporządza. Ja mej synowej niestety oglądać nie będę, abym jej przykrości oszczędził, a bylebyś waszec był szczęśliwym, cóż mi do tego? Odpiszę więc, że się zgadzam, bo inaczej nie mogę, choćbym inaczej życzył może... Za wczesny to ożenek, choć stare przysłowie młodo żeniącym się dobrze wróży²⁷. Bodaj się to sprawdziło... Błogosławieństwo daję z

²⁵ k a w i a r n i a - w niektórych domach szlacheckich pomieszczenie, w którym przyrządzano kawę

²⁶ „J o c k e y C l u b” (ang.) - nazwa perfumy męskiej

²⁷ s t a r e p r z y s ł o w i e m ł o d o ż e n i ą c y m s i ę... - „Rannego wstania i wczesnego ożenienia się nikt nie żałował”

serca, bo tu pono Bóg więcej będzie miał do czynienia niż z innymi i cudu jego potrzeba, aby klejony związek był szczęśliwym. A w dodatku z Niemką – westchnął stary.

– Ojciec dobrodziej pozwoli mi objaśnić – wtrącił nieśmiało Roman – że panna chyba tylko nazwisko ma obce.

– Byle nie serce – dorzucił stary. – Pan Filip powinien wiedzieć, co czyni... musi ją znać, opiekunem jej był, wychowaniem się trudnił, to mnie pociesza... sobieć by szkody nie chciał czynić ani przybranemu dziecku. Zatem wola jego i Boska.

Skłonił głowę.

– Ale się przecie z bohdanką znacie? – spytał choraży po przestanku.

– To jest.. ja ją raz widziałem z daleka – rzekł Roman.

– Tylko raz, i to z daleka – pochwycił pan Zachariasz i przeżegnał się w milczeniu. Na tym dokończył rozmowy w tym przedmiocie.

– Stryj mi pisze – rzekł znowu, przeszedłszy się po pokoju – ażebyś tym razem długo nie bawił w Uściu i wzięwszy odpowiedź moją, wracał, a przyrzekł, że jeszcze raz cię przyśle. I w tym jego woli sprzeciwić się nie chcę, zwłaszcza że chory i niespokojny. Jakkolwiek żal czuję w sercu do Filipa, iż mi dziecko odebrał, trudno, bym mu wdzięczen nie był za to, że, choć po swojemu, pilne miał staranie o waszmości. Inaczej on to rozumiał, a, na sumienie, zrobił, co przyrzekł... teraz, gdy chory, żal mi go, że sam został. Dziś więc list przygotuję, a na jutro rano do Uściługa konie – cicho dokończył stary i wyszedł.

Matka ocierała oczy. Roman siedział żałośliwie skrzywiwszy twarzyczkę, smutny, ale nie czujący tak wielkiego żalu po rodzicielskim domu, do którego wcale nie był nawykły.

Był tu jakoś teraz tak nie w swoim żywiole, tak nie oswojony z życiem i obyczajem domowym, iż co chwila w czymś ojcu uchybić się lękając, cierpiał więcej, niż się cieszył. Z lat dziecięcych mało mu wspomnień zostało o miejscach i ludziach, zatarły się one późniejszym wychowaniem i życiem. Ubogi dworek, prosty stół, usługa kobieca, dziwne tryby tego powszedniego żywota pracy upokarzały go niemal. Nie będąc do tyłu zepsutym, aby nie czuć poszanowania i miłości dla rodziców, był dla nich zobojętniałym i z obowiązku tylko oddawał im cześć należną. Przypatrując się ojcu, a nie mogąc pojąć, ażeby z konieczności i upodobania trwał tak zagrzebany w wiejskim kącie, przypisywał to dziwactwu jego. Nie mogło mu pomieścić się w głowie, ażeby Zebrzydowski przyszedł do takiego upadku i nie potrafił się z niego podźwignąć.

Wiedział wprawdzie pan Roman, że są i biedniejsi jeszcze ludzie na świecie, przeznaczeni do twardej pracy, bez nadziei polepszenia bytu, ale tłamać mu to urodzenie, kastowość, bez której nie pojmował świata. Pewnym rodem w jego przekonaniu, jako przedstawicielom tradycji przeszłości, winno było społeczeństwo opiekę, poszanowanie i tę cześć, jaką gdzie indziej oddają białym krowom i słoniom, dla których stawiają się marmurowe żłoby kosztem wszystkich i perłowy obrok im sypią.

Młodzieniec odebrał był to dobre wychowanie i zdrowe zasady, które nie pozwalają przypuszczać, ażeby Pan Bóg wszystkich do jednego stworzył losu i obowiązków. Miał zresztą uczucie miłosierdzia i litości w sercu dla biednych, którym w pewnej mierze czuł się obowiązany dopomagać, tak jednak,

aby ich od pracy nie odciągać i nie rozbudzać w nich nieprawych chęci do niepotrzebnego światła i wyrzekania się stanu, do jakiego byli stworzeni. Dworek ojcowski w Uściu prawie tak samo go zawstydział jak hrabiego Filipa, a stan rodziców upokarzał. Jakkolwiek więc czuł się do obowiązków względem nich, wolał je dopełniać z daleka, i gdy po przebytych długim dniu, raz tylko się przebrawszy, bo mu matka odradziła na wieczór wystąpić we fraku, nazajutrz rano żegnał w ganku oboje chorągwa, zasmuconych odjazdem jeźdźcy; gdy powóz oddalił się od Uścia – w sercu młodego dziecka Pruhowa łżej się jakoś zrobiło. Odetchnął swobodniej. Wracił do życia, do którego był nawykłym, do kamerdynera, bez którego obejść się nie mógł, do kuchni, którą przyzwyczajeni ludzie jedynie karmić się mogą, do godzin snu i czuwania normalnych, słowem, do tego porządku, bez którego zdziżyć się lękał.

W ganku małego dworku siedzieli państwo chorągwa, oboje zamyśleni, naprzeciw siebie, smutni oboje, i tym razem matka w duszy uznawała może, iż pan Zachariasz miał słuszność, bolało ją wyrzeczenie się dziecka, myśl, że je nierychło zobaczy i że szczęścia jego i świetności nie będzie mogła być świadkiem. Nie przeklinała jak on dnia i godziny, gdy oddała Romana, lecz pojęła teraz wielkość uczynionej ofiary.

W drodze już hrabia Roman odebrał dwie telegraficzne wiadomości, iż słabość hrabiego Filipa zagrażający przybrała charakter, że powinien był powrót przyspieszyć, nie tracąc ani chwili, gdyż tego po nim stryj wymagał. Doktor nadworny, uspokajając, wszakże dokładał, że choroba, acz śmiertelna, kilka tygodni jeszcze przeciągnąć się może. Hrabia Filip znał stan swój niebezpieczny i z zupełną umysłu przytomnością przygotowywał się do ostatniej podróży.

Z kilku już rysów poprzedzających można się domyślać charakteru tego niepospolitego człowieka, który powodowany ambicją, niepospolitymi obdarowany zdolnościami, potrafił stworzyć sobie fortunę, imię, stanowisko i przyszłą wielkość dla rodziny. W istocie pan Filip Zebrzydowski był człowiekiem, jacy się nie co dzień rodzą. Siła woli i rozumu zastępowały w nim wiele innych niedostających przymiotów. Wykształcenie niepełne winien był sam sobie, energię dała mu natura niezłomną. Z pojęciem jasnym świata i ludzi, słabości i dróg, którymi idąc, korzystać z nich można, począwszy od małego, znalazł się u schyłku życia jednym z najmożniejszych galicyjskich magnatów. Wyrobienie hrabstwa w tej ojczyźnie wszelkich tytułów przyszło mu z łatwością, a uznanie społeczne tego przyrostu nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Majątek otwierał mu wrota do najwyższych sfer, wśród których, mimo wychowania zaniedbanego, doskonale obracać się umiał.

Razem się w szkołach uczyli z panem Zachariaszem i w żadnych innych pan Filip potem nie bywał, wyuczył się jednak wprawdzie mówić dwoma niezbędnymi mu językami, francuskim i niemieckim, przejął formy towarzystwa, do którego pragnął się wcielić, a z książek nabył tej ogłady i encyklopedycznych okruszyn, o których wybornie wyżyć można, nic nie umiając, w tak nazwanym wielkim świecie. Nikt nie wątpił w kółku tym, które znało bliżej hrabiego Filipa, ani o jego prawach do hrabstwa, ani o świetności rodziny, o której dobrach w Królestwie i pozycji rozповідаł bardzo zręcznie. W innych rzeczach mniej się panu nowemu powodziło, ożeniwszy się świetnie, był i w pożyciu nieszczęśliwym, i zmuszonym potomka zapożyczyć od brata. Nie mając już innego celu w życiu, na to dziecię zlał wszystkie nadzieje swe i pla-

ny, w nim widział głowę odnowionego rodu, gdyż w końcu sam nabył tego przekonania, iż do prawdziwych Zebrzydowskich należy z krwi i ducha.

Wychowanie Romana do tego zmierzało głównie, aby w nim ani śladu szarackowego nie pozostało szlachcica²⁸, chciał go mieć paniczem, choćby ze wszystkimi wadami do tego stanu i powołania przywiązanymi, byle w nim hreczkosieja²⁹ nie było. Stało się, jak pragnął. Roman wyrósł na śliczną lalkę i codziennie uszczęśliwiał swą nicością przyzwoitą rozkochanego w nim stryja. Przebaczał mu hrabia Filip jego młodzieńcze wybryki, byle one z gustem i z szykiem były wykonywane. Cieszyły go nawet, bo panicz zbyt oględny, obrachowany i zimny nie byłby tak prawdziwym. Oszczędny i spekulujący nawet na najdrobniejszych przedsięwzięciach, dla synowca nie żałował nic hrabia Filip, równie jak dla okazałości i pańskości domu.

W Pruhowie, na starej sadybie jakiejś, stanął był przed laty piętnastu pałac galicyjskim smakiem.

Coś w rodzaju tego pudełka z hrabiowską koroną, które się we Lwowie domem czy pałacem Gołuchowskich³⁰ zowie. Charakterami podobnych gmachów świeżo spanoszonych rodzin są pretensje do olbrzymich rozmiarów i do prozopopei³¹ architektonicznej. Są to murowane ody na cześć magnackich rodzin nowej kreacji. Jak w odach klasycznych macie tam przedsionki o kolumnach majestatycznych, szerokie skrzydła niby strofy, inwokacje³² herbowne na szczytach i heroicznie - monumentalne kominy na dachach jak wykrzykniki stojące. Czegóż tam nie ma prócz smaku! Hrabia Filip, nie mając go, jak inni jego rodzaju dorobkowicze, zapożyczyć trochę umiał, posiadał instynkt i przeczucie, zachował więc miarę w patosie i pałac jego wyglądał pańsko, ale nie śmiesznie.

Założony park i zużytkowane drzewa stare nadawały mu poważną, niby dawniejszą nieco niż data wzniesienia postać. W takim gmachu życie musiało przybrać stosowne do niego formy pańskie. Przy największej oszczędności hrabia żył jak na Zebrzydowskiego przystało - miał kuchnię, stajnię, dwór, liberię³³, nawet nadwornego doktora, nawet na tandetach zakupioną bibliotekę, nawet domową kaplicę, bo to wszystko do hrabiostwa należało. Dwa orderzy, jeden krajowy, a drugi cudzoziemski, wisały, wyrobione prawidłowo z gipsu, u herbu na pięć tarcz podzielonego przy facjacie³⁴ pałacu. Hrabiow-

²⁸ s z a r a c z k o w y s z l a c h c i c - ubogi szlachcic zaściankowy

²⁹ h r e c z k o s i e j - ironiczna nazwa niezbyt zamożnego i niezbyt inteligentnego gospodarza zasiedziałego na wsi

³⁰ p a ł a c G o ł u c h o w s k i c h we Lwowie - przy ulicy Zygmuntowskiej 2

³¹ p r o z o p o p e j a (gr.) - uosobienie; tu chodzi o fałszywą wymowę pałacu dorobkiewiczowskiego świadcząca o rzekomej świetności jego rodu; dramatyzacja

³² i n w o k a c j a (łac.) - wezwanie, zwrot stanowiący początek utworu poetyckiego; tu w znaczeniu przenośnym

³³ l i b e r i a (łac.) - mundur dla służby magnackiej; także służba nosząca liberię

³⁴ f a c j a t a (wł.) - środkowa część ściany frontowej budynku wysunięta ponad gzyms

skie korony o perłach dziewięciu gęsto oprócz tego rozsypane były, gdziekolwiek je przyzwolicie umieścić było można.

Na co dzień skromność przy życiu okazałym była wielka, bo hrabia lubił oszczędność drobnostkową, ale kilka razy do roku świetne bale i festyny przypominały go okolicy i utrzymywały tradycję wystawnego życia Pruhowa.

Zbytecznym byłby szczegółowy opis pałacu, w którym starano się nade wszystko o wybitne gniazda arystokratycznego piętno. Hrabia Filip słusznie za najdoskonalszy wzór wybrał był sobie angielskie zamki możnych rodzin, ale mu brakło tego, co je najbardziej zajmującymi czyni, szczęśliwie zachowanych pamiątek odwiecznych. Były one nieodbicie potrzebne i targi europejskie, Paryż, Bruksela, Wiedeń, Wenecja, Londyn dostarczały brikabraku³⁵, mogącego uchodzić za domowej przeszłości zabytki. Kochał się w tym hrabia Filip. Do niektórych sprzętów bardzo zręcznie podorabiano mu herby, do innych przywiązywał imaginacyjne historie przodków. Lwów i Kraków zaopatrzył go w karabele³⁶, koncerze³⁷, koszule³⁸ i hełmy, dały się zdobyć stare pieczętki i zamek pod tym względem miał wyrobioną sławę, a nikt się ani nie domyślał, ani chciał dochodzić, skąd się to te zabytki dostały. Sala portretowa równie zręcznie dokompletowaną została starymi płótnami różnego pochodzenia, którym podorabiano herby i nazwiska; kilka wizerunków w stylu dawnym domalował lwowski artysta z taką niezręcznością, że mogły w istocie za prastare oryginały uchodzić. Pamięć ludzka nie sięga daleko, kilkanaście lat trwania w jednym miejscu tych rodzinnych pamiątek już im zupełnie prawo obywatelstwa nadało. Nikt nie śmiał wątpić o autentyczności.

Gdy hrabia Roman, z ostatniej stacji³⁹ wzięwszy konie, dobił się po najgorstych galicyjskich drogach już późną nocą, w oknach przedpokoju od dzielnica zastał światło jeszcze, a choć z powozem zatrzymał się u bramy, dośłyszał znać i domyślił się przybycia jego doktor nadworny, pan Pęklewski, i wybiegł naprzeciw niemu na ganek. Był to lekarz jakich wielu, a człowiek jeszcze dobijający się sławy, wziętości i pozycji w okolicy, więc duszą i sercem oddany domowi, przez który inne spodziewał się zadzierzgnąć stosunki. Nie kosztowała go więc służbistość największa przy starym hrabim i najczulsza a pełna poszanowania przyjaźń dla młodego. Obu był powolnym do ostatnich możliwych granic.

– A! to szczęście, żeśmy się nareszcie pana hrabiego doczekali – zawołał Pęklewski zbiegając ze schodów, z których o mało nie upadł, spiesząc się naprzeciw nowo wschodzącej gwiazdy. – Hrabia się nieustannie dopytywał o pana.

– Lecz jakże się ma? jak się ma? – przerwał Roman wchodząc już na ganek.

³⁵ b r i k a b r a k (fr.) - właśc. *bric-a-brac*, zbiór przedmiotów o charakterze antykwarycznym (mebli, dzieł sztuki, porcelany) różnej wartości

³⁶ k a r a b e l a - lekka, ozdobna, krzywa szabla noszona przez szlachtę polską głównie podczas uroczystości

³⁷ k o n c e r z (czes.) - sieczna broń w kształcie miecza, przytraczana do rzędu końskiego

³⁸ k o s z u l e - kolczugi, koszule pancerne z kółek stalowych

³⁹ s t a c j a - tu: miejsce postoju, popasu

– Nie mogę powiedzieć, ażeby się polepszyło – cicho odezwał się Pęklewski.
– Nie mam co taić, godziny życia są policzone niestety, ale słabość da się przeciągnąć i przeciągnie. W tej chwili nagłego niebezpieczeństwa nie ma. Nadzwyczajna energia charakteru trzyma naszego hrabiego przy życiu. Osobliwsza, niesłychana organizacja, inny by tego nie wytrzymał. Lecz hrabia, gdy co postanowi, gdy czego zapragnie, zdaje się, że samo życie i śmierć zmusi do posłuszeństwa.

– Czy śpi? —zapytał Roman.

– Choćby nawet drzemał, możemy wejść po cichu. Żądał tak bardzo przybycia hrabiego, iż się nim ucieszy, a tylko dobrze na zdrowie wpłynąć może.

– Chodźmy więc.

To rzekłszy, machinalnie obejrzał się po swym stroju Roman, egzaminując, czy jest przyzwoicie ubranym do wystąpienia przed stryjem. W tej chwili nawet nie mógł o pewnych prawidłach zapomnieć. Strój był podróżny, choroba i nagłość małe nieforemności dostatecznie tłumaczy.

Na palcach przeszli parę pokoi pustych i przyciemnionych, w których kilku służących czuwało. Doktor Pęklewski ostrożnie podniósł ciężką portierę sypialnego pokoju i oglądając się bacznie, z palcem na ustach poprzedził Romana.

Sypialnia, w której hrabia leżał, była przepyszna: łóżko, dookoła osłonięte, było rzeźbionym arcydziełem XVI wieku. Do niego stosownie cały sprzęt został dobrany. W stanie zdrowia hrabia miał inny, powszedni pokój sypialny, o wiele skromniejszy - czując się jednak źle i coraz gorzej, zapragnął zająć ową paradną izbę i łożę, aby umrzeć z pewną prozopopeją odpowiednią rodowi swemu. Było mu tu może nawet mniej dogodnie, lecz wyglądało bardzo po pańsku. Komin z rzeźbionego drzewa, zwierciadła w ramach odpowiednich, stare biuro i stoły nadawały pokojowi ponurą jakąś powagę. Posadzka pokryta była grubym kobiercem, ciężkie portiery u wszystkich drzwi czyniły z niego jakby dawną komnatę zamkową.

W chwili gdy weszli, ciężkie westchnienie dało się słyszeć zza firanek i głos osłabły, ale dosyć wyraźny i stanowczy odezwał się:

– Pęklewski?

– Jestem, panie hrabio – odparł cicho doktor uchylając firankę – jestem, i nie sam, mam szczęście zwiastować przybycie hrabiego Romana.

– Odsuń firankę! – zawołał chory.

W chwili rozkaz został wykonany, w świetle przyćmionej lampy stojącej na stoliku ukazała się blada twarz, rysów szlachetnych i pięknych, z oczyma głęboko wpadłymi, z usty wąskimi, zaciętymi, z czołem wypukłym, pięknego kształtu. We wzroku błyszczała w pełni inteligencja, było to wejrzenie człowieka, który jeszcze w zupełności sobą władał.

Wychudła biała ręka wysunęła się spod okrycia i głos powtórzył:

– Roman, chodź tu.

Młody hrabia zbliżył się, uchylając głowę przed stryjem, przypatrującym mu się z niepokojem jakimś i ciekawością.

– Dziękuję ci, żeś powrócił prędko – zawołał chory opadając na poduszki, ale ręką wskazując krzesło przybyłemu. – Siadaj. Masz list ojca?

– Mam go.

– To dobrze. Jesteśmy w porządku. Czekałem na ciebie – dodał hrabia. – Nie ludzę się wcale, puchlina podchodzi, odciągają ją i wstrzymują w nogach,

jak mogą, ale nie są wszechmocni ci panowie doktorzy. Niech sobie mówią, co chcą, mnie nie oszukają... wiem, że się puchlinę przeciaga, nie leczy. Jestem do tego przygotowany...

Mówił z tak gorączkowym pośpiechem chory, iż mu tchu zabrakło i musiał chwileczkę odpocząć. Zwrócił twarz ku Romanowi, wpatrzył się w niego i rzekł uciszonym głosem, chociaż bystre wejrzenie jego dostrzegło, że doktor przez dyskrecję się oddalił.

– Pani Nieczujskiej poleciłem, aby przygotowała Lolę... Proszę cię, jedź, stary się przypodobać, o czym nie wątpię, *nous precipiterons le denouement*⁴⁰, tu nie ma co zważać na formy... ja mogę umrzeć, a chcę, wymagam, abyście się wprzódę pobrali. *Nous sauverons les convenances*⁴¹, a gdy idzie o rzecz tak wielkiej wagi, bierz je licha!

Stanowcze to orzeczenie hrabiego w oczach Romana było niezmiernie znaczące, nigdy bowiem chory w zwykłych życia warunkach ani w tej myśli, ani w taki sposób byłby się nie śmiał wyrazić o rzeczy tak poważnej jak konwenanse i formy światowe.

Tu znowu potrzebował odpocząć chory. Roman pochylony słuchał, prze-rwać nie śmiejąc.

– Idź, jeśli jesteś zmęczony, każ sobie dać kąpiel, połóż się spać na godzin parę, kazałem, by konie, powóz i ludzie były gotowe. Jak tylko będziesz mógł, ruszaj zaraz do Gromów, prezentuj się, daj poznać, oświadczyć i powracaj!

Roman nie śmiał się sprzeciwić, ale zawahał się, hrabia Filip odgadł go.

– Panna do mnie przywiązana, wierzy we mnie, wie, że tego chcę... nie będzie żadnych kaprysów. Po mojej śmierci... ha! mogłoby to wypaść inaczej... ale...

– Niechże się kochany stryj nie męczy – przerwał Roman.

– Bądź spokojny, mam miarę sił moich – dodał chory. – Pojedziesz, uczynisz, jak mówię. Jest to, nie przeczę, małżeństwo ekscentryczne. Powie nieje-den, że mogłem was wcześniej poznać z sobą i przygotować je. Właśnie tego nie chciałem, byłby czas do zniechęcenia się i rozmyśłów, a ja wiem, żeście dla siebie dobrani.

– Kochany stryj pozwoli jednak... – rzekł Roman.

– Nic nie pozwolę – odparł chory sucho – nakazuję ślepe posłuszeństwo.

Odetchnął znowu.

– Tak jest, ślepe posłuszeństwo – powtórzył – obrachowałem wszystko. Jesteście oboje dosyć dobrze wychowani, by się znaleźć przyzwoicie. Nie możecie się sobie nie podobać... Ha! jeśliby później życie coś niespodzianego przyniosło, gdzież tego nie ma!

Wyciągnął białą rękę jakby do pożegnania:

– Idź, kąpiel powinna być gotowa, i do łóżka – dodał rozkazująco, szukając oczyma doktora. – Pęklewski – odezwał się głos podnosząc – weźże Romana, każ mu się wykąpać, potem zjeść, jeśli głodny, przespać i niech jedzie... niech jedzie. Ja spokojniejszy zasnę także, może trochę sił nabiorę.

Z westchnieniem oparł głowę na poduszkach.

⁴⁰ *nous precipiterons le denouement* (fr.) - przyspieszymy zakończenie

⁴¹ *nous sauverons les convenances* (fr.) - będziemy bro-nić konwenansów (form towarzyskich)

Jeszcze Roman nie miał czasu pochylić się ku ręce stryja, gdy cudem zjawiający się Pęklewski pochwycił go, posłuszny rozkazom, i uniósł, wzięwszy pod rękę, z sypialni.

W jednym ze skrzydeł pałacowych był apartament hrabiego Romana, urządzone z wytwornością i komfortem, tak aby w nim złotą młodzież, fashionablów⁴² lwowskich mógł, nie czyniąc wstydu imieniowi Zebrzydowskich, przyjmować. Hrabia Filip czuwał nad tym, aby tam na niczym nie zbywało. Skrzydło stanowiło, można powiedzieć, oddzielne domostwo, ze służbą osobną i wszelkimi atynencjami⁴³.

Przywiązana doń była osobna stajnia, aby hrabia Roman mógł i na wyścigi stawić konie, i sportem się zabawiać, i wozownia obficie zaopatrzona w amerykańki⁴⁴, powoziki, koczki itp. Pęklewski poprowadził podróżnego, którego rzeczy już wypakowano, do łazienki. Tu w istocie kąpiel już nań czekała. Była *de rigueur*⁴⁵ po podróży. Pęklewski sam termometrem wypróbował wodę, aby za gorącą nie była, z zasady wolał chłodną.

W pół godziny potem nakryte było do wieczery, do której doktor się przysiadł, aby wina czerwonego spróbować. Roman niewiele mógł jeść, nadto był znużony, a nim dokończył owej przymusowej przekąski, wtoczył się ogromny drab, niegdyś kawalerzysta austriacki pełniący funkcję koniuszego⁴⁶, oznajmiając, że konie do wiedeńskiego koczka zadysponowane są na godzinę szóstą.

Do Gromów, posiadłości baronówny von Wilmshofen, było mil sześć opętanych. Na pół drogi wszakże stała przeprzaż⁴⁷, tak że koniuszy spodziewał się, iż jaśnie wielmożny hrabia stanie u celu około południa.

Obiad w Gromach jadano o trzeciej, był więc czas zaprezentować się, przebrać i zabawić do wieczora, spełniając rozkazy stryja, który się spodziewał, iż najdalej drugiego dnia Roman oświadczyć się potrafi.

Doktor Pęklewski obowiązał się zbudzić hrabiego o piątej, tak aby wypiszszy herbatę, na szóstą był gotów.

Cały ten program tak starannie obmyślany, o którego spełnienie punktualne miał się nieochybnie chory za przebudzeniem dopytywać – wykonano z nawykniem do posłuszeństwa wzorowym. Punkt o szóstej konie stały u małego ganku i hrabia Roman, zawinięty w płaszcz i szal przez doktora własnoręcznie, siadł do koczka, w którym, mimo cisnących się myśli i niepokoju, po półgodzinnych marzeniach zadrzemał.

Kto inny byłby może więcej wziął do serca tak niezwykłe położenie, tak dziwne zadanie, samą osobliwszą myśl podróży do nieznanego całkiem panny dla tak natarczywego oświadczenia się jej. Hrabia Roman miał naturę ukołysaną mimo młodości, wiele żył, wiele próbował, znał więcej świata powierzchownie, niż się po nim spodziewać było można; powiedział sobie wreszcie, iż rzeczy były nieuniknione, a małżeństwo, wedle pojęć tego świata,

⁴² f a s h i o n a b l e (ang.) - tu: elegant, modniś

⁴³ a t y n e n c j a (łac.) - przyległość, przynależność

⁴⁴ a m e r y k a n k a, a m e r y k a n - odkryty powozik o dwóch kołach

⁴⁵ d e r i g u e u r (fr.) - niezbędny, obowiązkowy

⁴⁶ k o n i u s z y - sprawujący pieczę nad końmi i stajniami wielkiego pana; godność dworska

⁴⁷ p r z e p r z a ż, p r z e p r z a g - zmiana koni w zaprzęgu

do którego należał, nie krępowało swobody człowieka, aby go aż nieszczęśliwym uczynić mogło. Wielki wielbiciel piękności plastycznej, hrabia Roman, we wdzięku kobiety nie dostrzegł jeszcze duszy, nie wzbudziło się w nim nigdy serce i wszystkie panie dotąd dlań były równiuteńko uwielbienia godne.

To tłumaczy, że mógł zadrzemać i spać do przeprzęgu, przebudzić się dla zapalenia cygara i zasnąć tak mocno powtórnie, iż go dopiero pod samymi Gromami stuknięcie o próg mostku zbudziło szczęściem, bo inaczej byłby przed ganek baronówny zajechał najnieprzyzwoiciej uśpiony, co by mu mogło popsuć reputacją.

O Gromach, które baron von Wilmshofen nabył po zrujnowanej rodzinie jakiejś wraz z przyległościami znacznymi, które się przerywanym sznurem aż niemal ku Pruhowu ciągnęły, niewiele powiedzieć można. Baron, choć baron, ale biurokrata austriacki, nie miał najmniejszego smaku, a raczej smakował tylko w tym, co procentowało. Jednakże czuł, nabywszy majątności, iż gdzieś jakąś rezydencję założyć był sobie powinien, a że w Gromach były stare muru kawałki, zbudował z nich sobie gotycki dom z pomocą architekta, który gotycyzmu uczył się podobno na padole galicyjskim⁴⁸. Fantastyczny to był produkt człowieka, który ani budownictwa nie znał, ani miał wyobrażenia tego, co mu tworzyć kazano. Wieżyczki, do których wniknąć nie było można, okna w facjacie poprzecinane na pół piętrami, strzałkowate ozdoby i bizantyjskie słupy mieszały się na stworzenie tej karykatury.

Rzeczywisty tajny radca zupełnie był zadowolony ze swojego pałacyku i urządził go sobie wewnątrz z niezwykłą czystością i staraniem. Niemniej zakłęty ten gmach na mieszkanie był najniegodniejszym w świecie. Otaczały go słupy, krata żelazna, ogród, w którym była fontanna *in spe*⁴⁹ i lauby⁵⁰ drewniane i murowane.

Gdy Loli von Wilmshofen wychowanie się rozpoczęło, a ojciec jej umarł, hrabia Filip, któremu opieka nad jedynaczką powierzona była przy pomocy pani Nieczujskiej, prosił jej, ażeby w Gromach zamieszkała. Jej one winny były, że się w stanie dobrym doczekały dziedziczki.

Ciocia Nieczujska, w szeregu postaci wchodzących do naszej powieści, niepospolite jako oryginalne zjawisko winna by zająć miejsce.

Nie była ona nigdy piękną, może nawet nigdy nie wydawała się młodą, ale za to, starzejąc, śladu przeżytych lat nie okazywała po sobie. Ciemnej płci, zawiędła, krzepka, zdrowa, rumiana, miała w ruchach, mowie i minie coś żołnierskiego. W istocie była też wdową po kapitanie artylerii, z którym żyła tylko rok jeden.

Przywiązana do niego nie pomyślała nawet nigdy o powtórnych ślubach, a Lolę ukochała jak własne dziecko, chciała też wychowywać ją w domu, lecz hrabia właśnie dla tego przywiązania pani Nieczujskiej i wpływu, jaki na dziecko wyrzucić mogła, powierzyć go jej nie chciał. Oddano panienkę na naj-

⁴⁸ architekt, który gotycyzmu uczył się podobno na padole galicyjskim - koncept z Pana *Tadeusza* (I, 283) o zamku Horeszków, którego „architekt był majstrem z Wilna, nie zaś Gotem”, związany z modą na budynki pseudogotyckie

⁴⁹ *in spe* (łac.) - w przyszłości, coś, co jeszcze nie istnieje, ale jest spodziewane

⁵⁰ *laub* (niem.) - altana

droższą i doskonałą pensję klasztorną i powierzono osobliwej pieczy pół tuzina guwernantek, nauczycielek i nadzorczyń.

Nieczujaska wiedziała, co z tego wyniknie, stękała, płakała, ale się oprzeć nie mogła opiekunowi, a oprócz tego czuła się biedną na jego i Loli łasce, nie miała kąta, była więc powolną, choć się oburzała i gniewała.

Położenie jej w ciągłej ją stawilo z charakterem sprzeczności. Stworzona do rozkazywania, musiała być posłuszną. Całą pociechą jej było to, że się spodziewała po powrocie Loli do domu z wolną ją po swojemu na żywe przerobić stworzenie.

Tak jak chorąży syna, ona Lolkę nazywała Lalką i Laleczką, a miała słuszość, gdyż śliczną ową panienkę inaczej trudno było nazywać.

Od dzieciństwa aż do tej chwili Lola nigdy z prawdziwym światem i z rzeczywistym nie zetknęła się życiem, żyła w atmosferze sztucznej, w zaczarowanym kole fikcji i obrazów kosztownych. Jak roślina w szklarni wyhodowana, którą lada zimniejszy oddech powietrza mrozić może, Lola wychodziła w świat pieszczonym dziecięciem bezbronnym, któremu wszystko prawdziwe było obcem.

Bogata baronówna, kochana przez wszystkich, wychwalana, nawykła, by jej dogadzało, co ją otaczało, nie pojmująca w świecie niepodobieństw i niemożliwości, stawiała wobec wielkiej życia zagadki jak zaczarowana, księżniczka, która po stuletnim śnie budzi się, nie wiedząc, gdzie się znajduje.

Krótki pobyt w Gromach z panią Nieczujaska, która nie mogła zbyt obcesowo napadać na biedną istotę serdecznie ukochaną, nie starczył na zmienięnie tego stanu ducha i serca. Przyłożyła się też uboczna okoliczność do utrzymania Loli w śnie młodości. Jadąc na wieś uprosiła opiekuna pozwolenie przywiezienia z sobą na pierwsze dni samotności dawnej przyjaciółki i koleżanki z pensji, od roku już zamężnej, niejakej Hermancji z Fiflów Grzegorskiej. Miał to być mentor⁵¹ dobrany najwłaściwiej na pierwsze w świat występy, ale nigdy nieszczęśliwiej trafić na nauczycielkę nie mogła baronówna. Pani Hermancja, córka bogatego bankiera, żona młodego spekulanta milionowego, już pierwsze lata przebyła na pensji w tych pewnych złudzeniach, co Lola, a od roku nie widziała innego świata znów oprócz salonów wiedeńskich i lwowskich i kunsztownej kultury.

Nie myślała dotąd o niczym oprócz strojów, występów, zabaw, podróży i trwonienia życia jak najprzyjemniejszego. Było to dla niej głównym zadaniem. Wydana za mąż wprost prawie z pensji za młodego jegomości, którego nie znała prawie, położeniem nawet podobnym do terażniejszego baronówny, zbliżała się do niej.

Od dwóch dni oznajmiono już w Gromach o bliskim pretendenta przybyciu, oczekiwano go tu, można sobie wyobrazić z jakim niepokojem i ciekawością. Nieczujaska ręce łamała po cichu, wołając ciągle:

– Do czego to podobne, do czego to podobne!

Lecz oprzeć się przeznaczeniu nie mogła.

W saloniku ciemnym trochę, którego okna niby gotyckie, niezgrabnie kolorowymi szybami upstrzone, na ogród wychodziły, tego samego poranku siedziały przy stoliku, zastawionym śniadaniem dawno ostygłym i porzuconym, dwie nieszczęśliwe istoty, najśliczniejsze w świecie.

⁵¹ m e n t o r (łac.) - tu: nauczyciel, doradca, przewodnik młodzieży

Baronówna Lola, w białym szlafroczku tyftykowym⁵² ze szlakami kolorowymi, słusznego wzrostu, majestatycznej postaci, ciemnych oczów i włosów, była w całym rozkwicie niewieściej piękności. Wielkie czarne, zdziwione jakby źrenice patrzyły na świat rozkazująco i despotycznie. Dziewczę wyraźnie czuło się stworzonym do panowania. Twarzyczka trochę długa, ale pięknych rysów, miała w sobie coś z cudzoziemskiego typu: nie pociągała ona wdziękiem tym wrodzonym, który często mniej urocze twarze ponętymi czyni, rozbudzała wszakże ciekawość jak zagadka, jak zamknięta księga w cudnej oprawie. W ruchach, mowie, postawie znać było, że baronówna wiedziała o swej wartości i cenić się umiała. Biło tam może i serce, lecz zasznurowane i ukołysane.

Śliczne ręce – dosyć krzepkich rozmiarów jak cała postać – oznajmywały wypiełgnowaniem, iż pani ich dbała o to, by cała była piękna. Nóżce też starała się nadać pewien kształt arystokratyczny, na którym nieco jej zbywało. Do charakterystyki kobiecej należą te, często zaniedbane, piękne lub niepiękne łapki, które tyle co twarz mówią. Z rąk można odgadnąć kobietę, nawet jej losy i przeszłość, a na to nie potrzeba chiromancji⁵³, tylko życia i doświadczenia. Ileż to rąk świadczy o doznanych nieszczęściach, o wyrzeczeniu się świata, o przedłużonej młodości, o stanie umysłu nawet, który nie przywiązywał do nich wartości. Są ręce naturalne, są sztuczne, są piękne a popsute, są brzydkie a upięknione... a! są pocziwe nawet i czasem głupawe rączki. Ale nie mówmy już o tym. Lola miała duże a piękne ręce niemieckie, umiejętnie podniesione do ideału. W tej chwili, sparta na jednej z nich, z głową spuszczoną, zadumana, mogła służyć za wzór do obrazu niewinnej melancholii Greuze'a⁵⁴.

Naprzeciw niej, w fotelu z wielką gracją rozłożona, Hermancja, zdawała się wtórować jej smutkom. Dwie panie miały z sobą pewne podobieństwo układu i wielkie typów dwóch różnice.

Pani Grzegorska była może powabniejszą niż surowa Lola, nieco dzika, nieco zagadkowa. Twarzyczka jej zaokrąglona, kształty utoczone, pulchniutkie, pełne, usta drobne a wydatne, nosek prawie zadarty, oczy wypełniające całą niemal powiekę źrenicami niebieskimi, postać przedziwnych form czyniła ją czymś w żywych obrazach kwalifikującym się na Hebe⁵⁵ klasyczną. Tryskała z niej zalotność niewinna jeszcze, naiwna może, ale będąca w naturze całej istoty stworzonej, by się podobała, by pociągała ku sobie i wiodła za sobą orszaki wielbicieli. Mniej było w niej dystynkcji, ideału, niebieskich promieni, więcej ziemskich żywiołów i ziemskich popędów, co nie przeszkadzało jej być niebezpieczną, zachwycającą i, gdyby chciała, niepokonaną. Rok życia znać już był piękną panią nieco rozbudził i rozpragnił, jeśli się tak wyrazić można. Promieniała weselem, szczęściem, pewnością swych jasnych przeznaczeń.

⁵² t y f t y k (osm. - tur.) - delikatna tkanina jedwabna, wełniana lub bawełniana

⁵³ c h i r o m a n c j a (gr.) - wrózenie z ręki

⁵⁴ G r e u z e J e a n B a p t i s t e (1725-1805) - malarz francuski. Malował sentymentalne obrazy rodzajowe z życia mieszczan oraz pełne wdzięku i naiwnej kokieterii postacie niewieście.

⁵⁵ H e b e - córka Zeusa i Hery, uosobienie wiecznej młodości

Siedziały tak dwie przyjaciółki naprzeciw siebie długo, wyczerpawszy znacząco rozmowę, gdy Lola odezwała się z ciężkim westchnieniem:

– Powiadam ci. Herma ty moja droga, nie ma dziwniejszego losu na świecie nad mój. Powtarzam za ciotką Nieczujską, do czego to podobne... to nie ma sensu.

– Oryginalne, nie przeczę – odparła, bawiąc się sznurem czarnym swej rannej sukni. Herma – ale jużem ci mówiła, że i ja nie inaczej prawie poszłam za męż. I, muszę dodać, kiedyż my inaczej wychodzimy, my, nieszczęśliwe niewolnice, kupowane na tym targu, który się nazywa salonem? Czyż my znamy kiedy narzeczonego, widując go po godzinie na dzień w białych rękawiczkach, teatralnie występującego ze wszystkimi swymi talentami i przymiotami?

– To prawda... ale ja, ja spodziewałam się, ja marzyłam... jam sobie zawsze mówiła, że nie oddam ręki, póki serca nie oddam... a tu...

– O! serce! – rozśmiała się Herma. – Między nami dwiema, wiem, że nas nikt nie słucha, myślisz, że ja swego Seweryna kocham? Miły mi jest, przywykłam do niego, nie mam wstrętu, ale kochać?! Żebyś go zobaczyła, wcale nawet przyzwoicie wygląda, pół godziny mówi rzeczy zajmujące, ale kochajże się w człowieku, który cały dzień gorączkuje się nie dla ciebie, tylko dla pieniędzy, wraca do domu z pełną głową kursów⁵⁶ i bilansów i przez sen mówi o podwyżce i spadku papierów⁵⁷.

– Ale bo ciebie wydano za spekulanta! – przerwała Lola.

– Tak, a ty możesz pójść za sportmena, za myśliwca, za gospodarza, za nie wiem kogo, i będziesz miała ze straszną jego namiętnością tak samo do walczenia jak ja. Takie to już teraz nasze życie...

Westchnęła i rozśmiała się zaraz.

– Ale co tam! na miłości idealne już wcale rachować nie można. Od czasu jak kucharki poprzebierały się za Heloizy, nie ma już Abelardów⁵⁸. Nasze zadanie nie dać się zgnieść, opanować, zostać paniami, no i dobrze się bawić... Życie może być takie zabawne!

– A! pleciesz doprawdy nic do rzeczy... nie masz litości nade mną – przerwała Lola – a tu losy moje rozstrzygać się mają. – Załamała ręce. – Ja muszę iść za tego hrabiego! muszę, co za wyraz okropny! Kobieta, która musi... nie może chcieć... i ja nie chcę. Nie chcę, a muszę! powiedz to sobie.

— Mówimy to sobie drugi dzień – przerwała Herma – ale czegoż musisz?

– Hrabia, mój opiekun, zarecza, przysięga, że to była wyraźna wola ojca mojego. On tak był dobrym dla mnie, a dziś, umierając, zaklina mnie, abym spełniła wolę ojca i jego, że to jest jedyny środek do szczęścia, a dla niego to, co mu śmierć osłodzić może... Słowem, wszystko to razem stawia mnie w konieczności, w okropnej konieczności...

⁵⁶ k u r s y - kupno i sprzedaż papierów wartościowych na giełdzie

⁵⁷ p a p i e r y - tu: papiery wartościowe, bankowe itp.

⁵⁸ H e l o i z a i A b e l a r d - autentyczni bohaterowie dramatycznego romansu: wybitny filozof i teolog francuski - Pierre Abelard (1079-1142) i jego 17-letnia uczennica Heloiza. Rozdzieleni po tragicznych przejściach kochankowie złożyli śluby zakonne i pozostali sobie wierni do końca życia. Miłość ich była wielokrotnie opiewana w literaturze.

— Śmieję się z tej konieczności okropnej. Ty bo masz jakieś usposobienie do pojmowania tragicznie żyda. Mówią, że postawą przypominasz Rachelę⁵⁹... toteż i za karę masz miłujące role tragiczne. Co za okropna rzecz pójść za młodego, przystojnego, dobrze wychowanego hrabiego, który jest w dodatku bogaty?

– Ale ja go nie znam! – wykrzyknęła Lola z rozpaczą.

– To go poznasz.

– A jeśli mi się nie podoba?

– No, to go będziesz znosić jak ja mojego.

– A jeśli podoba mi się inny?...

– Nie! ty bo koniecznie tragedię sobie komponować musisz! – zawołała Herma. – Nie będziesz miała czasu myśleć o tym... świat cię porwie! Będziemy się bawiły... bawiły, szalały!

Lola potrząsała główką.

– Tylko co go nie widać – dodała po namyśle. – Wystaw sobie moje położenie... Jak mam wystąpić? jak się pokazać? co mówić?

Pochwyciła się za głowę.

– Wiesz co, to prawda – przerwała nagle Herma – najważniejszej rzeczyśmy nie obmyśliły, twojej toalety. Sama nawet nie wiem, co ci radzić...

– Chcę wziąć suknię czarną – odparła z wielką serią Lola – wystąpię przed nim z całą powagą, na jaką się zdobyć potrafię. Żadnych błyskotek, pstrocin, żadnej, strój prawie żałobny... suknia czarna, wiesz, widziałas ją, ta, która tak ślicznie leży. Samaś mi mówiła, że mi w niej bardzo do twarzy...

– Ale coś przecie dla ożywienia jej dodać trzeba.

– Nic, nic... białe mankietki i prosty, śnieżnej białości kołnierzyk.

– Masz może broszę jaką? – zapytała Herma.

– Wszystkie szkaradne – odpowiedziała Lola z oburzeniem. – Jedna mozaikowa wenecka, druga malachitowa⁶⁰ spopolitowana, trzecia złota, stara i bez smaku.

– A brylantowa?

– Za nic brylantów nie włożę. Jedno, co bym mogła użyć, to coś złotego w rodzaju starożytnym, prostego a masyw⁶¹... widziałam takie przywiezione z Rzymu, ale sama nic podobnego nie mam.

– Przecie brosza jest konieczną...

– Mówię ci, żadnej ludzkiej nie mam. Westchnęła nieszczęśliwa.

– We włosy czarne choć różę! – dodała Herma.

– A! niech Bóg broni. Jak ty możesz nawet o takiej herezji pomyśleć. Róża to godło radości, szczęścia... ja nie chcę mu się wyświeżyć, ja go chcę przerazić!

Herma w pulchne rączki klasnęła.

– A! masz słusność! tyś sto razy rozumniejsza ode mnie, niech drży przed tym majestatem zawczasu, niech się uczy posłuszeństwa i grozy... Oj, jaka ty

⁵⁹ R a c h e l E l i z a, właśc. Felix - artystka scen francuskich w latach 1840 - 1855, członkini Theatre Francais. Najlepsza w rolach bohaterki dramatycznych.

⁶⁰ m a l a c h i t o w y (gr.) - szmaragdowozielony

⁶¹ m a s y w (fr.) - tu: jednolity, zwarty, masywny

jesteś przedziwna – dodała po chwilce – nieoceniona, jakaś ty nieskończenie dobra, żeś mi dozwoliła być świadkiem tej sceny. Wiesz co, włosy puść w puklach na ramiona – zawołała, jakby uderzona myślą wielką – masz je precudne i z tym ci niezmiernie do twarzy!

– Proszę cię, to by wyraźnie znaczyło, że myślę mu się podobać. A nie, to być nie może. Włosy gładko przyczesane i zwinięte w warkocz bez pretensji... Ja chcę być prawie brzydka.

– Nie rozumiem – odparła Herma – to nie jest naturalne, zawsze pragniesz być piękną.

– Mówiłam ci, chcę być straszna!

– To nie przeszkadza być piękną – Herma rzuciła się, nie domawiając tych słów, na szyję Loli i zaczęła ją ścisnąć śmiejąc się znowu.

– Gdybym ja była w twoim położeniu – odezwała się – ja mam naturę inną, ja bym wystąpiła przed niego w całym blasku piękności, starałabym się go oczarować, rozkochać, przywieść do szału... Wierz mi, to daleko zabawniejsze. A, żebyś ty, chcąc nawet być straszna, przestraszyć kogo potrafiła, temu nie wierzę, nadto jesteś piękną... wiesz, tak piękną, że z moją twarzyczką subretki⁶² czasem ci piekielnie tego oblicza Junony⁶³ zazdroścę. We mnie, ja to wiem, ludzie się kochają do szału przez dni kilka, a w tobie można się zakochać na wieki.

Jeszcze tak paplały, gdy wpadła ciocia Nieczujaska. Przy dwóch tych rozkwitłych bujniach różach kapitanowa wydawała się na kształt dojrzałego kasztana, ze swoją cerą brunatną, maleńkimi oczkami czarnymi i żołnierską postawą. Miała nawet zwyczaj brać się pod boki, a nosiła przy tym strój tak zaniedbany i niezręcznie włożony, jak gdyby chciała umyślnie wydawać się dziwnie.

– Moje panie! na miłość Bożą – poczęła od progu – godzina jedenasta, wy do tej pory w szlafroczkach, śniadanie nie sprzątnięte... czas się przecie pobierać. Hrabiego tylko co nie widać. Jeśli go nie było wczoraj, to dziś jak najpewniej będzie, nie ma najmniejszej wątpliwości. I to na obiad, ręczę... Obiad nawet zadysponowałam stosownie.

– Otóż masz – przerwała Lola – ręczę, że doda występuje, a ja proszę i błagam, żeby tego nie było.

– Co to jest „występuje”? – spytała Nieczujaska wcale nie zmieszana – kazałam krem zrobić, czyż to dla nich występ? Przecież trzeba pokazać, że my tu żyjemy też po ludzku... a mam gościa oprócz tego jegomościa. Indyk na pieczyście... Nie ma żadnych wątpliwości. Ale, na Boga, ubierać się idźcie!

– Dlaczego? dlaczego ja się mam spieszyć? – przerwała Lola – żeby zaraz wybiegła naprzeciw niego? Po co? przecie poczekać może. Właśnie pokazać tego nie chcę, iż był oczekiwany i że się tym niepokoiłam.

– Ale ja go będę bawić w salonie? ja? – spytała Nieczujaska.

– Ale nikt – odparła Lola – niech się sobie sam bawi lub nudzi, to mi wszystko jedno.

– Zlituj się, a toć przyszedł mąż – zawołała Nieczujaska – bo to rzecz nieuchronna, po cóż go dręczyć, po co go zrażać?

⁶² s u b r e t k a (fr.) - aktorka grywająca role wesołych i sprytnych pokojówek; pokojówka

⁶³ J u n o n a - bogini rzymska, władczyni niebios

Lola ramionami ruszyła.

– Już to, moja Lolciu – poczęła ciocia biorąc się w boki – wy tu dwie z Herma musiałyście dobrze się naradzić i ślicznych rzeczy nakomponować!

Herma, która lubiła śmiać się ze wszystkiego, z czego płakać nie mogła, roześmiała się głośno.

– Słowo daję cioci, że dawałam rady jak najrozumniejsze, jak najstateczniejsze, ale Lola... Lola się uwzięła grać z nim w strachy.

– Jak to? – zapytała Nieczujaska.

– Chce koniecznie tak wystąpić, ażeby go nastraszyła.

I ciocia zaczęła się śmiać.

– A już to próżno Loli chcieć coś narzucić, zrobi, co jej do głowy przyjdzie, lecz żeby miał się złęknać, choćby marsa⁶⁴ nastawiła, to wątpię. Uważajcie, jak lepiej, ja się do niczego mieszać nie chcę, ażeby potem za nic nie odpowiadać, radziłabym tylko zawczasu o ubraniu pomyśleć, bo to będzie niemała sprawa.

Lola milcząc wzięła chustkę ze stołu i pełna majestatu wyszła. Hermę zatrzymała Nieczujaska szepcząc po cichu:

– Cóż ona myśli? co mówi?

– Mnie się zdaje – szepnęła w ucho cioci, sypiąc wyrazami przerywanymi śmieszkiem, Herma – mnie się zdaje, że ona mówi o straszaniu, ale sama jest w niemałym strachu... W istocie takie zamażpójście! Moja kochana pani Nieczujaska, ja sama wyswatana zostałam jakby parową machiną, ale zawsze jeszcze nie tak.

– Bóg wie, co to jest – odparła Nieczujaska – naprzód, że to oboje młode, po wtóre, prawie się nie znają i tak łap cap do ołtarza, a wszystko to dlatego, że opiekun z puchliny umiera i lęka się, aby mu dziedziczka Gromów się nie wymknęła. A co potem będzie z obojgiem tych dzieci, to już na Pana Boga spuszczają. Śliczne mi ożenie...

Ruszyła ramionami Nieczujaska, spojrzała na Hermę i niezmiernie zdziwioną została widząc ją jak zawsze śmiejącą się tym śmieszkiem na pół dziecinnym, który zwiastował prawie radość, iż tak osobliwej przygody miała być świadkiem.

– Cóż na to już radzić? – zawołała – i ja pobiegnę się ubierać, bobym ani jednej sceny z tej komedii czy dramatu stracić nie chciała, a muszę się też jak do łoża wystroić.

Gdy się to działo na gotyckim zameczku w Gromach, hrabia Roman, przebudzony uderzeniem powozu na mostku, wyrzwał i z przerażeniem zobaczył przed sobą w pewnym oddaleniu cel swej podróży – wieżyczki niezdarne sławnej rezydencji hofrata⁶⁵ i barona Wilmschofena.

Zbliżała się chwila stanowcza, a Roman nie miał czasu, a raczej zapomniał był zupełnie namyślić się i obrachować, jak się miał przedstawić z listem stryja. Szło o to, a rzecz zdawała mu się niezmierniej wagi, czy jak, stał, po podróżnemu, naprzód zaprezentować się w tużurku, rękawiczkach ciemnych i kapeluszu rannym, a potem na obiad się pójść przebrać, czy też prosić od

⁶⁴ m a r s (łac.) - groźna mina, zasepienie

⁶⁵ h o f r a t (niem.) - radca dworu, tytuł wyższego urzędnika w cesarskich Niemczech i Austrii

razu o naznaczenie mieszkania i formalną na pierwszy występ uczynić toaletę.

Oba systema te miały coś za sobą, oba zdawały się dosyć usprawiedliwione, wybór był niezmiernie trudny. Jakże się biedził z sobą pan Roman, nie wiedząc, co postanowić, i chcąc już ciągnąć węzełki, gdy przed powozem rozległo się: – Stój! stój! – i wydobywszy głowę przez okno, zdziwiony niezmiernie hrabia ujrzał przed sobą pana Cherubina Bończę Bończewskiego, którego Niemcy zwali Ritter von Bontschefski – młodego przyjaciela i nieco dalszego sąsiada, konno, w pałowym fraku, jadącego ze smyczą chartów⁶⁶.

Ritter był wieku tego co Roman, usposobieniami i pozycją socjalną zbliżony do niego, panicz jak on i członek korpusu złotej młodzieży.

– Romciu, co ty tu, u licha, robisz?

– Cherubin! a ty?

– Ja poluję, jak widzisz.

– A ja z listem stryja jadę do Gromów.

– Stryj podobno dogorywa...

– Ma się w istocie bardzo źle.

– Z listem? ha! rozumiem – dodał Cherubin – to pewnie o ożenienie idzie, o którym powszechnie mówią.

Roman się zarumienił i kazał powozowi stanąć, gdyż dotąd Cherubin jechał przy drzwiczkach. Zsiadł teraz z konia i odeszli nieco na stronę. Bończa popatrzył na strój podróżny elegancki okiem znawcy.

– Przyznaj się – dodał ze śmiechem – jedziesz się pannie oświadczyć...

– Jadę z listem stryja – ostrożnie odrzekł Roman, korzystając ze spotkania, ażeby dręczącej niepewności koniec położyć, zasięgając rady przyjaciela. Wziął go za guz od rajtroka⁶⁷.

– Mój Cherubku, z czym i po co ja jadę, o to nie idzie, ale bądź tak dobry, powiedz mi, bo ty w tej mierze jesteś sędzią kompetentnym, co ja mam zrobić. Panny i domu tak dobrze jak nie znam, czy wypada mi tak się naprzód zaprezentować, jak stoję, z drogi, a na obiad zrobić toaletę, czy też...

Cherubin pokiwał głową.

– W istocie – odezwał się – pytanie skomplikowane. Gdyby w domu byli mężczyźni, gdybyś był poufale znajomy, oczywiście, że powinien byś stanąć, jak jesteś. Ale to kobieta, panna! Z drugiej zaś strony prosić o pokój, przebrać się... jak? *toilette du matin*⁶⁸ albo raczej rannej wizyty, a potem druga toaleta do obiadu, bo żaden człowiek przyzwoity, gdyby nawet sam na sam był, bez fraku do obiadu nie siada, to fundamentalne prawo.

– Na wsi?

– Co to na wsi! W Anglii tak jest, czy na wsi, czy w mieście trzeba zwyczajnie szanować, *ou on est un malappris*⁶⁹.

– Więc jak sądzisz? – spytał niespokojny Roman.

– Trudno rozwiązać, bardzo trudno – odparł Cherubin.

Spojrzał na strój Romana.

⁶⁶ s m y c z c h a r t ó w - para chartów

⁶⁷ r a j t r o k (niem.) - surdut z tyłu rozcięty, używany do konnej jazdy

⁶⁸ t o i l e t t e d u m a t i n (fr.) - poranny, przedpołudniowy strój

⁶⁹ o u o n e s t u n m a l a p p r i s (fr.) - albo jest się prostakiem

– Masz na sobie ranny surducik – rzekł – który nie ujdzie na żaden sposób, *trop sans facon*⁷⁰...

– Więc się przebiore – szybko dokończył Roman – ale kiedy już o tym mówimy, jak ci się zdaje, krawat biały?...

Cherubin zadał usta.

– Hm, sądzę, nie sądzę – zawyrokował – prędzej kamizelka... i to jest kwestia trudna. Panna, kobiety... Chociaż *c'est recu*⁷¹, że tylko do ambasadorów i na uroczyste obiady kładzie się krawat biały. Czarny ujdzie... Rękawiczki też paliowe⁷² lub perłowe, bo to wieś.

Cała ta rozmowa z wielką z obu stron była prowadzona powagą.

– A z włosami co zrobisz? – spytał Cherubin – bo to na wsi...

– Ale mnie mój Francois fryzuje i czesze, jak nie można lepiej – odparł Roman – o to się nie troszczę.

Podali sobie ręce.

– A więc mam ci życzyć szczęścia? – dodał Bończa. – Pannę widziałem, bardzo piękna... że bardzo majątna, o tym wy najlepiej wiecie. Co się tyczy reszty, jest to tajemnica. Ciocia Nieczujaska, bywając w sąsiedztwie, wychwalała baronównę jako niezrównaną istotę. Szczęśliwym zaprawdę jesteś człowiekiem, wszystko ci samo, bez szukania i troski przychodzi... Ja bym się też chętnie ożenił, szukam, a znaleźć nie mogę.

Roman westchnął, nie miał znać ochoty przydłużać rozmowy.

Bończa, przeciwnie, rad by ją był przeciągnąć, szło mu o wybadanie sentymentów przyjaciela, gdyż od dawna żywił nadzieję poznania baronówny i miał pewne projekta. Spieszne swaty chorego hrabiego pupili z synowcem wcale mu nie były na rękę, rachował jednak na to, co mu doktor powiedział, iż stary ten Filip żyć długo nie może, że ślub tak prędko się nie odbędzie, a on, korzystając z tego, iż pannie narzucony mąż pewno się nie podoba – odsadzić go potrafi.

– Proszę cię, mój Romciu, ot, tak szczerze – odezwał się – serio więc myślicie dobijać targu? he? Jakże? – wpatrzył mu się w oczy. – Szanuję wielce i pojmuję twojego stryja, ale wyznam, że mi ciebie żal. Młody jesteś, masz wszystko, czym się podobać możesz, trochę by ci się dłuższej swobody należało, panny nie znasz i tak w ciuciubabkę żenić się musisz...

Roman spuścił oczy.

– Ale to, zdaje się, dawno ułożone są rzeczy – rzekł cicho – ja się stryjowi sprzeciwiać nie mogę...

– Ja go szanuję też... *mais je vous avoue*⁷³ – rzekł spiesznie Cherubin biorąc go za rękę, jakby się lękał, żeby mu nie uciekł – *je vous avoue, c'est un procede, au moins, excentrique*⁷⁴ między nami, panna będzie już od roku źle

⁷⁰ *t r o p s a n s f a c o n* (fr.) - zbyt bezceremonialny

⁷¹ *c' e s t r e c u* (fr.) - to przyjęte

⁷² *p a l i o w y* (fr.) - koloru słomy, jasnożółty

⁷³ *m a i s j e v o u s a v o u e* (fr.) - ale wyznaję panu

⁷⁴ *j e v o u s a v o u e, c' e s t u n e p r o c e d e, a u m o i n s, e x c e n t r i q u e* (fr.) - wyznaję panu, to sposób co najmniej ekscentryczny

przeciw tobie uprzedzoną jako przeciw narzuconemu... *c'est grave, c'est tres grave*⁷⁵...

Roman, milcząc, końce krawatu poprawiał.

– Na twym miejscu – mówił Bończa – ja bym starał się przynajmniej przeciągnąć, *gagner du temps*⁷⁶...

Roman spojrział na zegarek.

– Jeszcze sam nie wiem, jak postąpię – odparł sucho. – Rzeczywiście to położenie osobliwe mnie przeraża. Jest to małżeństwo *de raison et de convenance*⁷⁷...

– I *in articulo mortis*⁷⁸! – śmiejąc się dodał Bończa. – Zapewne, to jedna z najmniejszych rzeczy, *mais cela frise le ridicule*⁷⁹, a śmieszność jest rzeczą niezmiernie bolesną.

Roman zarumienił się, pierwszy bowiem raz przychodziło mu na myśl, że w istocie mógł się stać do pewnego stopnia śmiesznym. Zaniepokoiło go to mocno, a i tak już dosyć był niespokojnym. Westchnął.

– Mnie cię szczerze żal – dokończył Cherubin – ale cóż robić. Stryj ma swe prawa i mariaż⁸⁰ zresztą świetny. *Sapristi!*⁸¹ Pruhów i Gromy, takie dwa klucze bez długów to coś znaczy, dla połączenia dwóch takich kompleksów coś ważyć można...

Śmiejąc się dosadnie ścisnął dłoń Romana, który wrócił do powozu zmieszany, a Bończa, cmoknąwszy na charty, puścił się kłusem przez pola, ręką jeszcze zasyłając mu najczulsze pożegnanie, choć wiedział, że mu groźbą tej śmieszności przeszył serce.

Zbity z odwagi i z tropu Roman siadł do kocza, tak potrzebując rozmyślić się jeszcze nad znalezieniem się swym w Gromach, iż kazał jechać powoli, aby zyskać na czasie.

Wcale się nie domyślał, iż z wieżyczki gotyckiego dworku Herma i Lola, z perspektywą⁸² stojąc, od dawną każdy jego krok śledziły. Jak tylko powóz się pokazał z dala, pusta Herma wykierowała nań teleskop i zawołała Loli. We dwie, na przemianę stojąc, miały czas napatrzeć się spotkaniu dwóch przyjaciół, ich obrotom, prawie mogły domyśleć się rozmowy.

Teleskop był tak doskonały, iż Herma mogła przezeń wyegzaminować postawę i strój pretendenta⁸³ i poznać pana Bończę, którego widywała we Lwowie.

⁷⁵ *c'est grave, c'est tres grave* (fr.) - to jest poważne, to bardzo poważne

⁷⁶ *gagner du temps* (fr.) - zyskać na czasie

⁷⁷ *de raison et de convenance* (fr.) - z rozsądku i z konwensansu

⁷⁸ *in articulo mortis* (łac.) - wobec grożącej śmierci

⁷⁹ *mais cela frise le ridicule* (fr.) - to jest bliskie śmieszności

⁸⁰ *mariaż* (fr.) - małżeństwo

⁸¹ *sapristi!* (łac.) - Do licha!

⁸² *perspektywa* (łac.) - tu: luneta

⁸³ *pretendent* (łac.) - starający się o coś, domagający się czegoś; tu: starający się o rękę panny

Gdy powóz zatrzymany poruszył się znowu, Lola i Herma pobiegły się ubierać. Dano znać na dół, ażeby przybyłemu powiedzieć, iż pani domu nie była ubrana i przyjąć go nie mogła jeszcze.

Roman, na zegarku widząc już pół do pierwszej, był pewien, iż na wsi o tej godzinie wszystkie toalety są skończone. Zdziwił się nieco, gdy mu kamerdyner w ganku ceremonialnie wyrok wydany obwieścił i poprzedzając go, zaprowadził do przeznaczonych mu pokojów.

Pani Nieczujaska starała się za wcześniej o to, ażeby młodemu hrabiemu dać apartament, który by o domu wyobrażenie zrobił korzystne; wydał się jednak rozpieszczonemu Romanowi i Francois *tres mesquin*⁸⁴. A złego smaku. Norymberszczyzna nieboszczyka hofrata nadto go pstrzyła, a przez nią czuć było tandetę.

Bądź co bądź, Roman wolał, że go zrazu nie przyjęto, miał czas się jeszcze namyślić. Trudno uwierzyć temu, lecz głównym przedmiotem tych rozmyśłów było, czy od razu wystąpić we fraku, czy w surducie.

Do godziny pierwszej musiał się co najmniej ubierać, obiad miał być o trzeciej. W ostatniej instancji rozstrzygnął Francois, który frak przygotował. Było to nieco śmiesznym, lecz tyle już tu gromadziło się śmieszności, że na jedną więcej nie było co uważać.

Z niemałym trudem dokonawszy toalety rozumowanej, z cylindrem pod ręką, w rękawiczkach perłowych, z lekka uperfumowany ekstraktem siana, z głową przedzieloną cudownie, z włosami ułożonymi anielsko, ze szpilką w chustce ozdobną prawdziwym skarabejem⁸⁵ egipskim hrabia Roman spuszczał się z wolna po wschodach do sieni.

Tu oczekiwał nań kamerdyner, który mu drzwi salonu otworzył.

Przygotowanym byt gość na ujrzenie już oczekującej go gospodyni. W salonie nie było nikogo. Nawet ciocia Nieczujaska nie wyszła jeszcze.

Ponieważ dzień był jesienny i chłodny, palilo się na kominku, na stołach porozrzucane były albumy i książki.

Salon świeżo umeblowany okrutnie przypominał hotel pierwszego rzędu. Zwierciadła w ramach złożonych, portiery tuzinkowe, meble form zużytych nie miały żadnego charakteru.

Hrabia Roman, zawsze z kapeluszem pod ręką, nie śmiejąc się, przechadzał się po cichu, zaglądając w książki, aby z nich choćby powziąć jakiegokolwiek wyobrażenie o charakterze swej przyszłej narzeczonej.

Jeden z albumów zawierał same portrety koleżanek z pensji, drugi nauczycielek. Ilustrowane tomy przy nich leżące były tak pospolite, że z nich o smaku i upodobaniach nic wnosić nie było można. Coś więcej mówiły, choćby o lingwistycznych studiach baronówny, na drugim stole jeden tom Goethego, jeden tom Longfellowa⁸⁶, jeden Manzoni⁸⁷ i jeden Mickiewicza. Wi-

⁸⁴ *t r e s m e s q u i n* (fr.) - bardzo lichy

⁸⁵ *s k a r a b e j*, *s k a r a b e u s* z (gr.) - chrząszcz czczony w starożytnym Egipcie jako zwierzę święte; podobizny tego chrząszcza zrobione z drogich kamieni lub wypalanej glinki służyły jako amulety do wyrobu biżuterii

⁸⁶ *L o n g f e l l o w H e n r y* (1807 - 1882) - poeta amerykański, epigon romantyzmu, autor poematów i powieści poetyckich (*Evangeline, Pieśń o Hajawacie*)

docznie lubiła poetów. Ale wszystkie te tomy, jak się okazało wzięwszy je w ręce, były nie porozcinane.

Żadnej kobiecej robótki nie było w salonie. Na trzecim stole cały stos dzienników mód porozrzucanych przez Herme leżał w chaotycznym nieporządku. To już miało pewne znaczenie. Roman się ucieszył, lubił w kobiecie elegancję, obawiał się w żonie gospodyni, kucharki.

Dostrzegł też na niesmacznej poduszce szytej herb Wilmshofenów arcyskomplikowany, nad którym studium dosyć przyjemnie czas mu zajęło. Składał on się z sześciu tarczy i trzech hełmów nad nimi, na których były bawole rogi, ogon pawi i głowa Murzyna. W środku haft nie dozwalał nic rozpoznać wśród pstrej mozaiki nad głową z wielkimi uszami, wątpliwa była czy ośla, czy cielęca, pięć jakichś plam i mnóstwo pasów. Herb miał fizjognomię zupełnie obcą, kosmopolityczną, ale niczego. Panna więc musiała do rodu pewną przywiązywać wagę, co też hrabiego Romana uradowało.

Z tego, co młodość lubi, były tylko dosyć wyschłe i zaniedbane kwiatki przy oknach. Niektóre z nich powędłe schylały główki, mdlejąc z pragnienia. Dwa wielkie portrety Amerlinga⁸⁸ wystawiały nieboszczkę baronową, hożą i piękną kobietę, w sukni atlasowej z koronkami, bransoletami, koliami⁸⁹, łańcuchem, wachlarzem itp., i hofrata w mundurze, orderach, z kapeluszem pod pachą, ręką jedną spartego kunsztownie i z gracją na stole, na którym leżały rozrzucone papiery z pieczęciami i kilka ksiąg wyglądających na kodeksa praw. W głębi widać było bibliotekę.

Twarz hofrata, ogolona na czysto, miała wyraz zadumy oficjalnej i powagi wysokiego urzędnika. Spoglądał z portretu na świat bezrangowy i beztytułowy z dumą wielce wyrazistą. Ręka z lekka sparta na stole, choć od niechcenia, zdawała się rozkazywać posłuszeństwo papierom. Na jednym z palców widny był pierścień ogromny brylantowy, otrzymany w nagrodę.

Wpatrzywszy się w portrety, hrabia Roman zadumał się mocno – niezmiernie mu to wszystko parafiańszczyzną i biurokracją czuć było. Na kominie zegar stał tak brzydki, iż hrabia wstrząsnął się nań spojrzawszy. Na wahadle niby na huśtawce siedział pastuszek i pasterka. Pastuszek w pluderkach⁹⁰ z różowymi podwiązkami, pasterka w kapelusiku szwajcarskim. Podnoszenie się i opadanie tej pary było niecierpliwiące. Ale zegar, jak inne sprzęty, był zabytkiem po hofracie, który kupił go za dzieło sztuki.

Upokorzony widokiem tak niesmacznego towaru w salonie hrabia Roman stał jak wkuty, nie mogąc od niego oczu oderwać, gdy drzwi się boczne otwały i w milczeniu, procesjonalnie wyszły: naprzód czarno ubrana, poważna, chmurna baronówna Wilmshofen, za nią usiłująca śmiech w sobie pusty stłumić Herma, na końcu kapitanowa Nieczujka.

Ta ostatnia bardzo się rzadko ubierać czuła potrzebę, nie lubiła stroju, nie cierpiała myśli o nim, zmuszona więc tym razem niby się ubrać, wystąpiła dosyć dziwnie. Herma, którą wezwała na radę, do szkockiej sukni ponapiła jej kokard pasowych i coś na głowie umieściła, co nie wiedzieć, czy

⁸⁷ M a n z o n i A l e s s a n d r o (1785 - 1873) - pisarz włoski, autor *Naręczonych*, słynnej powieści historycznej z dziejów Lombardii XVII w.

⁸⁸ A m e r l i n g Friedrich (1803 - 1887) - austriacki malarz i portrecista

⁸⁹ k o l i a (fr.) - naszyjnik, zwłaszcza kosztowny

⁹⁰ p l u d r y (niem.) - niemieckie szerokie, bufiaste spodnie

było strojem, czy przypadkowo narzuconym gałgankiem. Procesja tych trzech niewiast wychodziła ze drzwi powoli, nic nie mówiąc i widocznie zmieszana.

Piękność Loli naprzód uderzyła stojącego w środku salonu hrabiego, była w istocie imponująca, majestatyczna, ale przy wielkiej młodości ta wymuszona nieco powaga była niemal przesadzoną i śmieszna.

Jakby dla uwydatnienia jej jeszcze śmiejąca się twarzyczka Hermy stała tuż dla kontrastu, poza nimi ciemnobrunatna maska pani Nieczujskiej skrzywionej okrutnie wypełniała trójkę najdziwaczniej dobraną.

Lola szła sztywnie, milcząco i zaledwie skłoniła głową, gdy hrabia Roman, dobywszy list stryja z prawidłowym ukłonem, głosem nieco drżącym odezwał się:

– Przebaczy pani, że się jej sam przedstawić muszę, wprowadzony do jej domu tylko listem polecającym mojego stryja. Od dawna pragnęłam mieć szczęście...

Lola trochę za spieszenie przerwała mu, nie dając dokończyć:

– Przez nikogo lepiej pan hrabia zaleconym mi być nie mogłeś, jak przez mojego kochanego opiekuna.

Tu wypadło hrabiemu Romanowi prosić gospodyni, aby go nie znanej mu przedstawiła przyjaciółce, gdyż panią Nieczujską znał dawniej.

– Moja przyjaciółka Herma Grzegorska... pan hrabia Roman Zebrzydowski.

Figlarne oczki Hermy strzeliły na prost w źrenice nieszczęśliwego Romana z taką ironią, iż się nieco zmieszał.

Śmieszność przepowiedziana przez Bończę już mu się w tym wejrzeniu czuć dawała. Pot występował na czoło. Pobieżne spojrzenie na Lolę przekonywało go, że więcej była zmieszana i zakłopotana niż radą z jego przybycia.

Młoda gospodyni wskazała fotel. Pani Nieczujńska spytała nagle o zdrowie hrabiego Filipa.

– Jest dosyć niedobrze – wybąknął Roman.

Nie ma innej rady – pomyślała w duchu kapitanowa – jeśli ja tu nimi nie zarządzę i nie wezmę ich pod swoją opiekę, jakąś nedorzecznosc zrobią i nie wiem już, jak z tego wyjdą.

Prawie słowo w słowo toż samo powiedziała sobie Herma, a co pomyślała Lola, odgadnąć było trudno.

Zasiedli tedy, Lola zawsze z powagą niezmierną. Herma, jako osoba zamężna, z pewną swobodą pozy rozsiadła się, pochyliwszy książkę, żeby nią zakryć śmiejące się usta, a oczkami świdrowała biednego młodzieńca na wyłot bez litości. Ile razy hrabia w tę stronę spojrzał, znajdował ten jej wzrok nieustannie wlepiony w siebie, a nie opodał zegar fatalny z kołyszącą się pasterką i pastuszkami do niecierpliwości go doprowadzał.

Na Lolę natarczywie zbyt patrzeć i badać ją przyzwoitość nie pozwalała. Nieczujńska stała na straży pilnej, ażeby, w razie niebezpiecznego przechylenia się jakiegoś rozmowy, ratować.

Ale rozmowa wcale nie szła, po kilku wymówionych słowach wątek pękł i nie sposób go było nawiązać. Milczenie to tak śmieszyło Herme, że książkę przyłożyła aż do ust. Nieczujńska była oburzona jej swawolą, Lola, czując się wystawioną na wzrok narzeczonego, rumieniła się i bladła. Położenie z każdą chwilą stawało się nieznośniejszym. Hrabia Roman czuł, że od jego przytomności umysłu zależał ratunek. Niebezpieczeństwo natchnęło go komunałem.

– Mało znam tę okolicę – rzekł – chociaż od Pruhowa nie bardzo jest odległą. Gromy bardzo są pięknie położone... ogród...

Herma całą twarz już zakryła. Lola jako gospodyni zebrała się na odpowiedź:

– Gromy nie mogą iść w porównanie z rezydencją pańskiego stryja. Pamiętam pałac z lat dawnych, bywałam tam, gdy pan hrabia odbywał podróżę. Park mi się bardzo podobał.

– Jest to dzieło mego stryja.

– O! stryj pański ma wiele gustu – dodała Nieczujaska, podsycając tę sztuczną rozmowę.

– Listu nie przeczytałam – wtrąciła Lola ciągle z wielką powagą – lecz samo to, że mógł go pisać mój opiekun, już mnie uspokaja.

Roman nie śmiał wspomnieć, że list był dyktowany i drżąca ledwie podpisany ręką.

– Chwilowo jest nie bardzo źle – odezwał się – lecz lekarze przestraszają nas.

– Bo to ci doktorowie – wtrąciła ciocia – zawsze gotowi straszyć tylko, aby mieć potem większą z uratowania zasługę.

Rozmowa tak przeraźliwie była pospolitą i nudną, że Herma, która się wcale innego spodziewała, zniecierpliwiona porwała się i poszła do okna. Dało jej to zręczność wystąpienia przed zdumionymi oczyma młodzieńca z całym zalotnym wdziękiem postaci.

Zegar wskazywał dopiero drugą godzinę – do obiadu było niezmiernie daleko, minuty pełzły zółwim krokiem. Herma, gdy wychodziła do salonu, posprzeczała się była i nastraszyła Lolę, dowodząc, że powinna sam na sam pozostać z hrabią Romanem. Z tego powodu przerażona Lola wymogła na przyjaciółce, że ją na chwilę nie opuści. Lecz zrobienie figla nadto było powabnym dla Hermy, aby na nią zbyt wiele liczyć było można. Lola truchlała.

W tej chwili dla jakiejś dyspozycji kamerdyner wywołał ciocię Nieczujaska; okiem litości błagającym spojrzała Lola na towarzyszkę, która niby nic nie widząc i nie rozumiejąc, z kwiatkami u okna miała do czynienia.

Roman rozglądał się po salonie, ale w oczach mu się ćmiło, widział tylko przed sobą malowanego hofrata, perpendyku⁹¹ zegara i ogromne falbany sukni pani Hermy. Na Lolę nie miał nawet spojrzeć odwagi.

Pierwsze wejrzenie nauczyło go, że była bardzo piękną, że ruchy jej, pełne powagi, wrodzonym, instynktowym nacechowane były wdziękiem. Głos miała miły choć na pozór surowy. Nie zakochał się od tego spojrzenia, bo w ogóle do zakochania był trudny, ale powiedział sobie, że jako hrabina Zebrzydowska baronówna pięknie będzie wyglądać.

Jakkolwiek uprzedzona przeciw narzuconemu jej pretendenciowi, Lola też nie znalazła go tak źle, jak się lękała: wydał jej się krochmalny, sztywny, zimny, ale znośny.

Herma, z daleka go egzaminując, wyznała w głębi ducha, że daleko był pokażniejszym od jej męża.

– Pan wiele podróżował? – zapytała, nagle przysiadając się do niego Herma. – Gdzież pan był?

⁹¹ p e r p e n d y k u ł (łac.) - wahadło zegara

– Po troszę wszędzie – rzekł Roman – podróż jednak odbywałem tak pośpiesznie, iż za niezbędne uważam ją kiedyś, jeśli okoliczności dozwolą, powtórzyć.

– A Paryż pan zna? – spytała Herma, której narzucało się inne pytanie, zaledwie litością dla Loli powstrzymane: chciała go zapytać, czy był w Kolo-
myi.

– W Paryżu mieszkałem kilka miesięcy, ale na Paryż i to za mało.

– Lub za wiele – dodała Herma – bo się już po kilku miesiącach pobytu tęskni za nim. Ja tylko kilka tygodni przesiedziałam tam i zapomnieć go nie mogę. A! uroczy... Namawiam Lolę, byśmy jechały razem.

Roman odpowiedzieć nie umiał; Lola strzepiła bardzo piękną batystową chusteczkę. Wchodząca na powrót Nieczujaska zdyszana popatrzyła na Lolę blada, na zbyt rumianą Hermę, na wyprostowanego kawalera i w duchu rzekła sobie:

– To dopiero historia! Co ja tu z nimi pocznę?

Hrabia Roman z ciężko dobywających się z ust Loli wyrazów, z całej postawy jej, z twarzy mógł poznać, że nie był dla niej pożądanym gościem. Mógł się on tego spodziewać wcześniej, ale inaczej sobie wyobrażał tę wychowankę klasztoru, jako istotę trwożliwą, nieśmiałą, powolną, dziecinną. Znajdował w jej miejscu wprawdzie wiekiem młodziuchną, ale niezwykle surową, nasrożoną i zimną istotę, która mu się mówić zdawała, że go nie chce i że może sobie iść precz.

Takie na nim czyniła wrażenie. Zadanie stawało się nieskończenie trudniejszym, niż sądził.

Nieczujaska, widząc zakłopotanie dwojga przyszłych małżonków, puściła się sama na gadaninę dosyć niezręczną, byle nie dać utrapionemu zapanować milczeniu. Plotła trzy po trzy, lecz to ratowało resztę towarzystwa od gorszego jeszcze łatania rozmowy przerywanej. Mówiła, co jej do ust przyszło. Roman kiedy niekiedy rzucił słowo. Herma miała pretekst do śmiechu, który ją dusił, Lola patrzyła w okno, prawie się nie mieszając do rozmowy. Wszyscy co-
raz to spoglądali na zegar, który ze swymi pastuszkami huśtającymi się, jak-
by wcale nie szedł, tak wskazywał powoli upływające minuty.

– Wszystko to nic jeszcze – mówił sobie w duchu Roman – ale po obiedzie! Co ja tu nieszczęsny poradzę i jak się z nią rozmówię?

Tej właśnie rozmowy Herma była najciekawszą, obiecywała sobie, bądź co bądź, ją podsłuchać.

Biła trzecia, gdy kamerdyner otworzył drzwi i pani domu, wejrzeniem zapraszając gości za sobą, umyślnie podała rękę Hennie. Hrabia został z Nieczujaska i musiał ją prowadzić. Zastanowił się w tej chwili mocno, czy nie było w tym uchybienia formom, czy to nie oznaczało dlań odepchnięcia i pogardy, ale kodeks przyzwoitości wytłomaczył mu, iż z dwojga gości gość kobieta zawsze miała pierwszeństwo. Zostawała wątpliwość, czy nie powinna była gospodyni jemu kazać prowadzić ją do stołu. Nad tym obiecywał sobie później się zastanowić.

Stół zastawiony był bardzo skromnie, unikano widocznie występowania. Gospodyni posadziła przyjaciółkę na pierwszym miejscu, w końcu stołu, sama usiadła z jednej strony, z drugiej, przez cześć dla płci należną, Roman pani Nieczujskiej krzesło ustąpił, a sam siadł prawie na samym końcu. I to się jakoś niedobrze złożyło. Widocznie nie przywiązywano tu wielkiej wagi do

przybycia jego osoby. Obiad też zadziwił go spartańską prostotą mimo indyka i kremu. W pałacu w Pruhowie dawano często jeść wcale niesmacznie, ale z pewnym szykiem – tu go nie było.

Przy stole Herma sama bawiła wszystkich, a Roman, powiedziawszy sobie, że nie ma nic do stracenia, nie bardzo się na podobanie wysiłał. Jadł, milczał i czasem słówko rzucił... zaczynał się czuć obrażonym; gospodyni jadła, choć nie miała apetytu, aby nie pokazać wzruszenia, jakiego doznawała.

Wstali od stołu wszyscy niekontenci z siebie, nawet Herma, której brakło oczekiwanego dramatu.

Kawę czarną bez likworów⁹², co niezmiernie zastanowiło Romana, podano w salonie.

– Nie mam co robić – rzekł sobie w duchu – rozkazy stryja są stanowcze, przyśpieszę rozmowę, wezmę arbuza⁹³ i jeszcze dziś odjadę.

Lecz właśnie owo przyśpieszenie rozmowy było niezmiernie trudne, bo wszyscy się uwzięli, aby ją uczynić niepodobną. Wstrzymywana wzrokiem przyjaciółki Herma, w końcu i litością tknięta, nie wychodziła z salonu, kręciła się po nim ciocia Nieczujka.

Zaczynało się na zmierzch zabierać, gdy Roman sięgnął po kapelusz; ruch ten nadzwyczaj wszystkich zastanowił i zdumiał. Pewni byli, że zanocuje.

Przykre położenie dodało odwagi młodzieńcowi. Wstał z krzesła. Nie miał już nic do stracenia. Zwrócił się ku Loli nie mniej od innych zdziwionej, a nawet trochę niespokojnej, co to znaczyć miało.

– Gdyby pani była łaskawą kilku słowy odpowiedzieć na list mojego stryja lub przynajmniej pozwolić mi z sobą pomówić słów kilka...

Niezmiernie zmieszana Lola ruszyła się na kanapce. Ciocia Nieczujka przed chwilą była wyszła. Hermie dosyć było tych słów, aby się co najprędzej wysunąć i stanąć przyczajonej za drzwiami.

Zostali sami.

Roman, z kapeluszem w rękę, w pozycji jak do kontredansa⁹⁴, czekał na odpowiedź. Lola z wolna wzrok nań pytający podniosła.

– Treść listu – odezwał się młodzieniec – musi być pani wiadomą. Proszę wierzyć, iż czuję całą ekscentryczność położenia, w jakie mnie wola stryja, a pani opiekuna wprawiała, lecz nie będę nadużywał go i radził pani. Jest to dziwactwo chorego człowieka, któremu jednym słowem możesz pani koniec położyć. Wiem, jak muszę być śmiesznym i przykrym gościem...

Lola się zerwała szybko z kanapy, jakby po namyśle, z heroiczną odwagą.

– Pan się mylisz – rzekła – jakkolwiek wola mojego opiekuna zdawać się może dziwaczną, jest ona dla mnie wyrazem woli ojca... Gotowam jej być posłuszną.

Roman osłupiał.

– Tak jest – dodała – lecz spodziewam się, że z tego pośpiechu, który spowodowała choroba, pan hrabia nie zechcesz korzystać. Podamy sobie ręce przy ołtarzu, rozpoczynając od tego lepszą wspólną znajomość.

⁹² l i k w o r (łac.) - słodka wódka, likier

⁹³ a r b u z (tur.) - tu: odmowa, nieprzyjęcie oświadczyn

⁹⁴ k o n t r e d a n s (fr.) - kadryl, taniec figurowy tańczony parami, przeplatany grami towarzyskimi przy muzyce

Przymuszony uśmiech przebiegł jej usta.

– Nie wiem, czy pan się mnie podobasz, nie śmiem sobie pochlebiać, że ja mu się podobać mogę...

– A jeżeli nie?

– No to żyć z sobą nie będziemy! – sucho odparła Lola. – Ja pana nie znam, a zapowiadam, że jestem wymagająca.

Roman milczał.

– Odmowa z mej strony – mówiła Lola – miałyby i ten skutek nieszczęsny, że mogłaby wpłynąć na stan zdrowia opiekuna, co wiecznie miałabym sobie do wyrzucenia. Jesteśmy więc przeznaczeni. Bardzo mi pana żal...

– A! pani – zawołał Roman – mnie nie ma co żałować, choć w istocie nieszczęśliwy jestem, będąc zmuszony dla pani być nienawistnym natrętem.

– Nie mówmy o tym – przerwała Lola – mamy wiele innych rzeczy do ułożenia wprzód, nim... nim się ta formalność odbędzie. Pan jesteś człowiekiem honorowym, spodziewam się...

Roman się skłonił zdumiony tą śmiałością pensjonarki, która mówiła dalej z rodzajem dziecinnej egzaltacji:

– Ja pańskiej woli w niczym tamować nie będę, ale moją chęć zachować całą.

Znowu się skłonił Roman, słuchając coraz baczniej.

– Żyłam dotąd tak zamknięta w ciasnych murach – mówiła Lola głosem drżącym – iż pragnę świat szerszy poznać i zobaczyć. Nie będę od pana potrzebowała nic, bo mi na to starczą, jak mówią, dochody z majątku. Być może, iż będę podróżowała...

– Sama jedna? – zapytał Roman.

– Któż panu broni jechać też, byle nie razem ze mną – dodała Lola – ja chcę być swobodną, ale pańskiej swobody nie krępuję.

– Pozwoli mi pani powiedzieć słówko? – przerwał hrabia.

– Słucham pana.

– Cóż ludzie powiedzą na takie małżeństwo? – odezwał się strwożony widocznie. – Przyznaję się pani, że opinia świata obchodzi mnie wielce, że narażać się na nieprzyzwoitość lub śmieszność nie chciałbym za nic ani na nie panią narażać.

– Wszak się to da uniknąć... ja także śmieszna być nie chcę, ale przyznam się panu, że gdybyś pan udawał zakochanego, a ja wzajemną, to dopiero byłoby prawdziwie śmiesznym.

– Nie wiem – odparł grzecznie Roman – boć zakochać się bardzo mogę i czuję...

– A! proszę bez tych komplementów! – przerwała Lola – ja w to nie wierzę.

Roman zamilkł.

Lola darła ciągle, mówiąc, chusteczkę, znać było po niej, że naprzód sobie tę rozmowę osnuła, że ją, obawiając się sama siebie, recytowała jak lekcją. Nie śmieli spojrzeć jedno na drugie.

– I to jeszcze dodać muszę – odezwała się Lola – że jestem charakteru energicznego, że niełatwo daję rozkazywać sobie, że przemoc mnie oburza i że w małżeństwie niepodległą chcę pozostać. Wolę, żebyś to pan wiedział wcześniej.

Roman słuchał coraz bardziej odurzony tą odwagą dziewczycą, naprzeciw niej on ze swej strony nie miał prawie nic do odpowiedzi. Zdało mu się

jednak, że wobec wyznań tak otwartych powinien był także coś o sobie powiedzieć.

– Co do mnie – odezwał się – nie wiem prawdziwie, jakim jestem, a raczej jakim będę, lecz mogę panią zaręczyć, że nie popełnię umyślnie nic, czym bym się pani mógł narazić, i że się starać będę raczej osłodzić jej życie, niż je zatruć. Pani sama wiesz o tym najlepiej, iż w całym dosyć dziwnym staraniu moim o jej rękę, jeżeli to tak nazwać można, nie było ani mej woli, ani winy. Stryj i okoliczności przemagające zmusiły mnie do tego. Pani także postanowiła ulec konieczności, nie będziesz więc chciała mścić się na mnie za winę nie moją.

Lola słuchała z uwagą, ale bynajmniej nie zmiękczona tym wyznaniem.

– Czy pani pozwoli mi choć do jutra pozostać? – zapytał Roman.

– Nie bronię, proszę, i owszem – odparła Lola – ale zastanów się pan, do czego się to przydało? Stryj pański jest chory i niespokojny, kilka godzin rozmowy nie zapozna nas lepiej z sobą. Możesz pan zabawić, ale nie wiem, czy się to godzi i czy to panu być może przyjemnym.

Zmieszał się Roman – Lola miała słuszość, nie pozostawało mu nic, tylko zimną otrzymawszy posłuszeństwa obietnicę, wzięść kapelusz i jechać. Pan na go w istocie przytomnością umysłu i chłodem, wyższością pewną, którą uznawał, przestraszyła.

Nie mówiąc słowa podniósł się z krzeselka i skłonił ceremonialnie, a baronówna wstała i z powagą przesadną uklon mu w milczeniu oddała. Rozstawali się po tych kilku godzinach nie tylko nie zbliżeni, ale poróżnieni prawie.

Już szedł do drzwi, gdy jakby na dany znak ukazała się z jednej strony ciocia Nieczujaska wielce niespokojna, z drugiej Herma z poważniejszą niż zwykle twarzą. Obie z dala pożegnawszy, Roman znalazł się w sieniach cały pomieszany odprawą.

– O, wiesz – odezwała się Herma postępując ku przyjaciółce – przyznaję, że nie mogąc się oprzeć ciekawości, słuchałam pode drzwiami i powiem ci, że nie tylko jego, ale i mnie przestraszyłaś swoim znalezieniem się. Ja bym tego nie potrafiła. Żal mi chłopca, bo wcale przyzwoicie i potulnie wygląda, a odpędziłaś go w sposób taki, że we mnie litość wzbudza. Lolu! co się tobie stało?

Z zarumienioną twarzą Lola wstała.

– Cóżem miała zrobić? miałam mu się zalecać i ze strachu go sobie jednać? Nigdy w świecie! co ma być, będzie, ale się nie ugnę.

– Lepiej mu było odmówić! – zawołała doda Nieczujaska – cóż on winien?

– A cóżem ja winna? – odparła Lola.

– Skaranie Boże z tym stryjaszkiem na śmiertelnej pościeli. Jemu dobrze, bo umrze i nie będzie świadkiem, jak to piwo pić będą, którego nawarzył, ale my! my! – zawołała ciocia Nieczujaska za boki się biorąc.

Lola z dumą spojrzała na towarzyszki i szybko wyszła z pokoju. Nikt nie dostrzegł, że łzy miała na powiekach...

– Słowo cioci daję! – zamknęła Herma – ja się sama Loli zlekłam!

Gdy Roman wyszedł z pokoju, zaczynało już zmierzchać; ponieważ nie spodziewał się wcale tak prędko być zmuszonym wyjeżdżać, koni zaprzęzonych nie znalazł, a usłużny Francois, rozpakowawszy toaletę całą i tłumoki, urządziwszy pana pokój, sam poszedł wypalić cygaro u pisarza prowentowe-

go⁹⁵. Trzeba więc było posyłać do stajni po konie, na folwark po służącego, a samemu czekać w sieni lub zejść do naznaczonego mieszkania.

Położenie stawało się nadzwyczaj kłopotliwe, nadchodziła pora herbaty, nie być na nią nawet dla ceremonii zaproszonym, Roman pojąć tego nie mógł. Z dobrą jednak fantazją poszedł na górę, a w kwadrans zjawił się zanimowany⁹⁶ improwizowanym ponczykiem⁹⁷ Francois.

– Wiesz, że hrabia chory, muszę pospieszać z powrotem, mam ważne polecenia, konie zaprzęgać, jedziemy natychmiast.

Francois zrazu pojąć nie mógł tak nagłej zmiany rozporządzeń, tym niedogodniejszej dla niego, iż pisarz miał bardzo przyjemną siostrę, z którą zamierzał wieczór przepędzić.

Natychmiast wszakże oswajając się z położeniem, pomyślał o przebraniu pana na drogę, gdyż we fraku i cylindrze sama przyzwoitość jechać nie pozwalała, nie licząc tego, iż to było zbyt niewygodnym.

– Kagańca nie mamy! noc ciemna choć oczy wykol – rzekł Francois – a nie mogę zaręczyć, czy i furman nie jest trochę pod datą⁹⁸.

– A już, bądź co bądź, jechać trzeba! – westchnął Roman.

W tej chwili przyszło mu na myśl, że po drodze miał Bończę niedaleko i że do niego mógł zajechać, tłumacząc bardzo naturalnie swój wyjazd pod noc z domu panny niewłaściwością przenocowania.

– Być może, iż do dnia przestoimy w Odryszowie – rzekł do sługi – mam jeszcze do pomówienia z panem Cherubinem.

Francois, który pakował już, nic nie śmiał odpowiedzieć, ale pojął, że wyjazd był przymuszony i że to nie było najlepszą wróżbą dla projektu pana, o którym w Pruhowie wszyscy wiedzieli. Tknęło go to, że tak hrabiego jakaś baronówna śmiała lekko traktować, i zabrał się gorąco do przyspieszenia wyjazdu.

Nieczujaska tymczasem, która zrozumiała kłopotliwe położenie Romana i rada była coś na to zaradzić, poszła jeszcze za Lolą, aby jej przedstawić, że tak pod noc wypędzić kogoś z domu było nielitościwym. Pomagała jej Herma, ale we dwie nie potrafiły przemóc panny Loli.

– Ja szczęśliwa jestem, żem się go pozbyła – odpowiedziała – a wy chcecie, abym siebie sama potępiła, prosząc go, żeby, odprawiony, zatrzymał się. To by dopiero było pięknie. Jak gdybym nie wiedziała, co robię. Dowiodłabym słabości charakteru i byłabym w jego oczach zabita na wieki... niech sobie jedzie. Za nic w świecie tego, com zrobiła, nie odwołam.

Herma patrzyła na nią z podziwieniem, ciocia poruszała głową znacząco; tymczasem konie zaszły pod ganek, tłumoki znoszono co prędzej i hrabia Roman w podróżnym stroju zbiegł ze wschodów.

⁹⁵ p i s a r z p r o w e n t o w y - urzędnik prywatny, oficjalista prowadzący kontrolę dochodów majątku ziemskiego

⁹⁶ z a a n i m o w a n y (łac.) - ożywiony, pobudzony, zagrzany

⁹⁷ p o n c z (ang.) - gorący napój przyrządzony z alkoholu (np. araku), wody, cukru, soku cytrynowego i korzeni

⁹⁸ p o d d a t ą - podchmielony

W sieniach niby przypadkowo spotkała się z nim ciocia, której o to szło wielce, aby, gdy już małżeństwo zdawało się nieuchronnym, za wczesnych zadatków do kwasu i niechęci nie było.

Roman znał ją dawniej, a jako starsza i rubaszna kobiecina, pozwalała sobie z nim być poufałą.

– Czekał no – odezwała się odprowadzając go na stronę. – Jedziesz pewnie gniewny, a tu się nie ma ani czego, ani za co komosić⁹⁹. Baronówna była w przykrym położeniu, toć rozumiesz, tam stryj czeka chory... dalipan, że i sobie, i wam oszczędziła nudnego wieczora, i tak lepiej.

– Ale ja też to samo znajduję – rzekł zawsze nadzwyczaj grzeczny Roman. – Bynajmniej tego za złe nie mam, i owszem...

– Słuchajże – dodała Nieczujaska – Lola ci się mogła wydać źle, ja ci słowo daję, kochany hrabio, złote serce, najlepsze dziecko w świecie. Ale co chcesz, człowiek czasem ze strachu głowę traci.

Uśmiechnął się hrabia, nie znajdując, żeby się go panna ulękła lub straciła głowę.

– Zobaczysz, przekonasz się – mówiła Nieczujaska – będzie najlepszą żoną... Poznacie się bliżej, ręczę.

Uderzyła się w piersi ciocia.

– Już za drugim razem będzie lepiej, ona się ośmieli, hrabia także... i pokochacie się, dalipan, bo to i koniecznie potrzebne, i musi być.

Ze spuszczoną głową słuchał tych pocieszeń młodzieniec, chcąc się wyrwać czym prędzej.

– Nie zrażaj się pan tylko – dokończyła ciocia.

Roman pożegnał się, konie stały już, powóz był upakowany. Francois założył *cache - nez*¹⁰⁰ od wilgoci jesiennej, siedli i ruszyli.

– Do Odryszowa! – rzekł hrabia – tam konie spoczną trochę.

Podróż wcale nie była przyjemną.

W niedostatku kagańca zapalono latarnie w koczku, ale te, doskonale w mieście, na grobelkach i mostkach oświetlały tylko już przebyte niebezpieczeństwa. Trzeba było jechać powoli, stawać nawet, aby nie znaną drogę badać gruntownie, i do Odryszowa późno już dostał się Roman. Przez kilka tych godzin myślał ciągle o swym położeniu, myślał to, co powie przed Bończę, którego wtajemniczać nie wypadało. Stało na tym, aby w jak najpomysłniejszym świetle odbytą kampanię przedstawić.

Pan Cherubin Bończa, tylko co powróciwszy z polowania, na którym jednego tylko lisa uszczuł i z chartami swymi wcale miał nieprzyjemne rozprawy, siedział u komina z cygarem, w humorze nie najlepszym, gdy mu o gościu oznajmiono.

Cale się go nie spodziewał, ale rad mu był wielce, bo coś z niego dobyć miał nadzieję i rozerwać się. Dom był kawalerski, ale na wielkiej stopie, choć w wielkich długach. Bończa musiał utrzymywać się na tym tonie fałszywym i wysokim dla ożenienia. Nie wypadało mu, mając różne projekta, spuścić z niego. Długi więc nie zawadzały elegancji, dobrej kuchni, polowaniom wystawnym i sportowi. Sam dwór, w nadziei, że doń wkrótce gospodyni zawita, był przystrojony na jej przyjęcie.

⁹⁹ k o m o s i ć s i ę - gniewać się

¹⁰⁰ c a c h e - n e z (fr.) - długi i szeroki szalik wełniany

Żydzi, nie wątpiąc o tym, że się pan Cherubin dobrze ożeni, pożyczali chętnie, nie zbywało więc na niczym. Naprzeciwko przybywającego Romana wypadł w eleganckim dezabilku¹⁰¹ wieczornym gospodarz.

Na pierwsze wejrzenie domyślił się z twarzy umyślnie rozpromienionej Romana, że tam coś nie bardzo szczęśliwie mu pójść musiało. Znawca instynktowy charakterów, wiedział, że hrabia, gdyby mu się powiodło, byłby skromny i pokorny, rozpromienienie okrywało tylko niepowodzenie. Udał jednak, że nic nie rozumie. Wziąwszy się pod ręce, poszli razem do gabinetu, zadysponowano herbatę i wieszczkę razem.

– Nie spodziewałem się, żebyś dziś nazad powracał – zawołał Bończa.

– Ja także – rzekł Roman – ale złożyło się lepiej, niż się spodziewałem. Rozmówiliśmy się szczerze i otwarcie z baronówną, rzecz skończona, spieszę do stryja chorego, aby go można uwiadomić. Zajechałem tylko na chwilkę, troszkę spocząć u ciebie.

– Doskonale zrobiłeś, mam parę kuropatw, które nam dadzą z różną, szpi-kowane, z cytrynką, bo po obiedzie u panny musisz być głodny. Que diable!¹⁰² w podobnym położeniu – dodał śmiejąc się – pieczonego anioła człowiek by w usta nie wziął.

Spojrzał na niego. Roman wyciągał się na kanapce widocznie złamany i znużony.

– No a panna, jak ci się podoba?

– Prześliczna! a jaki takt! jaka przyzwoitość! Gdybyś widział toaletę!

Bończa się uśmiechnął.

– Samaś ją tam zastał?

– Z przyjaciółką, panią, panią... zdaje mi się, Grzegorską.

– Ano! znam, wiem! ale się dziwnie dobrały, przyznam ci się – szepnął oglądając się gospodarz – Grzegorska śliczna jak anioł, sprytna jak szatan, zalotna jak nie wiem co... niekoniecznie dla panienki mającej wyjść za mąż dobrym jest mentorem...

– Towarzyszka z pensji.

– Ano – rzekł Bończa – dla twojej tylko wiadomości dodam, że ta piękna Herma od roku jak poszła za mąż i głowy zawraca wszystkim.

– Może temu niewinna.

– Zdaje się, że wie, co czyni, ale ją to bawi. Niebezpieczna gra...

Roman ruszył ramionami.

– Baronówna – rzekł – tak odmiennie ma usposobienie i charakter, że na nią żadna przyjaciółka wpływu mieć nie może.

Bończa zamilkł.

– Cieszy mnie to – odezwał się z udaną czułością – że ci się podobała. No, ale jakże to poszło? bo, przyznam ci się, zadanie było nie lada.

– Wielce ułatwione poprzednimi układami i listem stryja.

– *On vous a donc recu a bras ouverts*¹⁰³ – rozśmiał się pan Cherubin.

¹⁰¹ d e z a b i l (fr.) - domowy ranny lub nocny strój, negliż (przeważnie kobiety)

¹⁰² Q u e diable! (fr.) - Tam do diabła!

¹⁰³ O n v o u s a d o n c r e c u a b r a s o u v e r t s (fr.) - Przyjęto was (pana) z otwartymi ramionami

– Nie mogłem się spodziewać lepszego i miłszego przyjęcia...

– I dlatego się tak zawinał z powrotem – nie mogąc się już powstrzymać od sarkazmu prysnął Bończa.

Obraziło to Romana, że został odgadniętym, lecz się powstrzymał i przerywając rozmowę rzekł tylko:

– Zawsze to oboje nas żenowało i wolałem na pierwszy raz nie być bardzo natrętnym.

– A zatem wesele! kiedyż?

Roman nie wiedział, co odpowiedzieć.

– To zależy od stryja...

– A! a! – rzekł Bończa.

Podano wieczerzę i herbatę. Gospodarz był tak grzecznym, że już nie nastawał na Romana, aby się więcej od niego dowiedzieć, zaczęto mówić o polowaniu i o koniach, i o innych ulubionych młodzieży przedmiotach.

Bończa jednak powiedział sobie, że należałoby korzystać z tego, iż narzucony kawaler nie bardzo się podobać musiał. W takim razie pierwszy lepszy ma nadzwyczajną szansę, panna może się zakochać na przekór. Wprawdzie położenie jasne nie było, lecz na gwałt postanowił się dostać do Gromów. Nie wydał się z tym jednak wcale. Głowę łamał, jak upozorować naprędce wciśnięcie się do domu panny. Zajmowało go to tak cały wieczór, iż zamyślony, dał nieco wytchnąć i spocząć biednemu Romanowi.

Na rozmowie już niewiele zajmującej przesiedzieli do północy, konie hrabiego były dysponowane na rano.

Położywszy spać gościa, pan Cherubin Bończa poszedł do swojego pokoju, sam kłaść się nie myśląc – potrzebował koniecznie znaleźć środek przyzwolitego wciśnięcia się do domu baronówny.

Wiele okoliczności utrudniało to przedsięwzięcie zuchwałe. Chciał to uczynić tak, aby nie był pomówiony o zdradę, tak, żeby panna nie domyślała się jego zamiarów, żeby to miało pozór jakiego przypadku.

Przejrząwszy się w zwierciadle i porównawszy swe siły z siłami nieprzyjaciela, hrabiego Romana, znajdował się nieskończenie nad niego wyższym. Był nim w istocie w pewnych względach, bo do samoistniejszego używania woli nawykły, choć lalką był jak współzawodnik, ruchawszy jednak daleko od niego. Szło mu głównie o nic więcej, tylko o posag panny, nadzwyczaj dlań potrzebny i, jak mu się zdawało, daleko łatwiejszy do pochwycenia niż inne tych rozmiarów. Dodawała mu męstwa ta uboczna okoliczność, że znał dobrze Herwę, że był jednym z jej admiratorów wybranych i że pewien się zdawał, iż mu ona dopomoże na przekór drugim, dla pokazania swej siły i dla przyjemności zawiązania intrygi.

Szło tylko o to, jak trafić do niej. Nałamawszy sobie głowę do rana, Bończa w chwili wyjazdu Romana udał, że śpi, a nie zasnął, dopóki tajemniczego liściku nie napisał do pani Grzegorskiej i nie wysłał go do Gromów.

Jakkolwiek niewiele wykształcony i więcej ogładzony niż utalentowany, pan Bończa, zarówno z wielu innymi swego rodzaju, miał żyłkę i spryt do intrygi bardzo wielki. Na to niewiele geniuszu potrzeba, najprostsze środki, obchowania najpospolitsze najlepiej częstokroć służą.

Co stało w liście do Hermy, nie wiemy, ale nazajutrz około południa przyszła odpowiedź, którą z żywym zajęciem odczytał Bończa i natychmiast począł skwapliwie wybierać się do Gromów.

Nie potrzebujemy mówić o tym nawet, iż od koni począwszy do krawatki, wszystko przy wyjeździe na efekt było obrachowane. Bończa umiał wystąpić i pokazać się, zastosować do okoliczności i odegrać, jaką chciał, rolę.

Niezmiernie zdziwioną została o niczym nie wiedząca ciocia Nieczujaska, gdy ujrzała przez okno powozik i w nim kawalera, który przez kamerdynera domagał się w pilnym interesie widzenia z panią Grzegorską.

Poczęło się parlamentowanie, chodzenie, narady i pani Herma otrzymała bardzo łatwo pozwolenie przyjęcia gościa, który jej jakoby wiadomość o mężu i od męża przywoził. Zgodziła się nawet baronówna zaprosić go na herbatę.

Cioci Nieczujskiej, która tę przyjaciółkę jakoś nie bardzo lubiła, nie podo- bało się to, ale do zbytku i do śmieszności surową być nie chciała. Zamilkła.

W salonie przyjęła gościa Herma i miała czas naśmiać się z nim, nakłócić, nażartować, a może i naradzić, nim wyszła gospodyni. Niezmiernie była oży- wioną i jakby wyegzaltowaną figlami, który jej charakterowi tak dogadzał.

Nie domyślając się nic w świecie, Lola ukazała się wręcz po długim oczeki- waniu. Charakter dziecięcia jeszcze rozpoczynającego dopiero życie nie był tak stanowczo wyrobiony, aby o nim coś wyrzec było można; w Hermie, rów- nie młodej, temperament i zmiana stanu już wskazywały, czym być miała w przyszłości, baronówna szukała drogi, wyrabiała sobie fizjognomię przyszłą.

Tak jak była, wyglądała na świeżo z klasztoru wyzwoloną pensjonarkę, wiedzącą o tym dobrze, iż jest bardzo bogatą, baronówną i piękną.

Zdawało jej się, że to wszystko razem użyte nadawało jej prawo być nieco trudną w wyborze i godną hołdów powszechnych. Duma w tym rozwijającym się dziecięciu była może najwyraźliwiej odznaczającym się rysem.

Marzyła o przyszłości i świecie, wcale tym nie przybita i nie zmieszana, że miała wyjść za jakiegoś hrabiego narzuconego jej. Małżeństwo było wrotami do wypuszczenia w świat i na swobodę. Serce i dusza spały.

Lola, jak jej towarzyszki, czytała wiele ukradkiem podostawianych książek złych i dobrych, nie rozmarzyły jej wcale. Miłość malowana w nich tak cza- rownie, ale ze wszystkimi swymi następstwami tragicznymi, nie pociągała ją zbyt, nawet ciekawości nie nęcąc. Miała o niej to pojęcie, że powinna przyjść jak piorun i że z nią będzie musiała walczyć. Obiecywała sobie jednak zachować całą swą godność i nie poddać się tyrance.

A! śniło się tam w tej główce wiele rzeczy dziwnych o tym nieznanym życiu przyszłym, w którym przede wszystkim obiecywała sobie grać wspaniałą, wielką, idealną rolę.

Dlatego może na początek i to męczeństwo, na które ją opiekun skazywał, nie było dla niej tak straszne, przynosiło jej od razu rolę – stawiało ją na pie- destale istoty poświęcającej się dla pamięci ojca i woli opiekuna.

Pozowała już jako umęczona i nie zrozumiana.

Pan Ritter Cherubin von Bończa, z całą swą dosyć pospolitą męską pięk- nością, elegancją, dobrym tonem, tuzinkowym sprycikiem lwowskiego lwa, ze swymi stosunkami i pozycją socjalną, nie był dla panny baronówny zagraża- jącym. W oczach jej był to prosty śmiertelnik... jej śniły się daleko wspaniał- sze ideały.

Na panu Cherubinie wystąpienie baronówny, pierwsze wejrzenie na nią, uczyniło daleko większe wrażenie niżeli on na niej. Kawaler przygotowany był do umiejętnego skorzystania ze zręczności i uczynienia efektu. Piękna ta po- stać, poważna, sztywna, pamiętająca o każdym swym ruchu, zmieszała go.

Herma spoglądająca na nich z ukosa Dostrzegła to i rozśmiała się w duchu. Dla niej zrobienie figła komukolwiek bądź było pożądane, więc gdyby Bończa padł ofiarą, równie by ją to zabawiło. Kawaler z wyszukaną grzecznością i z respektem przysiadł się do gospodyni, pragnął dać poznać, iż na nim piorunowe uczyniła wrażenie, niby zapomniał w ustach języka, niby mu słów zabrakło, niby był uderzony śmiertelną strzałą...

Byłoby to może na kimś doświadczeńszym zrobiło wrażenie – Lola nie dostrzegła części tej gry, a zresztą to poszanowanie bałwochwalskie zdało jej się bardzo naturalnym.

Wkrótce Ritter odzyskał przytomność, więc chciał się popisać z dowcipem, rozumem, wielkim tonem, dystynkcją, i dosyć niezręcznie dosypywać zaczął coraz do rozmowy książąt, hrabiów, ministrów, z którymi był albo w pokrewieństwie, albo na najlepszej stopie.

Zużyty ten środek podwyższenia się, coś na kształt obcasów u butów, najmniejszego nie miał skutku. Baronówna zamyśloną była i milczącą. Herma śmiała się w duchu.

Rozmowa poprowadzona na wiadomości z wielkiego świata ożywiła się z pomocą paplającej chętnie Hermy. Lola więcej słuchała, niż udział w niej brała.

Do obrachunków pana Bończy, który dotąd wcale ani o hrabi Romanie, ani o widzeniu się z nim nie wspominał, należało delikatne z boku zadraśnięcie Zebrzydowskich i uczynienie ich trochę śmiesznymi w oczach panny. Wziął się do tego grzecznie, bo po przyjacielsku.

– Sąsiedztwo nasze, bliższe i dalsze – odezwał się mówiąc o okolicy – mogłoby doprawdy, gdyby nieco było spójniejsze, być bardzo przyjemnym. Starczylibyśmy sobie, nie potrzebując szukać gdzie indziej rozrywek.

Tu zaczął wyliczać sąsiadów, chwalać niby wszystkich, a zręcznie przypinając łatki. Wpadł na Zebrzydowskich...

– Z tym domem – rzekł – jestem z dawna poprzyjaźniony. Tego poczciwego, dobrego Romka, mogę powiedzieć, że w świat wprowadzał, choć mało co od niego jestem starszy. Hrabia Filip mi go powierzał. Roman jest bardzo dobry chłopak, ale zanadto nieśmiały, zbyt czyny formalista... jeszcze się nie uformował i wątpię, żeby kiedy na energią wielką się zdobył. Hrabia Filip ze zbytnej o niego troskliwości całą w nim zabił samoistność, której mężczyzna tyle potrzebuje, a wiadomo, jak zacny, szlachetny stary hrabia jest despotyczny...

Lola z większą coraz słuchała uwagą, zarumieniła się mocno, Bończa zaczynał sobie wieszować, że tak zręcznie temat ten rozwinał, gdy nagle baronówna mu przerwała:

– Przepraszam pana – odezwała się śmiało – hrabia Filip jest moim opiekunem, mam dla niego obowiązki, kocham go jak ojca... przykro by mi było surowy o nim sąd posłyszeć.

Bończa się zmieszał.

– Ale pani dobrodziejko – zawołał poprawiając się – nikt bardziej nade mnie szanować go i kochać go nie może, *ce qui n'empeche pas*¹⁰⁴ sędzić o jego charakterze... a co się tyczy hrabiego Romana...

Lola, z pewną dumą podniósłszy główkę, przerwała:

– Dawno pan był we Lwowie?

¹⁰⁴ c e q u i n ' e m p e c h e p a s (fr.) - co nie przeszkadza

Pytanie to, rzucone tak wyraźnie, aby nie dopuścić dalszego rozwinięcia tematu, do reszty zmieszało nieszczęśliwego, który zamilkł równie, chcąc coś odpowiedzieć.

Herma byłaby parsknęła śmiechem, gdyby nie odwróciła się na bok i nie zasłoniła chustką. Litość miała nad nieszczęśliwym i przysłała mu w pomoc:

– Właśnie pan Bończa niedawno męża mojego tam spotkał i przyniósł mi kilka słów od niego.

Pobity kawaler potrzebował czasu do namysłu, nim się znowu odezwał. Szło mu widocznie źle, lecz był uparty i nie dawał się łatwo zbyć odprawą. Zrećźnie więc zaofiarowywać się począł pani Hermie przybyć jutro po list jej do męża. Herma nie chciała mu odmówić, oczyma jednak wskazała, milcząc, gospodynię, która zdawała się nie słyszeć i nie spieszyła z zaproszeniem. Rzecz pozostała w zawieszeniu.

Podano herbatę, do której wyszła i ciocia Nieczujaska, z daleka znająca Bończę, ale jako przebywająca w Gromach i oswojona z tym, co się w okolicy działo, z niezbyt dobrej strony. Lola zwróciła się ku niej, tak że awanturnik pozostał na łasce i rozmowie ze swą protektorką. Sprawa zdawała się przegrana.

– Zmiłuj się, pani, powiedz mi – szepnął do śmiejącej się Hermy pan Bończa – co na niej czyni wrażenie, co jest jej słabą stroną? ratuj mnie...

Herma śmiała się zza wachlarza.

– Któż panu winien, że nie wiesz, co każdej z nas bez wyjątku jest najmilsze... pochlebstwo! Wielbij pan bóstwo! więcej nie powiem! Jaki pan dziś nieznośnie ograniczony...

Bończa zaczął litanie uniesień nad rezydencją.

– Zachwycające te Gromy! nie znam nic piękniejszego, nic bardziej oryginalnego, nic wdzięczniejszego nad nie – odezwał się. – Dziś, gdy zostały ożywione przybyciem swej pani, nowa w nie wstąpi dusza... staną się perłą naszej okolicy!

Lola spojrzała na niego.

– Przyznam się panu, że w mych oczach wiele tu braknie.

– Dla nas dziś nie braknie już nic, gdy pani w nich jesteś.

– Pozwól pan przestrzec się, że na pierwsze poznanie komplement zdaje się być przyspieszonym. Pan mnie nie znasz...

– A, pani? bez pochlebstwa i bez komplementu – zawołał z uniesieniem Bończa. – Dosyć jest raz widzieć panią!

Lola się zarumieniła.

– To mi wcale nie pochlebia – odezwała się szydersko nieco – więc pan nie przypuszcza, ażeby we mnie coś więcej bliższego poznania godnym było nad to, co się przy pierwszej odkrywa wizycie?

Zmieszał się Bończa, a Herma na ten raz nie potrzebowała chustki, parsknęła nie wstrzymywanym śmiechem.

– Byłbym najnieszczęśliwszym, gdybym źle się dal zrozumieć i uchybił pani – zawołał – prawdziwie... rzeczywiście...

– Pan mi nie uchybiłeś – odparła Lola – chyba tym, żeś mnie za bardzo młodą wziął dziecinę, którą lada cukierkiem nakarmić można. Ja słodczy nie lubię...

Tym razem nie wiedział już co mówić gość i siadł do herbaty. Loli żal się go zrobiło nieco, starała się więc być grzeczną, ale chłodną, i wprawiła w zdumienie starego salonów ulubieńca swą pensjonarską, naiwną śmiałością.

– Oczywiście – rzekł w duchu – ton był chybiony, omyliłem się, trzeba się poprawić...

Skierował więc rozmowę na literaturę, na nowe książki, których nigdy nie czytał, ale zręcznie o nich cudze sądy chwycić umiał. Dawało mu to zręczność na sentymentalną wejść drogę, powiedzieć coś praktycznego i głęboko uczutego. Herma trochę mu dopomagała.

Wyszła tedy na scenę razem z panią Sand¹⁰⁵, Dumasem¹⁰⁶ młodszym i Feuilletem¹⁰⁷ – miłość, przygody i losy kobiet, mężczyzn, bohaterów i bohatererek.

Bończa przy tej zręczności począł popierać niezmiernie stary temat, iż w małżeństwie nic nigdy nie zastępuje i nie uniewinnia braku wzajemnego, wypróbowanego przywiązania.

– Miłość jest treścią, jest niezbędnym warunkiem dozgonnych węzłów – zawołał – nie pojmuję mężczyzny, a tym bardziej kobiety, która się waży stanąć u ołtarza z sercem zimnym i bez tego świętego uczucia, które...

Byłby mówił długo, ale Herma, której małżeństwo naprędce i bez wielkich sentymentów było powszechnie znanym, wzięła to do siebie i przerwała mu:

– Co też pan pleciesz! – zawołała oburzona. – Gdzież to kto widział na świecie, aby prawdziwa miłość z małżeństwem w parze chodziła i długo się w nim utrzymać mogła! Ale nie ma na kuli ziemskiej dwóch ze sobą sprzeczniejszych rzeczy! Byłam przekonana, że pan zdrowiej pojmujesz życie... Przecież! jedyny to sposób zabić miłość, gdy się ludzi pożeni.

Lola rozśmiała się zarumieniona. Bończa osłupiał, postrzegł się dopiero, że wpadł i ugrzązł w komunałach.

Herma zajadłe nań napadła, widząc go pobitym i bezsilnym.

– Panowie wszyscy wyobrażenia nawet o tym uczuciu nie macie. Gdzież to się dziś kto kocha, umiera, topi, zabija z miłości lub żyje z nią w sercu?... Słyszałam o hrabi P., który dostał tyfusu i skończył życie ze zmartwienia, gdy mu klacz na wyścigach chybiła, ale żeby kto choć pół roku kochał, od dawna przykładu nie było!

– To wina pań, nie nasza – ofuknął przybity Bończa, który już z rozpaczą się bronił – panie nie umiecie w nas tchnąć tego uczucia i same jesteście lodem i chłodem. Cóż dziwnego, że miłość znikła. Nie myśmy jej źródła wysuszyli... Kobiety są dziś ironią i szyderstwem!

– Rozmowa zaczyna być zajmującą – przerwała Herma.

¹⁰⁵ S a n d G e o r g e - właśc. Aurore Dudevant (1804 - 1876) - pisarka francuska, przedstawicielka romantyzmu, autorka powieści feministycznych (Indiana)

¹⁰⁶ D u m a s - Aleksander - ojciec (1803 - 1870) i Aleksander - syn (1821 - 1895), znani powieściopisarze francuscy

¹⁰⁷ F e u i l l e t O c t a v e (1821 - 1890) - pisarz francuski o zachowawczo - katolickich poglądach, którym dawał wyraz w licznych powieściach i dramatach

Lola zachowała milczenie. Herma chciała ją wciągnąć koniecznie, ale się jej to nie udało.

– Jakież jest zdanie twoje? – zapytała.

– Moje zdanie? – powoli rzekła gospodyni. – Ja sędzę, że są uczucia i rzeczy, które z poszanowaniem osłaniać należy, a nigdy ich nie czynić przedmiotem rozpraw i sporów. W życiu ludzkim miłość ma prawie religijne znaczenie... Arkę przymierza i księgi praw chowano za zasłonami w przybytku!

Długie milczenie nastąpiło po tym wyszukany frazesie, będącym przypomnieniem wcale szczęśliwym z jakiegoś romansu.

Bończa nie znajdował nic właściwszym nad ogromne westchnienie. Zdało mu się, że ono najlepiej odpowie i potwierdzi aforyzm¹⁰⁸ pięknej gospodyni. Herma ruszyła ramionami i wstała od herbaty. Było to znakiem dla wszystkich do ruszenia się z miejsc, a Bończa, widząc, że wieczór już był późny, rad nierad pożegnał towarzystwo wcale niezadowolniony wyprawą.

Był może w ganku, gdy piękna Herma stanęła przed Lola zamyśloną.

– Słuchaj no ty – odezwała się tonem dziwnym – zaprosiłaś mnie tu na mentorkę, udawałaś nieśmiałą pensjonarkę, miałam być na bezdrożach życia twoim doradcą i przewodnikiem, ale ja widzę, że nie mam tu co robić, chyba brać u ciebie lekcje. Od wczoraj wprawiasz mnie w podziwienie! Ty jesteś doprawdy genialną. Jak wczoraj odprawiłaś Romana, dziś Bończę... słupieję. No, Romana mi nie tyle było żal, mam do niego wstręt jako do przyszłego oficjalnego męża, a my, mężatki, w ogóle wszystkich mężów nie cierpimy, ale ten Bończa...

Lola ruszyła ramionami.

– Jak to? podobał ci się? masz go za coś lepszego od hrabiego Romana?

– Choćby za to, że się w tobie zakochał!

– On! we mnie! za pierwszym wejrzeniem! – rozśmiała się Lola.

Herma uznała właściwym dopomóc sobie fikcją.

– Przyznał mi się, że cię już z daleka widział parę razy i że szaleje.

Zarumieniona Lola wydeła usta dumnie.

– Nie mogę nikomu zabronić szaleć – rzekła – lecz Bończa czyni na mnie wrażenie lalki od fryzjera. *Il est mauvais genre!*¹⁰⁹

– A! a! – odparła Herma – może masz słuszość. – Ciekawam – dokończyła w duchu – kto się jej podobać będzie miał szczęście? – Więc Roman – rzekła głośno – miłszym ci jest?

– Wcale nie, oba są dla mnie równej ceny, obu nie znam i żaden z nich nie czyni na mnie najmniejszego, ale najmniejszego wrażenia... Roman przynajmniej perfum znośniejszych używa.

Na tym skończyła się rozmowa, Herma uznała się zwyciężoną sądem o perfumach.

¹⁰⁸ a f o r y z m (gr.) - zwięzłe zdanie wyrażające jakąś myśl filozoficzną, moralną lub regułę życiową

¹⁰⁹ i l e s t m a u v a i s g e n r e! (fr.) - Jest w złym guście!

Wcześniej, niż się go spodziewano, powrócił hrabia Roman do Pruhowa. Doktor stał na straży znowu i przyszedł go przebierającego się przywitać, usiłując odgadnąć, co z sobą przywoził, a nie śmiejąc badać.

– Jakże się ma stryj? – zapytał Roman.

– Wcale nie gorzej, dzięki Bogu – pośpiesznie odparł Pęklewski – jestem szczęśliwy, iż w sporze z doktorem Szwarzem utrzymałem się przy swoim i że moje lekarstwo widocznie jak najpomyślniej skutkuje.

– Mogę więc pójść do niego?

– Służę hrabiemu... – pośpiesznie zrywając się dodał doktor – idziemy.

W pokoju chorego firanka była nieco podniesiona, ostawiony poduszkami siedział blady w łóżku i pił podany mu rosół, gdy wszedł Roman, o którego przybyciu już był zawiadomiony.

Kazawszy mu usiąść przy sobie, hrabia dokończył filiżanki spokojnie, parę razy spojrzawszy na synowca, spytał o drogę i dopiero odprawiwszy sługi, gdy zobaczył, że i Pęklewski wyniósł się dyskretnie, odezwał się.

– Mówże szczegółowo, jak ci poszło, co mi przywozisz? Jak ją znalazłeś... proszę, szczerze, otwarcie... Zadanie było niepospolicie trudne.

– Zastosowałem się do rozkazów stryja – odezwał się spuszczać oczy młodzieniec.

– Jakżeś pannę znalazł?

– Bardzo piękną.

– A przyjęła cię?...

Tu Roman zająknął się.

– Grzecznie - rzekł, wyszukawszy słowo.

Stryj popatrzał nań.

– Oświadczyłeś się naturalnie?...

– Oświadczyłem życzenie stryja, bo będąc tak krótko... i...

– A baronówna?

– Odpowiedziała, że będzie posłuszną woli opiekuna.

– Zmieszana była?

– Nie... nie bardzo, znalazłem ją bardzo śmiałą i pewną siebie.

– Tegom się spodziewałem – rzekł hrabia – w tym nie ma nic złego.

Roman zamilkł.

– Nie ma więc nic przeciwko małżeństwu?

– Właściwie – odezwał się po namyśle miody hrabia – dała mi uczuć, że czyni to tylko przez posłuszeństwo woli ojca i opiekuna.

– Ale bez płaczu?

Zdziwił się mocno Roman.

– Nic podobnego nie było. Baronówna zdaje się mieć wiele energii w charakterze.

– To dziecko! – odparł chory.

– Staralżeś się jej przypodobać?

– Na to nie miałem czasu... i – rzekł Roman nieśmiało – baronówna nie dozwoliła mi nawet zbliżyć się poufalej.

– Główna rzecz – przerwał, obracając się niespokojnie na poduszkach, chory – ażebyście się pobrali. Wszystko zresztą przyjdzie z czasem. Proszę cię, abyś mi tylko prawdę powiedział... nie masz wstrętu?

– Ja? – pochwycił zdziwiony Roman – ale panna jest bardzo piękna, a wola stryja...

- Tak, możesz się na to spuścić, że mój wybór będzie dobrym – począł stary zamyślony. – Wierz mi, każde małżeństwo jest loterią, wygrywa się lub przegrywa... bywa różnie. Z zimną krwią, z dala patrząc, lepiej się szansę rachują. Idealnych żywotów nie ma na świecie, znajdują się chyba w książkach, ludzie dobrze wychowani i przyzwoici zawsze sobie egzystencję układają znośną. Na to trzeba taktu *et de la tenue*¹¹⁰, nie wyłączając rozumu... *et jamais casser les vitres*¹¹¹...

Roman słuchał zadumany, myślał w tej chwili, czy granatowy, czy ciemnozielony, czy czarny frak włoży do ślubu. Stryj nie zdawał się tych głębokich dumań odgadywać.

- Wszystko tedy dobrze – rzekł – idziemy pewno, a ja postaram się formalności wstępne przyspieszyć, aby ślub mógł się odbyć jak najprędzej.

Roman, któremu rozmowa ciążyła, posłuszny wstał, skłonił się i wyszedł do swego mieszkania.

Pierwszy raz w życiu miał tyle i tak ważnych rzeczy do obmyślenia, iż kilka godzin spędził na przechadzce milczącej po saloniku i gabinecie. Trącał o meble, tak był w myślach pogrążony. Obraz pięknej, ale nadzwyczaj surowej Loli niekiedy błyskał mu w oddaleniu. Daleko jednak ważniejsze miejsce w rozmyślach zajmowały wszystkie małżeńskie przybory i stanowisko, jakie miał zająć względem narzeczonej.

- Malowanym będę mężem – rzekł w duchu – ale o to mniejsza... *il faut sauver les apparences*¹¹²... Na wielkim świecie, szczęściem, miłość jest nieprzyzwoitą *et pas de mise*¹¹³.

To mnie ratuje. Oboje będziemy poważni i ludzie mogą myśleć, że sentymenta ukrywamy *par une pudeur savante*¹¹⁴. Kareta angielska ładna, ale gdzie ją teraz pokazać?... Zaprząg nie inny jak *a la Daumont*¹¹⁵. Przodem kurier w spodniach łosiowych, buty ze sztylpami¹¹⁶... koń tej samej maści co czwórka. Dwóch lokai z tyłu... Liberia paşowa, galony¹¹⁷ złote.

Mamy mieszkać w Pruhowie, stryj wynosi się do skrzydła... dwa osobne apartamenty, zupełnie oddzielne... salon w pośrodku wspólny... *c'est ca*¹¹⁸. Pokoje dla baronówny sam muszę urządzić, w domu u nich nie ma gustu. Nie winię ją o to, ona tam nic jeszcze nie miała czasu zrobić, *mais c'est abominable!*¹¹⁹ Kobieta ze zmysłem estetycznym poczuje piękność.

¹¹⁰ *et de la tenue* (fr.) - i ułożenia

¹¹¹ *et jamais casser les vitres* (fr.) - i nigdy nie rozbijać szyb

¹¹² *il faut sauver les apparences* (fr.) - należy zachować pozory

¹¹³ *et pas de mise* (fr.) - i nie praktykowana

¹¹⁴ *par une pudeur savante* (fr.) - przez wyszukaną wstydlivość

¹¹⁵ *a la Daumont* (fr.) - zaprzęg czterokonny, bez orczyka, z dwoma woźnicami

¹¹⁶ *sztylpy* (niem.) - tu: cholewy skórzane nakładane na krótkie buty

¹¹⁷ *galon* (fr.) - pasek, tasiemka z lamy srebrnej lub złotej służące do ozdobnego obszywania ubiorów, mebli itp.

¹¹⁸ *c'est ca* (fr.) - tak jest

¹¹⁹ *mais c'est abominable* (fr.) - ale to straszne

Pierwsze dni będą rzeczywiście trudne. Najwłaściwiej by było zaraz wyjechać do Włoch, prosto od ołtarza, *c'est tres comme il faut*¹²⁰, ale jakże stryja tak porzucić? Niepodobna! niepodobna! A potem nie pytałem, czyby się na to zgodziła?

W Gromach może zostać Nieczujka, ja bym tam nie potrafił mieszkać *me-squin*¹²¹! A jakiego mają kucharza! i wino... przez grzeczność tylko wypilem... ocet...

Jeśli zechce jechać później za granicę, pojedę za nią. Dziwne położenie. Będę musiał poznawać żonę po ślubie... w żadnym niepodobnego nie czytałem romansie. Boję się, żeby Bończa, który jest *au fond*¹²² złośliwy, nie plótł co, żeby nas na zęby nie wzięto.

Powiada, że sama chce rządzić swymi dochodami? O tym nie wspomniałem stryjowi, powiem mu to później. Cóż mi do tego, mam dosyć... Małe dłużki kawalerskie porobione bez wiedzy hrabiego spłaca się powoli.

Wedle wszelkiego podobieństwa ślub będzie w kaplicy lub salonie... ale to rzecz stryja. Włożę frak czarny... tak, stanowczo krawat biały... to się rozumie... włosy należy ufrizować! Byłbym za trzewikami i pończochami, ale o to spytać muszę jeszcze. To kwestia.

Widzimy z tych próbek głębokich rozmyślań narzeczonego baronówny, iż nie brał zbyt do serca nieszczęśliwego położenia swego. Niekiedy jednak bodło go to, że nie będąc ani brzydkim, ani niezgrabnym, tak jakoś mało zrobił wrażenia.

– Przy dłuższym pożyciu – rzekł – przekona się, że nikogo z większym taktem, elegancją i szykiem nade mnie nie znajdzie. *Coute que coute*¹²³, chyba by smaku nie miała, poznać się na mnie musi... Pochlebiam sobie! Podwoję starania, aby mnie nikt nie przeszedł ani ubiorem, ani manierą, ani delikatnością.

Uśmiechnął się sam do siebie w zwierciadle. W istocie trzeba mu było oddać sprawiedliwość, że w swoim rodzaju był egzemplarzem przewybornym i że zrównać mu na polu jego popisów było trudno.

Tegoż dnia jeszcze, ożywiony dobrą nowiną, posłał stary hrabia list do Gromów z podziękowaniem i życzeniem, aby baronówna jak najbliższy termin ślubu oznaczyła. Jak zwykle podyktował go doktorowi, podpisał i odprawił. Ku wieczorowi, skutkiem zapewne żywego zajęcia i lepszego humoru, stan chorego polepszył się też znacznie. Doktor Pęklewski był uszczęśliwiony, puchlina widocznie schodzić zaczynała, był to wypadek tak niespodziewany, tak szczęśliwy, że hrabia, sam poruszony nim, przyznał nadwornemu swemu lekarzowi genialność i naukę nadzwyczajną. Tego wieczora mógł trochę posiedzieć i jadł trochę więcej niż zwykle, z apetytem, jakiego dawno nie miał.

Triumf Pęklewskiego był ogromny, ale on sam nie bardzo go sobie jakoś wytłomaczyć umiał. Jego podobno dziwiło to nie mniej jak wszystkich.

Następnego dnia nadeszła odpowiedź z Gromów. Baronówna oświadczała, że się zastосуje do woli opiekuna i terminu oznaczać sama nie chce. Trochę

¹²⁰ *c'est tres comme il faut* (fr.) - to bardzo na miejscu

¹²¹ *me squin* (fr.) - lichy, nędznie

¹²² *au fond* (fr.) - w gruncie rzeczy, właściwie

¹²³ *coute que coute* (fr.) - za wszelką cenę, koniecznie

to zniecierpliwilo chorego, kazal przywolac Romana, pokazal mu list i rzekl do niego:

– Jedźże sam, umów się z nią, poproś, aby nie odkładała. Jest mi wprawdzie cokolwiek lepiej, ale na to wiele rachować nie można. Pod tym pozorem zobaczysz ją dłużej, boć trzeba się zacząć poznawać.

Roman, posłuszny jak zawsze, odebrawszy rozkaz, sklonił się, zawołał Francois, rozrachował godziny, aby przed wieczorem stanąć, i natychmiast się wybrał. Na wyjezdnym hrabia Filip powtórzył mu jeszcze raz:

– Przywieźże mi termin stanowczy.

– Ale jakże stryj by sobie życzył?

– Jutro niepodobna, za tydzień może się zbierzemy, za dwa, kto wie, czy nie byłoby za późno... Zobaczysz, co ci powie. Nie chcę jej w tym zadawać gwałtu.

Z tym Roman wyruszył do Gromów i tym razem, na drodze nie spotkawszy nikogo, przybył przed samą wieczerzą. Zameldowano go pani, poszedł się ubrać i znowu we fraku, z cylindrem pod pachą, ze szkiełkiem na sznurku zjawił się w salonie, w którym zastał oprócz Hermy i gospodyni wcale niespodziewanego gościa, na którego widok niezmiernie się zmieszał. Były to odwiedziny drugie pana Bończy, który już tym razem został na wieczerzy. Po przywitaniach Bończa nadzwyczaj serdecznie, czule, prawie protekcyjnie pocałował przyjmować hrabiego Romana, który do reszty zeszywniał.

– Nie wiedziałem, że i tu znajomy... – rzekl sucho.

– Przyjechałem od męża pani Grzegorskiej po list.

– A! a! – odparł Roman i siadł nieco na uboczu.

Bończa trochę także fantazji stracił. Lola mogła ich teraz obu porównać wygodnie, *bec a bec*¹²⁴ siedzieli przy sobie; porównywała ich też okiem znawcy Herma, znajdując, że Roman był dystyngowańszy, a Bończa zabawniejszy. Zadawała sobie pytanie, którego by na męża wybrała, i musiała przyznać, że wszystko mówiło za Romanem. Ten kwalifikował się pod pantofel najdoskonalej, gdy przygniecenie Bończy nader zdawało się wątpliwym.

Jakie uwagi czyniła Lola, nikt z niej odgadnąć nie potrafił, tak doskonale odgrywała obojętność.

Na pierwszym wstępie zapytała o zdrowie opiekuna, hrabia Roman odpowiedział, iż miał się nadspodziewanie dobrze i że przysłał go o tym ją zawiadomić.

Na tym chwilowo przerwała się rozmowa.

– Znam hrabiego Filipa – odezwał się Bończa – to człowiek żelazny, jestem pewny, że i teraz zupełnie wyzdrowieje. Zapadał już nieraz ciężko, zawsze chorobę zwyciężył energią i wolą życia.

Jakkolwiek pierwszy raz nie powiodło się Bończy w Gromach i powracać już pono nie miał zamiaru, rozmyślił się potem, przyjechał i potrafił, najrozmaitszych używając do tego środków, wciągnąć baronównę w dosyć żywą rozmowę. Był tu już teraz całkiem swój i obracał się swobodnie. Zdziwiło to nieco Romana, nie bardzo mu się nawet podobało, ale przełknąć musiał, nic nie pokazując po sobie.

¹²⁴ b e c a b e c (fr.) - oko w oko

Bończa, wyczerpawszy z tą wizytą powody bywania, myślał tylko, jakby sobie wstęp zapewnić. Gdy ciocia Nieczujnska przyszła do salonu, manewrował tak, aby na konferencję tycząca się listu wyprowadzić Hermę do drugiego pokoju.

Uśmiechając się wyszła figlarna kobiecina.

– Cóż mi pan powiesz? – spytała – mów prędko, nie chcę, aby mnie posądzano, że mam z panem jakieś tajemnicze stosunki. Gdzie indziej nic bym sobie z tego nie robiła, ale tu nie chcę.

– Więc krótko i węzłowato – rzekł Bończa – proszę panią o pomoc, o ratunek, jestem śmiertelnie zakochany!

– W kim? w cioci Nieczujnskiej czy we mnie? – spytała Herma. – Ciocia za pana nie pójdzie, a ja się dla niego nie rozwiodę.

– Pani mnie nie chcesz rozumieć!

Herma parsknęła śmiechem głośnym.

– Dajże mi pan spokój z miłością! Pan, pan zakochany! pan, który jesteś największym w świecie i w Galicji bałamutem... Za kogo mnie pan bierziesz?...

Bończa zmilczał.

– Mów mi, że się chcesz ożenić, bo panna posażna, a przy tym piękna, co zawsze dobrze, rozumiem.

– No, gdyby tak było? przypuśćmy – zawołał Bończa.

– Toby było przynajmniej szczerym wyznaniem. Ale cóż ja na to poradzić mogę, w pokoju siedzi narzeczony.

– Narzeczony, nie narzeczony, panna go musi nienawidzieć. Usiłuj pani tylko namówić ją, by ślub zwlekała. Doskonały pretekst, bo stary hrabia ma się lepiej, a ratuje się zwłoką od śmieszności. Pani na to wpłynąć możesz.

– Cóż panu po zwłoce?

– Ja nie tracę nadziei.

– A ja dla pana nie mam najmniejszej. Powiem otwarcie, gdybym była w miejscu Loli, a miała do wyboru pomiędzy hrabią a panem, wybrałabym pierwszego.

Bończa zagryzł usta i wyprostował się dumnie.

– Wiesz pan, dlaczego? – dodała śmiała Herma – pan masz minę tyrana i despoty, a tamten potulnego chłopięcia. Jużciż, z dwojga, kobieta zawsze, jeśli ma rozum, wybiera złe mniejsze.

– Tak się pani zdaje? – spytał urażony nieco Bończa.

– Tak się mnie zdaje i jej zdawać musi.

– Lecz cóż by to pani szkodziło wpłynąć na zwłokę? ja o nic więcej nie proszę. Roman niechybnie przybył naglić o pośpiech. Baronówna może lada czym się wymówić.

– Zobaczmy – rzucając wzrok dziwny na suplikanta¹²⁵, odezwała się Herma wchodząc do salonu.

Podano wkrótce wieczerzę, przy której ogólna rozmowa dosyć była ożywiona, tylko Roman widocznie przybity mało się mieszał do niej. Lola mówiła wiele, nie chcąc widzieć, że hrabia coraz bardziej wyglądał ponuro.

Po wieczerzy musiał Bończa pożegnać się i odjechać.

¹²⁵ s u p l i k a n t (łac.) - człowiek wnoszący prośbę, błagający o coś

Romanowi nie wypadło też tego dnia zagajać rozmowy i po jego odjeździe wziął kapelusz, ażeby wyjść także. Lola, zajęta jakąś żywą rozprawą o haftach z przyjaciółką, mało nań zwracała uwagi, powiedziała: dobranoc, i odszedł.

– Przyjechał niezawodnie nudzić mnie o ten termin znowu – odezwała się Lola, gdy odszedł.

– Cóż myślisz? – spytały razem ciocia i Herma.

– Sama nie wiem... ale trochę mnie to niecierpliwi.

– Dałaś słowo – zawołała Nieczujaska – nie ma już więc po co zwlekać.

Lola spuściła oczy.

– Lecz jeżeli opiekun ma się lepiej i wyzdrowieje, po cóż tak spieszyć?

– O! ja głosuję z Lolą – podchwyciła Herma – po co spieszyć, zawsze się za wcześnie idzie za męża. Radziłabym, nie gniewając chorego i nie odwołując danego słowa, coś takiego wymyślić, aby to się sobie zwlekło...

Nieczujaska ruszyła ramionami i załamała ręce, poczęła husarskim krokiem chodzić po pokoju.

– Co się to dziś na świecie dzieje! co się dzieje! – zawołała – nigdzie najmniejszego sensu... Żenią się bez rozmysłu, bez przywiązania, nie znając, nie starając, jednego dnia chcą, drugiego nie chcą, nie mają odwagi wypowiedzieć posłuszeństwa ani dotrzymać słowa. Niechby była Lola wbrew i otwarcie oświadczyła: nie chcę, może bym nie pochwaliła tego, bo chłopiec jakiś dobry, ale bym zrozumiała... a ta przyrzekła i teraz bałamuci. Cóż to znaczy?

– Moja ciociu – odparła Lola – to znaczy, że choremu nie chciałam robić przykrości, a dziś... rada bym choć się lepiej rozpatrzeć w tym, co czynię.

– At! dzieci jesteście i po wszystkim – zawołała Nieczujaska – ten był narzucony, więc niemiły, pokazał się drugi, furfant¹²⁶ zadłużony, spekulant, co się o każdą posażną pannę stara, i gotowa moja Lola dać mu się na przekór bałamucić. Ja tego nie ścierpię, nie powiedziawszy, co myślę i czuję. To mówię ci, furfant jest!

Lola się uśmiechnęła.

– Jeśli mnie ciocia posądza, że podobny jegomość mógł na mnie zrobić wrażenie, doprawdy gniewać bym się miała prawo. Nie chcę ani tego, ani tego...

Są czasem dziwne trafy i przygody, które w powieściach uchodzą za nieprawdopodobne wymysły, gdy w rzeczywistości powszedniej tłumaczą się fatalizmami. Jednym właśnie z takich wypadków było, że w chwili gdy się ta rozmowa toczyła, gdy zegar dobijał jedenastą, otworzyły się drzwi i kamerdyner wszedłszy, bez rękawiczek, widocznie pomieszany, począł coś szeptać cioci Nieczujaskiej na ucho, która zdawała się go wcale nie móc zrozumieć.

Z ust jej wyrwały się tylko słowa nie mające związku.

– Co? Gdzie? ale to nie może być! Jak się nazywa? o tej godzinie! Cóż to znowu takiego!

– Cóż się stało? – zawołały razem, zrywając się z siedzenia, Lola i Herma. Kamerdyner odstąpił krok.

– Mów, panie Zambrzycki – odezwała się gospodyni – cóż to, tajemnica?

¹²⁶ f u r f a n t (wł.) - krętacz, blagier, filut, szelma

– Ale żadna tajemnica! tylko kat wie co, czego ja zrozumieć nie mogę – przerwała ciocia ruszając ramionami. – Mów, panie Zambrzyski.

Kamerdyner wyprostował się, chrząknął i począł:

– Nie ma tak dalece nic – rzekł – tylko do pani kapitanowej gość przybył... Podobno zbłądził w drodze czy coś, i oto tak późno...

– Gość? kto? – zapytała Lola.

– Ale ja go nie znam! to jakieś bałamuctwo – przerwała Nieczujaska.

– Ja tam nie wiem, co jest, ale najętym Żydkiem z... na furce przyjechał młody człowiek. Prosi, aby się mógł widzieć z panią kapitanową, i opowiada się jako synowiec jej.

– Żadnego synowca nie mam i nie znam! – ofuknęła kapitanowa – co znowu! przybędą jakiś! Brat mój nieboszczyk nie był żonaty.

Herma po swoim śmiać się mocno zaczęła.

– A! to doskonała awantura! Gdzież ten nieznany synowiec?

– Czeka przed oficyną z Żydem i furą – rzekł, nieco pogardliwie uśmiechając się kamerdyner.

– Otóż proszę! – krzyknęła Nieczujaska – jeszcze tego brakło! ale zmyjź mu głowę dobrze, bo to nie może być, nie może być...

I ruszyła ku drzwiom.

– Ciociu! – biegnąca za nią wołała Herma – my tu poczekamy, przyjdź nam powiedz, co się stało. A! gdybym też mogła podsłuchać, jak go kapitanowa przyjmie!

Lola nie mówiła nic; siadły dwie przyjaciółki na cichą rozmowę. Ciocia wybiegła. Kamerdyner za nią drzwi zamknął i poważnie się wytoczył.

W oczekiwaniu końca tej osobliwszej przygody przyjaciółki siedziały w salonie, upłynął kwadrans, upłynęło pół godziny, ciocia z powrotem nie było. Herma zadzwoniła. Kamerdyner się stawiał.

– Cóż się stało z kapitanową? – zapytały obie.

– Nic nie wiem – rzekł Zambrzyski – nie mogłem iść za nią. Słyszałem tylko głos jej, zrazu bardzo żywy, potem coraz umiarkowańszy, weszła z podróżnym do gościnnego pokoju w oficynie, kazawszy dać światło, i o ile mogłem dostrzec przez okna, kapitanowa płacze i ściska przybyłego. Musi to być w istocie jakiś synowiec.

– Jakże wygląda? biednie? – zapytała Herma.

– Dosyć przystojny i rażny mężczyzna – odparł Zambrzyski – ale koło niego ubogo.

Lolę to zaniepokoiło.

– Idź, panie Zambrzyski – odezwała się – i powiedz po cichu kapitanowej, że ją proszę, jeśli to jej krewny, aby go za mojego gościa uważała, a panu polecam, aby miał wszelkie wygody.

Kamerdyner wyszedł, a w kilka minut dał się słyszeć łatwy do rozpoznania chód pani Nieczujskiej, która otworzyła drzwi i weszła cała splakana.

Obie przyjaciółki pospieszyły naprzeciw niej. Kapitanowa padła na krzesło i milczała długo.

– Któż to jest? co to jest? – poczęła Lola.

– A! moja dobrodziejko, najmocniej cię przepraszam – odezwała się Nieczujaska – daruj mi ten kłopot w domu, któż się tego mógł spodziewać! Jest to w istocie synowiec mój, ma na to dowody. Wychowany przez krewnych swej matki w Prusach, biedny chłopak, o którego istnieniu nawet nie wiedziałam.

Gdzieś dopytał, że żyję, i przyszło mu do głowy mnie odwiedzić. Ja tu sama na łasce i będę wizyty przyjmować!

– Ale co też ciocia mówi – oburzyła się Lola podbiegając ku niej – jej gość jest moim gościem. Proszę mi krzywdy nie czynić ceremoniami, za które gniewać się będę.

I uściskała ją serdecznie.

– Ciocia mi da słowo, że go nie puści stąd, póki sam nie zechce jechać. Niech sobie spocznie, niech się nim ciocia nacieszy.

Kapitanowa porwała się z krzesła i poczęła Lolę ścisnąć z rozrzewnieniem i gwałtownością sobie właściwą.

– Pocziwe z ciebie dziecko! Bóg ci zapłaci! – zawołała. – Ja ani on nie będziemy ci zawadzali. Pojedzie prędko, bo to chłopak pracowity i ma zajęcie, ale to nie do waszego towarzystwa człowiek. Ja sobie z nim jutrzejszy dzień w oficynie przebędę i niech rusza. Dzięki Bogu, choć wygląda bardzo sobie po prostu, ma, słyszę, zakład swój własny garbarski w którymś miasteczku w Wielkiej Polsce i dobrze mu się wiedzie. Uniwersytet skończył, widać niegłupi, ale wygląda jak hoży parobek! Mój Boże, mój Boże, na co to my zesli! – dokończyła doda Nieczujka.

– Ja na to nie pozwolę, aby się ciocia z nim chowała, przecież krewni jesteśmy, przyjąć go potrzeba jak należy. To moja rzecz – odezwała się Lola.

Jeszcze raz uściskawszy baronównę, ciocia wybiegła do oficyny, niespokojna Lola powtórzyła rozkazy kamerdynerowi i koniec końcem wszystko we dworze wkrótce ucichło, a ciocia Nieczujka nierychło wróciła do swego pokoju.

Nazajutrz nie tała się z tym ani Lola, ani Herma, że tego garbarza wczorajszego bardzo widzieć pragnęły, choćby dla ciekawości, jak szlachcic na rzemieślnika przerobiony wygląda.

Ale cały ranek Nieczujka z nim siedziała w oficynie. Gdy nadeszła godzina salonu i panie do niego zeszły, w kilka minut zjawił się nader smakownie ubrany hrabia Roman. On i Francois od rana układali, jak się miał przyodziać, co włożyć i których użyć perfum, aby dwa razy jednych nie powtórzyć. Wybrano „Cuir de Russie”¹²⁷.

Roman, mimo trosk, jakie go dotykały, wyglądał świeżo, ładnie, elegancko. W chusteczce wpięta śpilka wyobrażała dżokejskie trofea bardzo misternie wyrobione, guziki koszuli składały złote podkowy nabijane brylancikami. Na lakierowanych trzewiczkach cudownej roboty miał jak ulane kamaszki¹²⁸, dobrane barwą do rannego stroju w ciemnostalowym kolorze. O włosów rozdział postarał się Francois, czynił mu honory, żaden fryzjer by się go nie powstydział. Z tyłu szczególniej przęga ta miała efekt wielce kunsztowny. Rozumie się, że strój, krój, szyk sukni Romana nic nie pozostawiał do życzenia.

Jakby na przekorę spodziewającemu się stanowczej rozmowy i bliskiego poznania Romanowi gospodyni posłała natychmiast do oficyny, zapraszając koniecznie gościa wczorajszego na pokoje.

¹²⁷ „C u i r d e R u s s i e” (fr.) - dosł. rosyjska skóra, nazwa perfum francuskich

¹²⁸ k a m a s z e (fr.) - sukienne lub skórzane cholewki noszone do niskiego obuwia

Wprowadziła go z sobą zmieszana ciocia Nieczujaska, a to pomieszanie ła-
two sobie wytłumaczyć tym, jak się ten nieszczęśliwy nocny przybływy wydał
przy nieposzlakowanej elegancji hrabiego Romana.

Ratowało go to nieco, że chłopak był zbudowany jak Antinous¹²⁹, zdrów,
silny, barczysty i wcale pięknych rysów twarzy, w której widać było intelligen-
cję i rozwinięcie umysłowe. Lecz zresztą wyglądał na tak dziwne stworzenie,
iż hrabia, zobaczywszy go wchodzącego na pokoje, niemal osłupiał. Wziął go
za pisarza prowentowego.

Pan Adolf Nieczujski, wcale nie zmieszany, wszedł za ciocią, zaprezentował
się nadzwyczaj śmiało i raźnie odezwał do gospodyni:

– Niech mi baronówna raczy przebaczyć ten najazd. Zabłądził mój nie-
szczęsny woźnica i przywiózł mnie w niewłaściwej godzinie, tak żem tu nie-
małego narobił stryjence i pani kłopotu. Nie mogłem się, podróżując po kraju
dla mojego interesu, oprzeć chęci poznania jedynej, najbliższej krewnej.

Mówiąc to śmiał się dobrodusznie. Lola, zlitowawszy się widocznie nad je-
go położeniem, znalazła się bardzo przytomnie, odpowiedziała mu grzecznie,
zaprosiła go, aby się w domu jej jak u krewnej uważał, słowem zrobiła, co
mogłoby mu natchnąć otuchę. Poskutkowało to widać, gdyż położył zaraz
swoją okropną, z wielkimi skrzydłami kapelusz i nie mniej pierwotne rękaw-
iczki na krzeselku, a sam, mimo że go zapoznano z hrabią, że się znalazł
nagle w tak dystyngowanym towarzystwie, zdawał się, wedle wyrażenia Her-
my, nic sobie z tego wcale nie robić.

Spojrzał tylko na hrabiego, który mu się z dala uklonił, nie podając natu-
ralnie ręki, i jakby go to nic a nic nie obchodziło, że miał surdut czarny
zmięty, nieosobliwie zrobiony, krawatę bez śpilki, a kamizelkę nieforemną i
breloki¹³⁰ jakieś wcale niepiękne, siadł między paniami, nie tracąc ani humo-
ru, ani miny.

Hrabia przypatrywał mu się jakby wykopalisku przedpotopowemu: nie był
to człowiek jego świata, widzieć go w salonie ocierającego się tak poufale o
siebie mocno go bolało. Ale musiał to znieść, nie dając znać po sobie, jak go
to obeszło.

Herma wpatrywała się w przybysza z ciekawością psotnicy, której się trafił
motyl do wsadzenia na śpilkę, Lola z pewnym zajęciem nie ukrywanym wca-
le. O hrabi Romanie zapomniano na chwilę.

Zwykle w salonie, jak to u nas wszędzie po domach zamożnych się trafia,
rozmowa toczyła się albo po francusku, lub kaleczoną francuszczyzną. Po-
czuli jednak wszyscy, litując się nad nieszczęśliwym garbarzem, że dla niego
wypada mówić po polsku.

– Jakże się panu podobała nasza okolica? – spytała Lola.

– Piękniejszej w kraju nie widziałem – odparł Nieczujski – co za dwory i
pałace! Dziwi mnie tylko, że stan przemysłu i byt ogólny niezupełnie odpo-
wiada tej pozornej wspaniałości... Kraj to bez wątpienia mający wielką przy-
szłość.

¹²⁹ A n t i n o u s - słynny z piękności młodzieniec, ulubieniec cesarza
rzymskiego Hadriana

(117-138); ideał męskiej urody

¹³⁰ b r e l o k (fr.) - ozdobny wisiołek

Przemysłowiec widocznie ze swego stanowiska zapatrywał się na prowincję, mało go kto rozumiał. Hrabia, chcąc być grzecznym, upewnił go, że kraj i obywatelstwo bardzo bogate. Uśmiechnął się pan Nieczujski.

– Nie przeczę – rzekł – i mam nadzieję, że się tu zamożność podniesie, gdy wszelkie siły uśpione i bezczynne spotrzebowane zostaną. Nasze Poznańskie – dodał – mniej malownicze, dla pejzażysty i turysty nie tyle dostarcza ciekawych widoków, ale Niemcy nauczyli nas zagospodarować je lepiej.

Ponieważ w tym przedmiocie gospodarstwa nikt nie był mocny, zmilczano. Trudno jakoś przychodziło dobrać innego przedmiotu do ogólniejszej rozmowy. Hrabia Roman, czując się zaniedbanym i znajdując, iż aż nadto już bawiono tego przemysłowca, wszczął umiejętnie rzecz o ogrodach i kwiatach. Tu nie spodziewał się stykać z niemiłym owym prostakiem. Mając wiele erudycji, rozwinął swe poglądy na piękne ogrodnictwo i zacytował mnóstwo rzadkich roślin, którymi cieplarnie Pruhowa słynęły.

Nieczujski słuchał z uwagą. W chwili gdy się tego najmniej spodziewano, aby się do rozmowy wtrącił, rzekł po prostu:

– U nas też ogrodnictwo na wysokim stopniu i ja mam tę słabość, że piękne kwiaty lubię bardzo. Niemal wszystkie te osobliwości, o których hrabia wspomina, mam w trejbhauzach¹³¹ i oranżerii... sprowadzam coś co roku. Nic wdzięczniejszego nad pielęgnowanie roślin.

Zuchwałstwo, z jakim garbarz wspominał o swoich trejbhauzach i cieplarni, niesłychanie wszystkich zdziwiło. Musiało się to odmalować na twarzach, gdyż Nieczujski dodał śmiejąc się:

– I nam, pracowitym ludziom, należy czasem chwila rozrywki niewinnej.

Biedak chciał się tłumaczyć. Hrabia, ulitowawszy się, nic nie odpowiedział, pomyślał, że kłamie. Lola spojrzała na otwartą, uśmiechniętą twarz jego i na myśl jej to nie przyszło.

Hermę to tak dalece zaintrygowało, że się przysunęła do Nieczujskiego. Można było sądzić, że to go zadziwi i zmiesza, ale bynajmniej nie zdawał się być poruszony.

– Pan mieszka na wsi czy w mieście? – zaczęła badać ciekawa.

– W miasteczku – rzekł garbarz – ale mam dla mojej fabryki znacznej rozległości posiadłość, spory ogród, dom ładny, a przy nim rodzaj cieplarni, która stanowi razem mój salon zimowy.

Na to sprofanowanie imienia salonu hrabia aż drgnął.

– Doskonały garbarz! – rzekła w duchu Herma.

Lola wpatrywała się w niego ciągle, egzaminując znać osobliwsze zjawisko. Gdy po cichu dalej ciągnęła się indagacja obwinionego o garbarstwo przybyła, hrabia Roman, usiłując wydobyć się na pole, na którym by się już nikt nie spotkał z nim, począł o literaturze i teatrze.

Garbarz dał mu się popisać z całym zapasem wiadomości i połapanych zdań; milczał pokornie, gdy Herma wszczęła spór o jakąś sztukę Dumasa. Szło o rozstrzygnięcie jej autorstwa. Hrabia przyznawał ją staremu Dumasowi - ojcu, Herma synowi.

– Nie ma najmniejszej wątpliwości – wtrącił garbarz – że autorem jej jest młodszy... miałem ją w ręku niedawno.

¹³¹ t r e j b h a u s (niem.) - cieplarnia, oranżeria

Piorun uderzający w dom nie byłby takiego uczynił wrażenia. Kto by się był spodziewał, że ten prosty człek w grubych butach z podeszwami angielskimi, w takim surducie, z chustką od nosa nie batystową mógł znać i czytać Dumasa.

Hrabia odwrócił się zarumieniony. Herma zamilkła chwilę. Lola spojrziała żywo i milczenie zapanowało w salonie.

– Sztukę tę w roku przeszłym widziałem w teatrze w Paryżu – dodał Nieczujski.

– Byłeś pan w Paryżu? – spytała nierozważnie Herma, zarumieniwszy się sama za to mimowolnie wyrywające się jej pytanie.

Nieczujski, wcale nie obraziwszy się nim, z prostotą rubaszną rozśmiał się także.

– Chociaż garbarz i fabrykant – rzekł – podróżowałem wiele, znam z pierwszych wędrowek moich studenckich i z późniejszych Paryż, Londyn i Włochy.

– A nie umie się przyzwoicie ubrać! – pomyślał w duchu hrabia – osobliwsza jakaś figura! Co to się dziś po świecie spotka...

– Ja też bardzo ciekawa obcych krajów – przerwała gospodyni – wiele się z nich nauczyć można, a jak nam, kobietom, osławionym z ciekawości, i prosta chętka widzenia może być darowana.

– Ale dlaczegoż nie – podchwycił Nieczujski – nie godzi się tylko zniechęcać przez to do własnego kraju. Jam się wiele nauczył i cieszę się z mych wędrowek. Anglicy, którzy najwięcej może podróżują po całym świecie, słyną też z przywiązania do *old merry England*¹³².

Tych kilka słów angielskich dobiły już towarzystwo, że przez chwilę nikt ust nie otworzył. Nieczujski jakby u siebie w domu, wstał z krzesła i począł przez okna przypatrywać się okolicy i ogrodowi. Ciocia poszła za nim i wywiodła go do drugiego pokoju rozmawiając. Oczy wszystkich ścigały osobliwszego przybysza. Nie widać było po nim najmniejszego zafrasowania się towarzystwem, swobodnie, ale jakoś dziwnie rubaszenie się poruszał. A był widocznie wykształcony, lecz prosty, jak go Bóg stworzył. Kunsztowne wychowanie nie zabiło w nim człowieka.

– Wiesz, Lolu – szepnęła Herma – to wcale osobliwszy egzemplarz, któryśmy winni cioci Nieczujskiej... Jak go znajdujesz?

– Zajmującym! – powiedziała Lola.

– Ekscentryczny! – dodał hrabia – ale osobliwy...

Korzystając z oddalenia się cioci i z chwilowego usunięcia się Hermy, która odeszła po chustkę zapomnianą, hrabia na ostatek odważył się zagaić najważniejszą dla siebie rozmowę urzędową.

– Chciałbym pomówić o przedmiocie przez stryja mi poleconym – odezwał się nieśmiało.

– Słucham – sucho odparła Lola.

– Stryj przysyła mnie z prośbą, abyś pani raczyła naznaczyć termin dla mnie tak upragniony.

– Upragniony! – podchwyciła Lola – ale po cóż ten dodatek? Ja zdałam się na hrabiego...

¹³² o l d m e r r y E n g l a n d (ang.) - stara, wesola Anglia

– Hrabia odsyła mnie po wyrok do pani – przerwał hrabia uroczyście – prosi jednak, równie jak ja, o przyspieszenie.

Lola nieznacznie ruszyła ramionami.

– Czybyś pan nie znajdował – rzekła – iż wspólnymi siłami należy nam termin ten, o ile można, odroczyć?

– Ja tego nie znajduję – odparł, grzecznie się uśmiechając, kawaler – lecz wola pani będzie dla mnie rozkazem.

– Ale ja nie mam woli, jak hrabia widzisz – odezwała się Lola – gdybym ją miała, rękę hrabiemu, termin musiałby być usunięty bardzo daleko...

Na te słowa nie znalazł odpowiedzi Roman; dobył chusteczkę batystową woniejącą zapachem „Cuir de Russie” i otarł nią spocone czoło, a potem westchnął.

Westchnienie wydobyło z ust Loli smutny uśmiech.

– Jakaż odpowiedź mam zawieźć stryjowi?

Lola namyślała się smutna.

– Wiesz hrabia co, powiedz mu raz jeszcze, jestem posłuszną, będę posłuszną i zastosuję się do jego woli.

– Zdaje mi się, że hrabia życzyłby sobie najdalej za dni...

Chciał dopowiedzieć, gdy baronówna, usłyszawszy „dni”, krzyknęła. Herma wbiegła na ten głos i rozmowa w stanowczej chwili najfatalniej została przerwana.

– Cóż to za doskonale masz pan perfumy! – wtrąciła Herma.

– Nie używam innych nad prawdziwe angielskie – rzekł, czując się w swoim żywiole, Roman. – Inne wszystkie są nieudolnym ich naśladowaniem. Siano na przykład, „Cuir de Russie”, inne wonie trudne do pochwylenia, a obrzydłe imitowane¹³³ i fałszowane, nie są do użycia, jeśli nie pochodzą z za cieśniny¹³⁴.

Lola z politowaniem spojrzała na tryumfującego Romana, który z widoczną miłością ten przedmiot traktował, potem wzrok jej jakby dla porównania pobiegł zatrzymać się na garbarzu, który właśnie z cicią do pokoju powracał. Herma w tej chwili, przypomniawszy sobie profesję gościa i nazwę perfum, którym ten dzień był poświęcony, o mało nie parsknęła śmiechem, bo jej na myśl przyszło, że ze skórą mieli do czynienia i że w tym była jakaś fatalność. Musiała aż wybiec, aby się powstrzymanym śmiechem nie udusić.

Nieczujaska znać bliżej rozpytywała synowca i cicha jej z nim rozmowa pełna była wykrzyków podziwienia, które się jej z pełnego wyrwały serca. Nie umiała się nigdy powstrzymać od manifestacji tego, co czuła. Z twarzy znać było jednak, że to, o czym się dowiadywała, dziś musiało ją bawić, pocieszać i zdumiewać. Tak czas upłynął aż do obiadu, kamerdyner otworzył drzwi; skinęła gospodyni na hrabiego, aby rękę podał Hermie, a sama, obróciwszy się – o zgrozo! poszła do stołu z garbarzem.

Dobiło to hrabiego, który długi czas nie mógł potem przyjść do siebie.

– To już za daleko posunięta gościnność – rzekł w duchu – tego rodzaju człowiek...

¹³³ i m i t o w a n y (łac.) - naśladowający coś, podrabiany

¹³⁴ z z a c i e ś n i n y - z za Cieśniny Kaletoskiej, z Anglii

Spojrzał na gościa, który zasiadł do stołu, wcale nie zdając się przejęty ła-
ska, jakiej doznał, i rozpoczął bardzo swobodną rozmowę, jakby się czuł w
kole osób sobie równych.

– Demagog¹³⁵ jakiś! – myślał hrabia – ta pogarda wszelkich form przyjętych
tego dowodzi, szczęściem, że to ptak przelotny i że nam się tu długo naprzy-
krzać nie będzie.

Rozmowa Nieczujskiego tak jakoś różniła się od pospolitej, że wszyscy zo-
stali tym uderzeni. Zwykle mówiono o dzieciństwach lub dzieciźnie o rze-
czach ważniejszych, ten, ile razy usta otworzył, dotykał przedmiotów i obja-
wiał jakieś poglądy, o których się nikomu nie śniło. Odpowiadano więc pół-
słowy, panowało zdumienie i jedna tylko gospodyni z wielkim, jak się zda-
wało, zajęciem słuchała tego osobliwszego kuzynka.

Hrabia Roman, zgorszony wielce, postanowił temu koniec położyć i dopa-
trzywszy chwili dogodnej, rozpoczął opowiadania wielce interesujące o mo-
dach, o nowych balach, jakie się urządzały w stolicy Galicji na zimę, i for-
mach, jakie na nich miały być przyjęte.

Nieczujski jadł jak zgłodzony i słuchał tych powieści o wielkim świecie z
ironicznym uśmiechem.

– A! – zawołał, gdy w końcu hrabia dokończył i milczenie nastąpiło – co to za
szczęście dla mnie, prostego człowieka, że ja w tym kole, wśród tych ludzi, o
których elegancji tak pięknie pan hrabia opowiadasz rzeczy, żyć nie jestem
zmuszony! Cóż to za niewola! co to za nudy by były dla mnie, który nie mam
tak wykształconego smaku, ażebym umiał ocenić wszystkie przyjemności ta-
kiej egzystencji. Starczyłaby mi za najostrożniejszą pokutę.

– Jak to pan rozumie? – zapytał hrabia.

– Nie obrażaj się pan hrabia – rzeki po prostu, z otwartością wesołą Nie-
czujski. – Panowie żyjący w tym świecie jesteście tym, co się zowie grzecznie
*hommes de loisir*¹³⁶, my jesteśmy ludźmi nawykłymi do pracy. Gdyby nam
kto kazał myśleć całe życie o zawiązaniu krawatki, o ubiorze, o balach, o
wieczorze, po którym następuje poranek u kogoś, obiad u innego, wieczerza,
potem tańce, wyścigi... a! miły Boże, w tydzień by człowieka nie stało. Do-
dawszy do tego wielką troskę o to, co włożyć, jakie wybrać rękawiczki, jakie-
go kroju suknie, jaką sprawić liberię, co modne, a co niemodne...

Śmiał się mówiący. Roman płonął jak człowiek osobiście obrażony.

– Naturalnie – rzekł – że nie wszyscy są stworzeni do tego życia.

– Ja myślę, że nikt – odparł Nieczujski – ale wychowanie wzwyczajają do nie-
go, a do innego niezdatnym czyni.

– Przecież w tym świecie także są zajęcia! – rzekł hrabia.

– Jakie? – spytał Nieczujski.

– Literatura, sztuki, gospodarstwo, interesa.

– Ale gdzież czas na to wszystko? – podchwycił garbarz.

Zamilkli trochę.

¹³⁵ d e m a g o g (gr.) - człowiek głoszący hasła obliczone na łatwy efekt,
poklask, pozyskujący ludzi schlebaniem, kłamstwem itp.

¹³⁶ h o m m e s d e l o i s i r (fr.) - ludzie wolni od zajęć

Już nie tylko Roman sam, ale Lola nawet i Herma tą napaścią tak śmiała na żywot wielkiego świata zdawały się dotknięte. Śmielsza więc Herma interpelowała¹³⁷:

– Za pozwoleniem, będzie to może niedelikatnie, ale jakież pan, co mówisz, iż do wielkiego świata nie należysz, pędzisz życie?

Nieczujski zdawał się namyślać.

– Wszystko, co piękne, co uszlachetnia człowieka, co obyczajom nadaje ogładę i stosunki przyjemnymi czyni, my także, ludzie pracy, cenić umiemy, brzydzimy się tylko próżnowaniem systematycznym, które zabija powoli człowieka i usypia, a z form przyjmujemy tylko te, które nie czynią kunsztownej lalki z istoty żywej.

– Ależ świat cywilizowany! – przerwała Herma.

– Pani to nazywa cywilizowanym światem? – przerwał Nieczujski i jakby się nagle opamiętał, dodał – A! jakże bo niewłaściwy przedmiot wybrałem do rozmowy...

– Owszem, mów pan, mnie to wielce zajmuje – przerwała żywo Lola. – Ja nie należę jeszcze, mogę powiedzieć, do żadnego świata. Przeznaczenie zdaje się mnie popychać ku temu, który panu tak się dziwnym wydaje... chciałabym jak najwięcej słyszeć i myśleć... dla uczynienia wyboru!

– A, jeśli mnie pani upoważniasz, to choćbym się miał narazić moją otwartością, będę mówił, jak myślę! – zawołał gość. – W tym świecie, co się nazywa wielkim, ludziom się zdaje, że do ideału dążą, ale... jeśli mam szczerze powiedzieć, podobni są do niego jak lalki wystawione u fryzjerów do obrazów wielkich mistrzów. Całe życie ich składa się z kunsztownego udawania jakiegoś i ciągłej obawy, aby się w czymkolwiek formom nie uchybiło. Życie przechodzi na zabawach, które nie bawią, na pracach, które nie zajmują i do niczego się nie zdały, na kłamstwie, które nikogo nie oszukuje, a którym się wszyscy częstują.

– Więc pan – przerwał oburzony Roman – wolisz zapewne towarzystwo hałaśliwe, prostackie, w którym żadnej formy nie ma... aleć to barbarzyństwo!

– Za pozwoleniem – rzekł Nieczujski – nie rozumiemy się, panie hrabio, ja wcale tego towarzystwa karczemnego nie lubię, bo to półzwierzęcy byt i życie w nim nieznośne, ale pomiędzy wyżynami wielkiego świata, który jest stworzony dla żywienia fryzjerów i modystek, a nizinami w grubych koszulach i łapciach jest środek. W tym środku, jak zawsze w świecie, na zetknięciu się dwóch antagonizmów jest życie normalne i prawda.

Jeszcze może więcej niż treść wyrazów pana Nieczujskiego zdumiały Romana i słuchaczów użyte wyrażenia, wyniesione ze studiów uniwersyteckich, a w salonowej rozmowie niezwykajne. Herma poczuła w tym jeszcze niezupełnie zwietrzałego niemieckiego bursza¹³⁸, a Lola zaciekawioną nim była.

Roman czuł dlań politowanie i rodzaj pogardy.

– To są teorie – rzekł – na których cenie się my nie znamy. Cóż począć, gdy kogo przeznaczenie postawiło w tym świecie? Musi w nim żyć i niech mi pan wierzy, że tym, co w nim żyją, nie wydaje się to tak strasznym i ciężkim.

¹³⁷ i n t e r p e l o w a ć (łac.) - żądać wyjaśnienia, pytać urzędowo

¹³⁸ b u r s z (niem.) - nazwa studenta szkół wyższych w Niemczech

– A, jak skoro komu z tym dobrze! – rozśmiał się Nieczujski. – Ja bo jestem prosty człowiek, nawykły do prawienia niestworzonych rzeczy. Co w myśli, to na języku.

– To jak ja! – rozśmiała się ciocia Nieczujka – moją naturę masz!

Herma i Lola popatrzały na siebie, dziwnie się im jakoś zrobiło. Hrabia się zupełnie odwrócił od sąsiada i milczał. Nieczujski tymczasem rzucał naiwne pytania o to i owo, na które rzadko mu umiano odpowiedzieć. Przekonywał się, że i pan ten, i panie warunków rzeczywistych kraju i życia jego nie znały zupełnie. Lola rumieniąc się tłumaczyła, że niedawno wyszła z pensji. Herma nie myślała oszczędzać człowieka, który zaczynał jej być wstrętliwym.

– Ale cóż bo pan od nas chcesz? – zawołała – żebyśmy się takimi rzeczami zajmowały? Ja myślę o sukni, o ubraniu, o koronce, o balu, o podróży do wód i o tym, żebym się jak najlepiej bawiła, reszta mnie nie obchodzi, tylko mojego męża. Gdy mam czas, czytam książkę francuską lub niemiecką, trochę gram, trochę się nudzę, ale mi nigdy na myśl nie przyszło zaprzęgać się do jakiegoś tam gospodarstwa i pańszczyzny.

– Szkoda, bo to by się dało pogodzić z muzyką, literaturą, a nawet elegancją kobiecie potrzebną i miłą, a przyjemnie by czas zajęło.

– Prawisz pan kazania! – zawołała Herma.

Nieczujski się rozśmiał.

– Zawsze mi to wyrzucano! masz pani słuszość, jestem nudny jak kaznodzieja.

– Ale nie, wcale nie – zaprzeczyła Lola – to przynajmniej coś dla nas nowego. Mów pan i nie uważaj...

Ciocia wmieszała się do rozmowy po swojemu, zaczęto się śmiać i epizod ten skończył się powszechnym porozumieniem, bo nawet Herma dała się przejednać. Hrabia tylko powziął gwałtowny wstręt do przybysza.

Wstano od stołu, a po czarnej kawie, nie chcąc swą osobą natrętnym być salonowi, Nieczujski poszedł z cygarem do ciotki.

Roman pozostał, uparcie na swym krześle dosiadując, w nadziei, że uchwyci chwilę do rozmowy z narzeczoną. Herma, czy za danym znakiem przez Lolę, która rada się była uwolnić od Romana i skończyć, czy dobrowolnie, wyszła. Hrabia natychmiast skorzystał z tego i zbliżył się do gospodyni.

– Właśnie miałem pani oświadczyć prośbę mojego stryja.

– Rozkaz raczej – wtrąciła Lola.

– Nie, prośbę przyśpieszenia – potwierdził Roman. – Stryj prosi, aby najdalej za dni...

Lola zmarszczyła się.

– Zmiłuj się pan, dni?

– Dni dziesięć – po cichu dodał hrabia.

– Ale panie, to być nie może! – zrywając się odparła baronówna. – Sam pan do pewnych form i zwyczajów przywiązujesz wagę, a moja wyprawa nie skończona... tyle rzeczy brakuje.

– Lecz szczególne okoliczności... wyjątkowe.

– A! prawda, że jesteśmy, niestety, w położeniu zupełnie wyjątkowym – dorzuciła Lola – więc proszę pana, powiedz pan z łaski swej stryjowi, że chcę mu być posłuszną, ale życzę i błagam go, aby mi dał trochę czasu.

Spojrzała na Romana, który siedział wyprostowany, najpocieszniejszą w świecie czułą robiąc minę i mrużąc oczy. Zdało się Loli, że widziała gdzieś

zupełnie do niego podobnego glinianego kotka grającego *amoroso*¹³⁹ na gitarze. Mimowolnie porównała w tej chwili rubasznego, wesołego, niezgrabnego trochę, ale pełnego naturalności i życia garbarza i choć, prawdą a Bogiem, wydawał się jej do zbytku oryginalnym, wołała jego rubaszność od tej sztywności narzeczonego. Całe życie przesiedzieć naprzeciw takiej istoty krochmalnej, zimnej, a udającej sentymentalizm, wyszukanie grzecznej i nie umiejącej się poruszyć, zdało się jej czymś przerażającym. Wzdrygnęła się.

– Przeznaczenie! okropne przeznaczenie! – myślała – dlaczegoż mnie ono spotyka?

Lola była po trosze także salonową laleczką, lecz w niej nie zabite instynkta ludzkie, uśpione, rozbudzały się powoli. Nigdy sobie innej nie wystawiała przyszłości nad taką, jaką ją Herma dla siebie mieć chciała, a jednak rodziły się wątpliwości, czy to się szczęściem będzie mogło nazywać, choć dla drugich może na nie wyglądać.

Roman, nie mając już nic do powiedzenia, zabierał się do kapelusza a dla przecignięcia pobytu mozolnie nakładał z wolna za ciasne rękawiczki z całą sztuką, jaką tylko posiadają ci, którzy do tej sznurówki nawykli.

– Chociaż pobyt tego jegomości – odezwał się z uśmiechem – zapewne się nie przedłuży, przyznam się, że wcale pani tego towarzystwa nie zazdroścę. U nas w Galicji nawet między młodzieżą klasy średniej coś tak surowego i prostaczego znaleźć trudno.

– Wiesz, hrabio – odparła Lola – nie powiem, ażeby mnie ten człowiek, prosty, prawda, ale szczery, otwarty, żywy, albo raził, lub nudził.

– Pani jesteś dobrocią samą – dodał hrabia.

– A! nie! sameś się pan mógł przekonać, że samowolna bywam i uparta, ale ten Nieczujski jest, mimo pozoru nieco dzikiego, bardzo wykształcony.

– *Pardon!*¹⁴⁰ – przerwał Roman – jest to ten rodzaj parafiańskiego wykształcenia właściwy Niemcom, co wszystko umieją oprócz znalezienia się w salonie, ja wolę Francuzów.

– Milsy są, ale przyznaj, hrabio, ci są *plus serieux*¹⁴¹...

Roman już był jedną rękawiczkę nałożył.

– Nieskończenie mnie dziwi, że pani może choć chwilowe znajdować upodobanie w takim towarzystwie. Takich *hommes serieux*¹⁴², specjalistów, my zwykle najmujemy za pieniądze, żeby za nas coś robili, ale żyć z nimi!

Lola nie znalazła już właściwym dłużej się spierać.

– Wystaw sobie! – wbiegając zawołała Herma pełna pustego śmiechu – Nieczujski z ciocią poszli na folwark gospodarstwo oglądać.

– *Il y sera dans son element* – precedził przez zęby hrabia – *dans la boue jusqu'aux chevilles*¹⁴³.

Dowcip ten nie rozśmieszył Loli, popatrzała na strojącego się pretendenta i nic nie odpowiedziała. Herma tylko przyklasnęła.

¹³⁹ a m o r o s o (wł.) - czule

¹⁴⁰ p a r d o n! (fr.) - przepraszam!

¹⁴¹ p l u s s e r i e u x (fr.) - poważniejsi

¹⁴² h o m m e s s e r i e u x (fr.) - poważnych ludzi

¹⁴³ i l y s e r a d a n s s o n e l e m e n t , d a n s ... (fr.) - Będzie tam w swoim żywiole, w błocie aż po kostki

Roman, w końcu zapiąwszy drugą rękawiczkę na oba guziczki, gdyż nie nosił innych nad zapinane podwójnie, ceremonialnie rozpoczął pożegnanie i odjechał.

Widząc powóz odchodzący sprzed ganku, Lola, jakby wielki ciężar spadł jej z ramion, padła na kanapkę i odetchnęła.

– Wierz mi! wierz mi! – szepnęła przyjaciółka – to najlepszy z mężów... będzie głuchy, będzie ślepy i zrobisz, co zechcesz, byleś umiała konwenanse zachować. O serce się ciebie nie spyta... chyba o suknię, jaką chcesz włożyć! *Il est parfait!*¹⁴⁴

Powróciwszy do Pruhowa, hrabia Roman z wielkim podziwieniem swym zastał stryja siedzącego w krześle. Był blady, wycieńczony, osłabły, ale chwilowo puchlina odeszła, trochę nadziei wstąpiło i jako człowiek czynny, który z każdej chwili czasu korzystać umiał, zajmował się już trochę zaniedbanym gospodarstwem i interesami. Nie łudził się on zbyt, ale mając wiele do rozporządzenia, chciał Romanowi pozostawić wszystko w porządku jak zegar nakręcony, bo wiedział, że choć utrzymać potrafi ład zaprowadzony, stworzyć go nie będzie zdolnym.

Piękny jeszcze dzień jesienny i trochę słońca wpadającego przez okno do sypialni wprawiły chorego w dobry humor, który u niego był rzadkim. Przywitał Romana pytaniami, na które szybko odpowiedzieć było potrzeba i kategorycznie.

– Cóżś robił?

– Postąpiłem podług rozkazu.

– Jakiż termin?

– Baronówna na naznaczony się zgadza.

– Doskonale! jak to, bezwarunkowo?

– To jest z prośbą tylko, aby, jeśli to być może, niezbyt się spieszyć, gdyż wiele rzeczy niezbędnych jeszcze nie dokończonych.

– Ale najniezbędniejsze to wesele, póki ja żyję, bo potem za nic nie ręczę. Znam dobrze Lolę – dodał stary – wychowywała się pod moim okiem, będzie umiała zastosować się do konieczności, do położenia, to pewna, jest dobra, ma wielkie przymioty, lecz boję się fantazyjek w jej głowie.

Roman uśmiechnął się.

– Czego się ty śmiejesz? – spytał stryj.

– Bo stryj jak zawsze ma słuszość. Zdaje mi się, że byłem już świadkiem jednej fantazyjki.

– A? cóż takiego? co to takiego? – podchwycił ciekawie stary – mów mi, a jasno!

– Właśnie w czasie mojego tam pobytu przyjechał jakiś synowiec pani Nieczujskiej.

– Gdzie? skąd? co za jeden? nigdy o nim nie słyszałem.

– A bo i ona go nie знаła i nie wiedziała o nim, śmieszny młody człowiek, rodzaj demagoga, podobno właściciel garbarni w Poznańskim. Prosty człowiek, dziwnie prosty. Proszę kochanego stryja, zaproszono go do salonu, po-

¹⁴⁴ *il est parfait!* (fr.) - Jest wspaniały!

dała mu rękę do stołu i słowo daje, tak była dla niego, jakby dla człowieka naszego świata. Dała mu pleść, co chciał... to mnie oburzyło.

– Zmiłuj się, przecie krewny, to prosta grzeczność, nie bądźże zawczasu zazdrosnym – odezwał się stary po cichu – zazdrość jest rzeczą śmieszną, bardzo śmieszną. Muszę cię przestrzec, nigdy ona na nic się nie przydała, często jeszcze przeciwne wywiera skutki, a człowieka czyni pośmiewiskiem. Skandalu popełnić żonie nie powinien mąż dozwolić, ale proszę cię, małe słabostki... trochę zalotności i chęci podobania się, czasem i coś więcej dla świętego spokoju ścierpieć potrzeba i patrzeć przez palce. W tym świecie, w którym ci żyć przeznaczono, mój Romanie, galanteria jest rzeczą przyjętą, dozwoloną, niemal nieuchronną.

Roman spuścił oczy słuchając tych nauk.

– Ale ja wyrzucałbym sobie – podchwycił – gdybym się do tego stopnia poniżył, żebym o takiego tam jakiegoś jegomości miał być zazdrosnym. Tylko mnie ta zbytńia poufałość, której Lola dopuściła, raziła. Zdawała się w dziwacznej jego rozmowie znajdować przyjemność.

– Prosta grzeczność. Długo on tam zabawi? – zapytał stryj.

– Nie wiem, sędzę, że ledwie parę dni. *Il est assommant*¹⁴⁵.

– Jak wygląda?

– Czerstwy i zdrowy, przystojny parobek.

– Nieokrzęsany?

– Niby jakiejś pedanckiej instrukcji trochę tam widać – rzekł Roman – ale widać głowę przewróconą, demokratyczne zasady... Prawił od rzeczy.

– Jak to? tak otwarcie?

– O! wcale się nie żenował!

Stary hrabia ruszył ramionami.

– Bończa się też tam do domu pod jakimś pozorem wkręcił!

– O! – ręką machając odezwał się hrabia Filip – o tego obawy nie mam. Znają go nadto wszędzie. Zawsze jednak to napływanie przypadkowe młodzieży nie jest dobre. Należy ślub przyspieszyć.

Westchnął.

– Gdybym żył – dodał – byłbym za tym, ażebyście, wedle zwyczaju, puścili się zaraz w podróż. Jest to najlepszy sposób zbliżenia się, poznajomienia, połamania pierwszych lodów.

Hrabia, który nie śmiał wprzódy powtórzyć warunków, jakie mu narzuciła panna, nie chcąc stryja martwić nimi, począł się namyślać, czyby dla porady teraz wszystkiego wyznać nie wypadało.

– Co ty się tam zamyślasz! – przerwał hrabia Filip, którego oka żaden ruch i najmniejsza zmiana fizjognomii synowca nie uchodziła. – Mów... co myślisz? Ja potrzebuję wiedzieć wszystko.

– Przyznam się – nieśmiało rzekł Roman – że z pierwszej mojej bytności i rozmowy z panną niezupełną zdałem stryjowi sprawę. Jużciż nie mogę zaprzeczyć, że mnie przyjęto dobrze. W podobnym położeniu trudno było wymagać więcej, ale baronówna dosyć surowe nałożyła warunki.

– No! to coś nowego! warunki? jakie?

¹⁴⁵ *Il est assommant* (fr.) - Jest nudny

Zawahał się synowiec, lecz już trzeba się było spowiadać szczerze. Jął więc dobrze zapamiętaną rozmowę powtarzać wiernie, a stryj, którego czoło się parę razy zmarszczyło, słuchał z uwagą nateżoną.

Gdy skończył, poruszył tylko głową.

– To są dzieciństwa – odezwał się – naturalnie będziesz musiał *faire sa conquete*¹⁴⁶, ale gdybyś też, mając w pomoc kontrakt ślubny, nie potrafił tych ceregieli wprędce zakończyć, to by było śmiesznym. Przed ślubem się zgadza na wszystko, to zwyczaj, a potem... okoliczności, wypadki, charaktery... Nie ma się czego obawiać. No, ale za drugim razem miłszą była? co? – zapytał w końcu.

– Nie mogę tego powiedzieć, była tak prawie jak za pierwszym.

– Trochę uparta... ale to przejdzie – rzekł stryj – *l'essentiel*¹⁴⁷, abyście ślub wzięli. Tu co do form zachodzi pewna trudność. Jest we zwyczaju, że w domu panny młodej ślub się odbywa, choć ona sama nie może przyjeżdżać do narzeczonego, na to godność kobieca nie pozwala. Byłbym za ślubem w Gromach... ale jakże ja tam dojadę? A jeśli mnie nie będzie, to któż? Ciocia Nieczujaska... Byłoby w tym coś nieforemnego. Sprowadzać zaś baronównę tu, choć to dom opiekuna, także jakoś trudno...

– Prawdziwie nie wiem, jak z tego wyjdziemy – rzekł Roman.

– Ja ci powiem, jak – odezwał się stary hrabia, spoglądając machinalnie na nogi swe kołdrą obwinięte. – Puchlina odchodzi, czas jest ciepły, doktor Pęklewski, choć się sprzecza i straszy, nie sprzeciwia się zasadniczo podróży, pojedę.

– A jeśli to zaszkodzi?

– Na wszystko byłem i jestem przygotowanym – odparł hrabia – to życie przyjmuję jak darowiznę, bom się nie spodziewał przeciągnąć je tak długo. Cóż mi może być? puchlina podstąpi do góry? ba! ale ona i w Pruhowie toż samo w każdej chwili uczynić może. Pojadę.

Roman chciał protestować, hrabia dał mu znak, aby zamilkł. Zawołano zawsze w pogotowiu będącego Pęklewskiego.

– Kochany doktorze – odezwał się stary – jest to tedy rzecz postanowiona, że ja na ślub jadę do Gromów.

– Jak to może być! – ofuknął Pęklewski.

– Pozwoliłeś przecie.

– Ja? ja? ale nawet w najgorszym razie konieczności protestowałem...

– Nic mi się nie stanie, pojedziesz ze mną. Muszę na ślubie być.

Zamilkł Pęklewski.

– To twoja rzecz, ty, co cudów dokazujesz, abym za dni dziesięć był w stanie podróż tę przebyć, a co będzie potem, zobaczymy.

– Panie hrabio – zawołał Pęklewski – to prawie niepodobieństwo... a zawsze niebezpieczeństwo!

– Ty wiesz, że ja, co chcę, to muszę spełnić – dodał hrabia. – Gotuj się do tego.

Doktor w milczeniu skłonił głowę, nie chciał się sprzeciwiać, a nie śmiał wyznać, że za dziesięć dni życia, pomimo polepszenia nawet, ręczyć nie mógł.

¹⁴⁶ *f a i r e s a c o n q u e t e* (fr.) - zdobyć ją

¹⁴⁷ *e s s e n t i e l* (fr.) - najważniejsze

Hrabia z darowanych mu chwil, w których od cierpień gwałtownych był wolnym, jak najspieszniej korzystał. Nie tracąc czasu i widząc, że Romana samego posyłać na razie nie na wiele się przydało, tegoż dnia list wyprawił do pupili. Zdobył się nawet na napisanie go własnoręcznie, aby mógł czulej i goręcej do serca jej przemówić. Z południa ruszył posłaniec. Romana wysłał hrabia do miasta dla różnych drobnych sprawunków, o których z największą dokładnością pamiętał.

Tymczasem w Gromach działy się rzeczy zupełnie niespodziewane. W pierwszych chwilach po przybyciu synowca kapitanowa nie miała ani czasu, ani sposobności rozmówić się z nim o domu, o Loli, o położeniu, w jakim ją zastał. Dopiero po obiedzie, z cygarem wyszedłszy do stryjenki i puściwszy się z nią do gospodarstwa, obszerniej o wszystkim rozgadał się i rozpytał.

Opowiadanie o losach Loli, opiekunie, wychowaniu i zamierzonym ślubie nadzwyczaj pana Adolfa zajęło. Ruszał ramionami i wykrzykiwał zdumiony. Godzili się na to doskonale z kapitanową, że to do niczego nie było podobne.

– Ale to lalka! – zawołał Nieczujski – to nie jest człowiek! Jakże można poświęcić mu tę kobietę...

– Jakiż na to ratunek – podchwyciła kapitanowa. – Ona się przecie na to sama zgadza.

– Bo musi – rzekł Adolf – ale to niesłychana tyrania! Sama stryjenka powiada, że go wcale nie zna, że dla niego nie ma najmniejszego przywiązania.

– Skądże się ono miało wzięść, kiedy ją dwa czy trzy razy widział w życiu.

– Śmiałym się prawdziwie – mówił pan Adolf – gdyby to nie było rzeczą w świecie najsmutniejszą. Co za przyszłość z takim elegancikiem pedancko do nicości swej przywiązanym? Nie znam baronówny, ale mi się zdaje lepszego losu warta.

– Ja ją znam i jeszcze więcej nad tym boleję, bo wiem, że ona z nim nie-szczęśliwą być musi. Żyjąc tu, miałam wiele zřeczności słyseć o Romanie, widywać go, jest to stworzenie zimne, zwichnięte w powiciu i ani sobie, ani nikomu szczęścia zapewnić nie mogące.

– Więc tym bardziej przeszkodzić temu, zapobiec jest obowiązkiem.

– Ależ któż to może uczynić?

– Baronówna, oprzeć się, przeciągnąć może...

– Zdaje mi się, że tego uczynić nie zechce, wiele w istocie winna opiekunowi, widzi w tym wolę ojca.

Nieczujski ramionami ruszył.

– Żal mi kobiety, która by szczęśliwą być mogła i rozwinąć się była w stanie na istotę pożyteczną. W tym świecie, w który on ją wprowadzi, umrze zaduszona lub zepsuć się musi.

Kapitanowej łzy się zakrećiły w oczach, które prędko otarła.

– Co nam tam do tego — rzekła — jam tu na łasce, mnie się nikt o nic nie spyta, milczeć muszę...

Zamyślił się pan Adolf.

– Wie stryjenka co – rzekł – proszę niby bez mojej wiedzy zaintrygować trochę, abym ja tu mógł dłużej pozostać. W życiu nie widzieliśmy się, nie będzie nic dziwnego, gdy kilka dni zabawię.

– A cóż to pomoże?

– Kto to wie! – zawołał pan Adolf – do dobrego uczynku czasem się Opatrzność przykłada... Niepodobna, by na baronównie rzucone rozsądne słowo nie uczyniło wrażenia, ufam w to.

Kapitanowa najmniejszego, prawdę rzekłszy, nie miała zaufania we wpływ synowca, który się jej dziwnie zarozumiałym wydawał, ale chłopiec przypadł jej do serca, rada go była dłużej zatrzymać.

– Co się tyczy pozwolenia zabawienia dłużej w Gromach – odezwała się – to mi będzie bardzo wyrobić łatwo. Zostaniesz tydzień i dwa, jeśli zechcesz.

– No więc zobaczymy – rozśmiał się Nieczujski całując ją w rękę. – Nigdy się nie spodziewałem w tej mojej podróży znaleźć stryjenkę i ratować od napaści jakąś daleką kuzynkę, o której wyobrażenia nie miałem. Będzie to dla mnie miłym wspomnieniem błędnego rycerza stojącego w obronie niewinności.

Wesoły chłopak śmiać się zaczął.

Tegoż wieczora kapitanowa umiała tak jakoś naprowadzić na wyjazd rozmowę, że Lola zmuszoną niemal była prosić pana Adolfa, aby dłużej tu wypoczął, co by mu dało zręczność lepiej poznać kraj i okolice.

– Chętnie bym był posłusznym rozkazom pani – odezwał się Nieczujski – ale się niezmiernie boję być natrętnym zawalidrogą. Stryjenka mi coś nadmieniła o bliskim weselu... tyle przygotowań... gość naówczas nie w porę.

Lola zarumieniła się mocno.

– My nie mamy nic tak bardzo do przygotowania – rzekła wzdychając. – Mój opiekun jest mocno chory, nie wiadomo jeszcze, kiedy i jak ten projekt przyjdzie do skutku...

Herma siedząca z boku wtrąciła:

– Ponieważ pan jesteś krewnym i jak domowym, mogę dopowiedzieć to, czego by Lolka nie śmiała, że to projekt wcale nie do rzeczy i że najlepiej by było, żeby się rozchwiał.

Nieczujski popatrzał na Lolę, która spuściła oczy i nie zaprzeczyła.

– Możemy mówić otwarcie – paplała Herma – przecież pan Nieczujski nas nie wyda z sekretu. Gdyby Lola nie miała wstępu i obawy, ja bym nie powiedziała, ażeby to złe było małżeństwo, i nic bym nie miała przeciw Romanowi. Jak na męża w sam raz. Pozycja socjalna, majątek, tytuł i wychowanie. Nie wygląda poczwarnie. Czegóż można żądać więcej? Ja bym za niego poszła! Ale Lola go nie zna i nie chce. Takie małżeństwo z musu... pfe!

– Ja o tym najmniejszego prawa nie mam sądzić – odezwał się Nieczujski. – Pierwszy raz w życiu widziałem hrabiego... a jeśli mam być zupełnie szczerym, prędzej pojmuję obawę baronówny niż uznanie, jakim go pani obdarza. Po cóż za niego iść?

Lola milczała długo.

– Przykra to rozmowa – rzekła po namyśle – lecz gdyśmy ją rozpoczęli, trzeba ją dokończyć, nie zostawiając nic w tajemnicy. Mój ojciec odumarał mnie sierotą, doświadczyłam najczulszej opieki hrabiego nad sobą, winnam mu wdzięczność, muszę się do jego woli zastosować. Woła ojca było, ażebym mu była posłuszną. Hrabia Filip jest umierający...

– Przepraszam panią – odezwał się Nieczujski – są to pobudki do poświęcenia się bardzo szlachetne, lecz tak zupełne oddanie się na ofiarę, całego życia, przyszłości, szczęścia, jest może za wielkim poświęceniem. Ojciec nie byłby tego po pani wymagał, a ów opiekun, gdybyś pani chciała tylko oprzeć się, jeśli ma dla niej przywiązanie istotne, nie mógłby zmuszać.

– Dałam słowo! – prawie obojętnie rzekła Lola – ofiara jest tak, jak spełniona.

Ten wstęp poprzedził żywszą dalszą rozmowę. Herma, która jednego dnia umiała nienawidzić, brzydzić się i zapalać dla ludzi nieznanym, której Nieczujski wydawał się ohydny parafianinem, teraz znajdowała go bardzo znośnym, bo się jej zdało, że on tu do czegoś przydać się może i nawiązać jakąś intrygę. Pasjami lubiła intryżki i mataniny. Na myśl jej zaraz przyszedł Bończa, splatanie figła Romankowi i krętanina, jaką to wywołać mogło.

Jako jedyny środek podawała zwłokę. Gdy list nadszedł z Prułowa, nie czyniono z niego tajemnicy. Ciocia, odkradłszy go, przybiegła z nim do oficyny do synowca.

– Na, masz – zawołała – czytaj i radź, co ma odpisać...

Pan Adolf długo dosyć list studiował.

– Wiesz stryjenko co – rzekł – kto zyskuje na czasie, może się spodziewać zawsze, że się uratuje. Dziesięć dni to nic, trzeba koniecznie wymóc zwłokę najmniej dwudziestodniową... trzy tygodnie! Któż wie! potem się da może uzyskać jeszcze parę tygodni. Ażeby staremu osłodzić to wymaganie, baronówna może dozwolić, by synowiec bywał często i lepiej się dał poznać. Będzie ją nudził, to prawda, ale albo się z nim oswoi, lub mu to z głowy wybije. Niech ma odwagę prosić o trzy tygodnie, a kto wie... jakaś rada znaleźć się może.

Pokiwawszy głową kapitanowa pobiegła do Loli, powtarzając jej słowa Adolfa. Baronówna się wahała, płakała. Herma zaczęła fukać, błagać, ciocia prosić. Koniec końcem odpisała, żądając nieodmiennie trzech tygodni i prosząc, by w ciągu tego czasu hrabia Roman częściej bywał.

O wyraźne to żądanie spór był długi, Lola się opierała – przystała wreszcie, chcąc odmowę opiekunowi osłodzić. Z wielką radością wszystkich list został odprowadzony.

– No a teraz – zawołała ciocia – niech pokój przygotowują dla hrabiego, bo najdalej jutro tylko co go nie widać.

Chciała pani Grzegorska, znudzona tym życiem, odjechać, lecz Lola padła przed nią na kolana. Herma, rozplakawszy się, została.

Nieczujski siedział w oficynie, czytał, cygaro palił, odbywał długie przechadzki, a w godzinach przyjęcia na obiady i wieczory przychodził do pałacu. Z jego gburowatością pozorną nawet Herma potrafiła się obyć i oswoić. Lola z mocy pokrewieństwa co dzień była poufalszą. Pan Adolf widocznie zbliżenia się zbytniego unikał, następnych dni stał się daleko ostrożniejszym i baczniejszym w rozmowach i pokazywał się jak najmniej. Znajdowano to dziwactwem.

W poselstwie wyprawiona kapitanowa zaniósł mu grzeczne wymówki.

– Bardzo baronównie jestem wdzięczny – rzekł Adolf – ale przyznam się stryjenko, że nie chciałbym się zbytnio narzucać. Jakkolwiek nie jestem młokos i umiem panować nad sobą, po co się mam narażać, żeby mi Lola lub ten trzpiot Herma zawróciła głowę, której do czego innego potrzebuje.

Nieczujka aż się przeżegnała ze strachu.

– Gdzież? co ci się śni! ty masz nadto rozumu, a od niej do nas zbyt daleko.

– Ale diabeł nie śpi! – zawołał śmiejąc się Adolf. – Prawda, że ona baronówna, a ja ledwie szlachcic i do tego fabrykant, ale po co za nią potem mam wzdychać.

– Cóż znowu? przecież się nie zakochasz?

– No a gdyby? – przerwał Adolf – po cóż się narażać na to?

Spoważniała Nieczujńska.

– Niechże Bóg uchowa – rzekła – abyś, ją z ognia wyciągając, miał się poparzyć, ale mnie to do głowy nie przyszło.

– Więc niech stryjenka im powie, że ja ich, prostak, zabawić nie mogę... że mam trochę zajęcia, że nie chcę się naprzykrzać, a kto wie, tak jak dziś rzeczy stoją, już bym sobie mógł i jechać.

– O! co to, to nie – zaprzeczyła stryjenka. – Wiem, że cię nie puszcza.

Przy wieczerzy tegoż dnia Lola zapowiedziała, aby kuzynek ani się myślał wybierać.

– Bardzo bym był szczęśliwy, żebym się tu na co mógł pani przydać, i jeśli moja służba potrzebna, pozostanę – odezwał się Nieczujski – ale przyznam się pani, że zacznym tęsknić do domu.

– Kogo żeś tam pan zostawił? – zapytała Lola.

– Fabrykę – rzekł Adolf – jest to istota zazdrosna, która wymaga, by na nią patrzeć ciągle.

– Ale poczeka cierpliwie na powrót jego i nic się jej nie stanie. Ja czuję się jakoś bezpieczniejszą przy panu i proszę go, abyś się nie oddalał.

Skłonił się Nieczujski. Pomimo że baronówna co dzień widocznie dlań była miłsza i poufalsza, zachował się z pewnym uszanowaniem i bacznością na boku, nie dopuszczając zbytniego zbliżenia.

Wyglądał nieco dziko, chwilami tylko, gdy się zapomniał, rozgadał, ożywił, obie panie godziły się na to, że jego towarzystwo miłsze było daleko od wszystkich Bończów i Romanów wyperfumowanych i strojnych, którzy jeśli pobudzali, to chyba do ziewania.

Herma się nawet zupełnie pogodziła z prostakiem, znajdując, że wcale był przyjemnym, gdy sobie pracę tę chciał zadać.

Bończa, któremu się dość nieszczęśliwie powiodło w Gromach, w kilka dni potem na kawalerskim wieczorku po polowaniu u siebie, po dobrej wieczerzy, gdy mu się język rozwiązał, wyspowiadał się ze swego niepowodzenia i obszernie rozgadał o baronównie, o jej domu, o Romanie, o jego ożenieniu, wyrażając to życzenie, że młodzież jednak nie powinna by dopuścić, aby jej najposażniejszą pannę w okolicy tak bez walki nawet sprzed nosa sprzątnięto.

Było to ze wszech miar niepolitycznym, gdyż zamiast sam korzystać z pozostałego czasu, drugich współzawodnictwo wyzywał, ale w dobrym humorze nie zawsze się liczy i mierzy, co się mówi. Zły był też na Romana tak, że wołałby wszelkiego innego widzieć na jego miejscu. Młodzież zgromadzona słuchała go z natężoną ciekawością.

– To wstyd i hańba! – zawołał w końcu – ażeby nam baronównę wziął taki pan hrabia, nie starając się nawet o nią, wprost z łaski Bożej, żebyśmy nawet nie popróbowali szczęścia, żeby młodzież w obronie swych praw nie stanęła, panowie!

Przykłaśnięto mówcy.

– Ja nie mam sobie do wyrzucenia, żebym mimo przeciwnych okoliczności chociaż nie próbował szczęścia. Prawda, że mi się nie bardzo powiodło, ale się poświęciłem na pierwszy ogień. Czemu by i inni nie mieli tam sił próbować w szlachetnym zawodzie ubiegania się o serce i rękę dziedziczki Gromów? Stary hrabia zapanował nad nią prawem kaduka. Ja, czy mi się powiedzie, czy nie, nie ustępuję, a w dowód, że szanuję swobodę niewiasty i prawa młodzieży, wzywam panów tu przytomnych, by szli także w zapasy. Mijam, że panna bardzo ładna i pięknie wychowana, ale i klucz coś wart, i niedorzeczny pałacyk gotycki dałby się przerobić na znośny *cottage*¹⁴⁸ angielski.

Młodzież ochoczo i hucznie przyklaskiwała.

– A tak – wołali podweseleni – powinniśmy wszyscy na przekorę temu mopolowi, który sobie nadali Zebrzydowscy, starać się o pannę.

– Dobrze to mówić – odparł jeden – nikomu na ochocie nie zbywa, ale jakimże sposobem dostać się do tego zaczarowanego w Gromach zamczyska? Już ciż niepodobna zajechać tak nieznanomemu i przedstawić się pannie.

– Moi panowie! – zawołał gospodarz – kto zechce, temu na środkach pewnie zbywać nie będzie. Trzeba tylko silnej woli i mocnego postanowienia. Mamże ja wam dyktować postępowanie? Cóż to, czy braknie stryjasków, ojców, a choćby i dziaduniów, co znali pana barona Wilmshofena i z tytułu tego mogą do jego córki przybyć, prezentując jej swych synowców, synów i wnuków? Niech hrabia Roman i pan Filip nie wyobraża sobie, że jemu tylko przysługuje prawo otwierania drzwi dziedziczki. Do głowy po rozum, panowie, ale niechże Zebrzydowscy nam jej bez walki nie zabiorą!

– Słowo honoru, ma słuszość, ma słuszość! – odezwano się ze wszystkich stron.

Nazajutrz po wieczery Bończa, gdy sobie przypomniał wczorajszą mowę swoją, która niezmiernie na sąsiadach uczyniła wrażenie, sam sobie wyrzucał poniekąd tę niezręczność, ale już było po czasie. Młodzież się rozjechała do domów, przemyślając, jak się dostać do Gromów. Uda się, nie uda, myślano sobie, spróbować się godzi, a choćby krwi tym panom napsuć.

Nastąpiły więc w łonie licznych rodzin mających młodych panów na wydaniu narady bardzo poważne nad sposobami dostania się do baronówny.

Postanowiono spieszyć się, nie wiedząc, że panna wyprosiła sobie przedłużenie ostatnich dni swobody do trzech tygodni. Okolice była dosyć obfita w kawalerów, począwszy od hrabiów, których było dwóch, i baronów, których liczono trzech. Reszta, dobra, stara szlachta, pisała się „von” i utrzymywała, że tyle co i pierwsi była warta.

Pierwszym z hrabiów był Nepomucen hrabia Dambski; ojciec jego, niegdyś wysoki urzędnik, był w istocie w ścisłych stosunkach z nieboszczykiem baronem, ojcem Loli, większą część roku mieszkał on w Wiedniu, majątek zdawszy na syna. Był to Galicjanin, wiedeńczyk, osobny rodzaj pana galicyjskiego, który nie mógł żyć bez dworu, bez plotek wiedeńskiego bruku, bez Dauma¹⁴⁹, Volksgartenu¹⁵⁰, teatru i wszystkiego, co się składa na rozkosze

¹⁴⁸ c o t t a g e (ang.) - wiejski domek

¹⁴⁹ D a u m - kawiarnia Dauma w Wiedniu znajdowała się przy Kohlmarkt
9

naddunajskiej stolicy. Stary już hrabia Dambski grał jeszcze rolę młodą i o życiu jego wdowim na ucho rozprowadano sobie historie różne, niezbyt budujące. Potrzebował od syna pieniędzy wiele, ale trwonił je w sposób najprzyjemniejszy. Życie wiedeńskie w ogóle kosztuje wiele, a wieczorne partyjki u Sachera¹⁵¹ są drogie.

Hrabia Dambski nosił tytuł szambelana, a choć w czynnej służbie nie był, i to go do wielu kosztownych często wystąpień urzędowych obowiązywało.

Syn hrabiego, który zrazu próbował kariery wojskowej, a w tej mu się nie powiodło, potem niby dyplomatycznej, w której nie był szczęśliwszym, na ostatek zamieszkał na wsi, gdzie się nudził, ale tu tylko spodziewał się ożenić bogato i tym interesa swe poprawić. Ojciec i syn byli ludźmi pięknego wychowania i najmilszej powierzchowności. Szambelan wydawał się prawie młodszym od syna, którego owe próby życia niezmiernie na ciele i zdrowiu zrujnowały.

Hrabia Nepomucen, słuszny, twarzy przystojnej, chudy, suchy, blady, nieco kaszlący, miał rysy arystokratyczne, dziwnej regularności linii, lecz nic nie mówiące. Patrząc nań z dala, można go było wziąć za genialnego człowieka, tak twarz zdawała się mówić wiele, w istocie wyżyty, zimny, zadziwiał przy bliższym poznaniu nicością swą i komunałami, jakie prawil. Ale był najlepszego w świecie tonu. Wadą i nałogiem, którego się pozbyć nie mógł, bo ten pewnie ze stanu zdrowia pochodzić musiał, było nieustanne ziewanie. Spazmatyczne to rozdrażnienie napadało go często w sposób tak utrapiony, że wychodzić musiał z pokoju.

Zresztą był to bardzo miły i nikomu nie szkodzący człowiek, oprócz że się uważał za jednego z najpiękniej urodzonych panów w całej prowincji i mało kogo uznawał sobie równym. Zwykł był mawiać o Dambskich jako o stojących na równi z Lubomirskimi i Potockimi¹⁵². Śmiano się z tego, ale on nie widział tego i znać nie chciał.

Hrabia Nepomucen był jednym z pierwszych, którzy, korzystając z podanej przez Bończę myśli, wybrali się do Gromów. Stosunki ojca, który się właśnie na wsi przypadkowo znajdował, ułatwiały mu wniknięcie do tego domu.

Drugim hrabią gotowym również do próbowania szczęścia był Ildefons Bramański. Tytuł jego, już po r. 1772 otrzymany na drodze legalnej od rządu austriackiego za służbę dziada, który w pierwszych latach po zakordowaniu Galicji bardzo czynnie występował, był świeży, ale niezaprzeczony. Matka pana Ildefonsa, żyjąca jeszcze hrabina z Mauldorfów Bramańska, była w wielkiej przyjaźni z baronową Wilmszofen, mógł więc pan Ildefons towarzyszyć jej w wycieczce do Gromów dla poznania córki nieodżałowanej przyjaciółki. Bramańscy wcale bogaci nie byli, szło im w interesach bardzo źle nawet, jak mówiono, żyło się w wiecznej walce z tym tytułem, który zobowiązywał do trzymania się na pewnej stopie, a tej wydołać nie było podobna.

Hrabia Ildefons, krótko posłużwszy w wojsku, gospodarował teraz przy matce, żywiąc nadzieję, że go ożenienie na nogi postawi. Był to młodzieniec

¹⁵⁰ V o l k s g a r t e n - założony w latach 1821 - 1823 park w Wiedniu, licznie uczęszczany

¹⁵¹ S a c h e r - istniejąca do dziś duża kawiarnia usytuowana w pobliżu Opery Wiedeńskiej, przy Operngasse 8

¹⁵² L u b o m i r s c y , P o t o c c y - wielkie polskie rody magnackie

za wcześniej wyłysiały, ale rumiany i otyły, dosyć milczący, o którym nic charakterystycznego powiedzieć nie było można. Miał tyle talentu w postępowaniu, że nigdy fałszywego kroku nie zrobił, ale też i stanowczego a szczęśliwego dotąd nie udało mu się postawić. Przypisywano to zbytnej ostrożności i obrachowaniu, które często było przesadzenie baczne, bojaźliwe i odejmowało potrzebną energię do znalezienia sobie drogi na świecie.

Matka, przywiązana czule do syna, dobra kobiecina, niezmierną wagę przypisująca swemu tytułowi, żyła w nim i dla niego tylko, całe dni szyła coś na kanwie¹⁵³ i zamyślona wzdychała. Gdy z powrotem od Bończy podszepnął jej syn o Gromach, zerwała się przejęta całą tą myślą szczęśliwą i byłaby może syna tegoż dnia zawiozła, gdyby ostrożny hrabia Ildefons nie objawił jej, że przody należy wszystko jak najpilniej obrachować i obmyśleć.

Wierząc w syna, zdała na niego naznaczenie czasu, a sama wybierała się, tylko troszcząc o to, jak ma wystąpić.

Do tych dwóch hrabiów dodać należy trzech baronów mniej więcej uprawnionych do noszenia tego tytułu. Dawano go im po miasteczkach i nie widzieli przyczyny, dla której by jako szlachcice mieli go odrzucać, gdyż, jak wiadomo, każdy u nas *nobilis*¹⁵⁴ był sobie w najpełniejszym wyrazu tego znaczenia *lieber Baron*¹⁵⁵.

Pierwszy baron, Modest Podzamski, do imienia familijnego dodający dla powagi nazwę herbu „Leliwa”, pisał się Leliwa-Podzamski. Nazwisko nawet często się absentowało¹⁵⁶, a pięknie brzmiące herbowne zawołanie zostawało samo. Baron Modest był niesłychanie czynnym i zapobiegliwym człowiekiem, charakteru gorącego, temperamentu zapalczego. Przerzucał się w życiu na niższe drogi, szukał szczęścia po wszystkich kątach i może dlatego, że za nim tak zapalczywie gonił, nigdzie go znaleźć nie mógł. Leliwa miał stryja, którego użyć do wprowadzenia do domu baronówny zamierzał. Stryj był świadkiem podpisanym na testamencie barona Wilmshofena. Stryj ten był sobie człowiek dobry, szlachcic siedzący w kącie swym, grający chętnie w wista¹⁵⁷, gdy partyjka się trafiła. Bogu ducha zresztą winien i mocno niecierpliwiący się na synowca, który go swą ruchawością do rozpaczki przyprowadzał. Nie było w okolicy czynniejszego próżniaka nad pana Modesta Leliwę. Rzadki dzień przesiedział w domu, musiał być wszędzie, nie mógł najmniejszej zrzeczności wścibienia się gdzieś pominąć. Musiał być na każdym jarmarku, odpuszcie, imieninach, balu, wyścigach. Patrząc nań, zdawać się mogło, iż od tego życie jego i przyszłość zawisły; wyjeżdżał często przede dniem z domu, zameczał konie, aby stanąć w miejscu na czas i z cygarem w ustach wyjść na rynek, i nic nie robić. Żaden pojedynek, zjazd obyć się bez niego nie mogły, ofiarował swe posługi każdemu, rwał się do robót najrozmaitszych i mimo najlepszych chęci na pojednaniach wychodził z guzem, a na spekulacjach ze stratą. Dodajmy do tego, iż grać lubił namiętnie, i może to go tak gnało, gdziekolwiek

¹⁵³ k a n w a (fr.) - sztywna tkanina siatkowa z grubych nici, używana jako podkład do wyszywania i robót włóczkowych

¹⁵⁴ n o b i l i s (łac.) - szlachta

¹⁵⁵ l i e b e r B a r o n (niem.) - sobie pan, od nikogo niezależny

¹⁵⁶ a b s e n t o w a ć s i ę (łac.) - być nieobecny, nie występować

¹⁵⁷ w i s t (ang.) - gra w karty, w której biorą udział cztery osoby grające pełną talią kart

się ludzie zbierali i gdzie karty mogły być w robocie. Przegrywał prawie zawsze, chociaż grał doskonale i z wielkimi obrachowaniami. Baron Modest był przystojnym mężczyzną, ale do kobiet równie miał mało szczęścia jak w kartach.

Drugim baronem był Rębaczewski, mimo nazwiska swego najspokojniejszy człowiek w świecie, wielki miłośnik ogrodu i natury. Lubił on w ogóle wszystko, co było pięknym, choć smak często mu dziwne figle wyrządzał. Przyozdabiając swą wiejską siedzibę, trafiał na pomysły, które ją najdziwaczniejszym płodem fantazji uczyniły. Wieś zowiąca się Grochówka wyglądała na coś cudownego, tyle tam było przyozdobień kosztownie i niezręcznie wzniesionych na to, ażeby się ludzie z nich śmieli. Nie zważając na to, Rębaczewski owe cuda natury i sztuki, gotyckie ruiny, kunsztowne pieczary, wodospady bez wody itp. pokazywał chlubiąc się nimi.

Rębaczewskiemu dawno należało się ożenić, miał lat trzydzieści kilka, tył i, co go najbardziej bolało, szczytnych pomysłów swoich nie mógł przy ograniczonych środkach doprowadzić do skutku; wzdychał zawsze i powtarzał: – To, com zrobił w Grochówce, którą wszyscy podziwiają i oglądać przyjeżdżają, jest niczym obok tego, co bym mógł uczynić, gdyby środki były po temu. Dopiero byście zobaczyli... – Rębaczewskiego mogła wprowadzić chyba ciotka wiekująca przy nim, która niegdyś bywała w Gromach, ale ją skłonić do tego niemałą miał trudność. Nie wierzyła ona w to, ażeby siostrzeniec kiedykolwiek się ożenił. – Jemu co innego w głowie – mówiła – żadnej kobiecie przypodobać się nie będzie starał, pójdzie zaraz do ogrodu i zacznie rady dawać, jak go przerabiać. – Rębaczewski postanowił się starać o pannę szczególnie dlatego, iż znajdował się park w Gromach, który mógł nadzwyczaj być wspinałym i zakasować wszystkie inne, gdyby on tylko doń rękę przyłożył. W Grochówce już nie ma co robić, ale tam...

Ostatnim wreszcie z baronów stojących na liście pretendentów był Herman z Pniewa Pniewski, który dwa razy posłował, trzy razy publicznie przemawiał w sprawie propinacyjnej¹⁵⁸ i miał się za męża stanu. Miał on także lat trzydzieści kilka, wyglądał poważnie, chodził zadumany, czytywał niemieckie dzienniki dla zorientowania się i liczył się do głów pewnego obozu, o którego odcieniu i kolorze ani on, ani ci, co go składali, nigdy dokładnego pojęcia dać nie umieli. Jemu majątek był potrzebnym dla odegrania tej roli, do jakiej się czuł przeznaczonym. Z goryczą krytykował on postępowanie swych współtowarzyszów na Sejmie¹⁵⁹ i nie oszczędzał też sfer wyższych. W towarzystwie był to dobry człek, gdy się tylko zapomniał, że dźwigał na sobie misję społeczną. Ze szczególną troskliwością studiował ową kwestię propinacyjną, której znał wszystkie słabe i mocne strony, i umiał prawa szlachty do wyszynku bronić nader zręcznie i wymownie. Lubiano go powszechnie i nazywano „panem Posłem”.

Z pomniejszej szlachty nie wymieniamy tu śmiałków, którzy przedsiębrali wyprawę po złote runo¹⁶⁰. Baron Pniewski nie miał nikogo do wprowadzenia

¹⁵⁸ p r o p i n a c j a (łac.) - prawo wyłącznej produkcji i sprzedaży napojów alkoholowych, które przysługiwało najczęściej szlachcie

¹⁵⁹ S e j m - we Lwowie był Sejm Krajowy jako instytucja autonomiczna

¹⁶⁰ z ł o t e r u n o - wg mitologii greckiej na statku „Argo” wyruszyło pięćdziesięciu bohaterów greckich pod wodzą Jazona. Celem tej podróży było

go na dwór baronówny, ale sądził, że kwestia propinacyjną dostatecznie usprawiedliwiać mogła pierwszą jego w Gromach wizytę. W chwili więc, gdy się tego najmniej spodziewano, oczekując tylko na hrabiego Romana i wyglądając go lada chwila, prawdziwy najazd gotował się w całym sąsiedztwie.

Bończa, który go sam wywołał, a potem się uląkł, znalazł właściwym uprzedzić nieco mieszkańców Gromów i zapobiec temu, by ktoś nań winy nie złożył.

Ufny więc w to, iż się już był zaintrygowany¹⁶¹ do tego domu i że w nim miał znajomą Herkę, wybrał się jednego dnia po południu. Złożyło się to tak właśnie, iż na kwadrans przed jego przybyciem, wysłany przez starego Zembrzydowskiego, przybył hrabia Roman, poprosił o mieszkanie dla siebie i poszedł się przebierać, gdy nic nie wiedzący o nim Bończa zajechał przed ganek.

Baronówna była właśnie z przyjaciółką swą w pokoiku na górze swobodną rozmową zajęta żywo, gdy naprzód ukazał się znany ekwipaż narzeczonego.

– Otóż tedy jest! – zawołała wyglądając przez okno i załamując ręce – oto jest nieunikniony mój przyszły. Mój Boże, Hermo, zadzwoń, co prędzej zadzwoń, będziemy musiały wyjść do niego, gdy dokończy toaletę. Za nic w świecie nie chcę zostać z nim sama, a ty mnie na przekorę w najniebezpieczniejszych opuszczasz chwilach. Trzeba prosić cici Nieczujskiej, aby nam natychmiast na odsiecz przysłała kuzynka. Prawdziwie ja go zrozumieć nie mogę, jestem dla niego grzeczną, uprzedzającą, lubię go, a on, jakby na złość mnie, stroni, unika, kryje się i za każdym razem zapraszać go potrzeba.

– Ja się mu nie dziwię – szepnęła Herma – przyjaźń i poufałość takiej ślicznej istoty jak ty jest niebezpieczna... – uśmiechnęła się Herma.

– A! dajże pokój! niebezpieczna! dla niego... ale to człowiek tak chłodny...

Zaledwie miała czas Lola wysłać rozkazy na dół, aby Nieczujskiego szukano i sprowadzono do salonu, aby go zakłeto na wszystko, żeby się natychmiast stawił, gdy powozik Bończy ukazał się przed gankiem...

– Jest i ktoś drugi! To Bończa! – zawołała Herma wyglądając oknem – ten stanie choćby za Nieczujskiego.

– Ale go nie zastąpi, bo mnie jeszcze gorzej od Romana nudzić będzie – dodała Lola. – Widzę w nim myśliwca goniącego za posagiem... nic więcej.

– A Roman? – Hrabie Romana posyłają, to go nieco w mych oczach uniewinnia. Stryj nim kieruje, kocha się w dyspozycji...

Nie spieszyły się panie wcale z wyjściem do salonu, tak że wprzód, nim Nieczujskiego w pomoc przywołano i nim one zstąpiły z wyżyn na ten padół woskowany, Bończa ujrzał, chodząc po salonie, w otwierających się drzwiach przyjemną postać hrabiego Romana w rękawiczkach paliowych, z kapeluszem pod pachą, na ten dzień uperfumowanego angielskim „Ess – bouquet”.

Woń była dystygowana, przedziwna, użyta tak, aby tylko jej konające westchnienie czuć się dało. Hrabia Roman był wyznawcą tej zasady, iż przyzwoity człowiek winien z sobą przynosić tylko domysł, jakby przecucie zapa-

zdobycie runa złotego baranka z Kolchidy. Przysłowiowy zwrot o złotym runie stosowano do poszukiwaczy bogactw, m. in. do łowców posagu.

¹⁶¹ i n t r o d u k o w a ć (łac.) - wprowadzać

chu, nigdy nie obrażając nim olfaktorycznego¹⁶² nerwu tych, co go wachać mieli szczęście. Perfuma powinna, mawiał, dać nie narzucać się, ale tęsknić za sobą, dać się czuć i ulatniać w tej chwili...

Hrabia Roman który wiedział już o Bończy, wszedł do salonu z powagą człowieka ceniącego swe stanowisko w tym domu, w którym Bończa był prostym intruzem i natrętem.

– Co to za miła niespodzianka – zawołał Bończa – spotkać się tu z wami! Jak się masz, kochany hrabio.

Hrabia kochany tak czule podał końce palców Bończy, ale z twarzy jego wyczytać było można podziwienie, którego słowa wyrazić sobie nie życzył.

– Jeszcze to większa niespodzianka dla mnie – rzekł – bom nie wiedział, że tu tak częstym jesteś gościem.

Bończa schylił mu się do ucha.

– Proszę cię – rzekł – jakież jesteś niedomyślny, ja się od dawna w Hermie kocham.

– A! a! a! – odparł hrabia przyglądając się w zwierciadle i korzystając z czasu, by węzeł chustki poprawić.

Tego dnia miał wetkniętą w krawat jedną ze swych najpiękniejszych śpiłek, prawdziwe arcydzieło jubilerskiego kunsztu. Proszę sobie wystawić z Benvenutowską¹⁶³ sztuką wydłubanego ze szczerego złota dżokeja na koniu wypuszczonym jak na wyścigach i zdającym się na przestrzeniach chustki ścigać ideały. Koń był *en or brun*¹⁶⁴, a dżokej emaliowany *au naturel*¹⁶⁵, w kurtce niebieskiej. Ktokolwiek miał szczęście z bliska oglądać to misterne dzieło, unosił się nad wykonaniem jego mistrzowskim. Hrabia Roman brał rzadko ten klejnot, i to tylko dla okazania go osobom, co ocenić potrafiły ten okaz sztuki, zastosowanej do ludzkiej potrzeby tak skromnie...

Z twarzy hrabiego Romana trudno było odgadnąć, czy uwierzył szepnięciu Bończy lub domyślił się wybiegu. Dalsza rozmowa miała o tym rozstrzygnąć i postępowaniem przybyłego pokierować, gdy tuż drzwi się dosyć gwałtownie rozwarły i powołany Nieczujski wpadł w tym samym ohydny surducie i grubych butach, w których go widziano pierwszym razem, a co dziwniej, z dobrą ową fantazją, z której nic a nic nie utracił. Dwaj goście zwrócili się przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, za jakiego uważali rozgospodarzonego tu tak poufale Nieczujskiego.

Pan Adolf skłonił się grzecznie, ale niezbyt nadskakująco, i zbliżył się do hrabiego Romana, zdając się z pewnym zdziwieniem przypatrywać jego nader smakownemu ubraniu.

– Baronówna bardzo przeprasza – rzekł – kazano mi oznajmić, że zaraz wyjdzie. Te panie były na przechadzce i potrzebują się przebrać podobno.

¹⁶² o l f a k t o r y c z n y (łac. - gr.) - węchowy, dotyczący zmysłu węchowego

¹⁶³ B e n v e n u t o w s k a s z t u k a - mowa o Benvenuto Cellinim (1500 - 1571), złotniku, rzeźbiarzu i rytowniku włoskim, który słynął z wyrobu małych kunsztownych drobiazgów w kształcie postaci ludzkich

¹⁶⁴ e n o r b r u n i (fr.) - maści brązowożłotej

¹⁶⁵ a u n a t u r e l (fr.) - w postaci naturalnej

Nieczujski występujący w roli tłumacza i posła więcej jeszcze zdziwił hrabiego Romana niż Bończa składający swe odwiedziny na miłość dla pani Hermy.

Nie odpowiadając mu hrabia Roman z godnością cofnął się krok w tył.

– Pan tu długo bawi w naszych stronach? – zapytał dość nietrafnie Bończa.

– Ja - rzekł Nieczujski zimno – nie wiem. Ciekawy jestem poznać ten kraj, a gospodyni tak łaskawa, iż mi gościnności nie odmawia, korzystam więc z niej.

– I jakże się panu u nas podoba? – spytał z pewnym uśmieszkiem Bończa.

– Kraj bardzo, co się tyczy, co z niego i z nim tu ludzie robią, trudno mi się wytłumaczyć – rzekł obojętnie Nieczujski.

– Czy pan znajduje, że my tu zacofani jesteśmy? – spytał Bończa.

– Dostyc – krótko odpowiedział Nieczujski – ale to nie całkiem wina panów.

– Szcześnie, że choć nie nasza wina – dodał Bończa po cichu, spoglądając na hrabiego, który nie okazywał jakoś chęci wmieszania się w rozmowę i stał zmuszając swe rękawiczki, aby się kapryśnych fałdzików w niepotrzebnych miejscach wyrzekły.

– Szkoda, że pan zapewne nie będzie miał czasu rozpatrzyć się w okolicy, a przekonałby się pan, iż my nie bardzo tak znowu jesteśmy zacofani. Jakie konie, panie, u nas, jakie konie, jakie charty!

– A! w tym być bardzo może, iż postęp jest wielki, nie przeczę – rzekł Nieczujski nie okazując chęci spierania się.

– Śliczną mamy jesień! – przerwał aforystycznie hrabia Roman patrząc w okno.

– W istocie piękna bardzo! – wtórował Nieczujski.

– Ale my ją możemy przeklinać – rozśmiał się Bończa – gdyby nie piękność jesieni, panie na spacer by nie poszły i nie czekałibyśmy na zjawienie się ich tak długo.

Nieczujski się uśmiechnął.

– Niech panowie darują – rzekł – zesłany tu jestem, aby skrócić tę chwilę oczekiwania, a nikt do tego nie mógł być nade mnie nieudolniejszym. Proszę siadać.

Hrabiego Romana oburzało to do najwyższego stopnia, że się tu ten jakiś prostak śmiał jak szara gęś rządzić. Odwrócił się z niecierpliwością i biorąc krzesło dał uczuć to gwałtownym jego posunięciem, jak był dotknięty.

Bończa spojrzął na rywala i uśmiechając się zrezygnowany usiadł. Nieczujski też zabrał sobie trzecie krzesło i, co było najokropniejszym, nogę na nogę założył.

Widok tych grubych podeszew unoszących się tak nieprzyzwoicie nad posadzką salonu obudził w hrabi Romanie smutne myśli o znikomości rzeczy ludzkich.

– Otóż – rzekł w duchu – do czego doszły salony nasze, po których w lalkach tylko dawniej ważono się stapać... Rewolucyjne zasady! demagogia!

Bończa obu ich miał na oku... gdyby był mógł, podszczyłby był nieco jednego na drugiego, lecz nie wypadało.

– Żeby też go nie odprawić z domu – myślał Roman – i jeszcze mu dawać takie prawa! Baronówna nie ma poczucia godności swej.

Westchnął.

W tej chwili wśród panującej ciszy w dziedzińcu dały się słyszeć klaskania z bata i zwróciły uwagę obu panów. Roman się zarumienił, Bończa pobladł, ktoś nowy zajeżdżał przed ganek.

Kto to mógł być?

Milczenie głębokie panowało w salonie, Roman i Bończa patrzyli na siebie, a Nieczujski na przemiany na nich obu. Wtem szeroko otwarty się drzwi i wtoczyła się naprzód straszliwie wyfiokowana osoba niemłoda, dosyć otyła, z uśmiechem na ustach, z oczyma przymrużonymi, postępująca z wielką powagą, krokiem mierzonym. Szukała ona wzrokiem niespokojnym gospodyni, której nie było. Wszyscy wstali z krzeseł na widok tego zjawiska. Za nią szedł milczący człowiek, młody jeszcze, z piękną łysiną, rumiany, pulchny, w rękawiczkach białych, z kapeluszem pod pachą, we fraku, w ciasnych butach, strojny elegancko, ale bez znakomitego szyku, jaki odznaczał hrabiego Romana. Jego ubiór, mimo na pozór starannie zachowanych form nakazanych przez modę, pachniał małym miasteczkiem. Hrabia rozpoznać mógł zaraz krawca, który o prawdziwej dystynkcji nie miał wyobrażenia, a z krawca sądził człowieka.

Był to hrabia Ildefons Bramański z matką, która znać przygotowana do powitania tej drogiej baronówny, której od dzieciństwa nie widziała, widocznie była zmieszana, znalazłszy się w gronie samych mężczyzn jej nie znanych lub zaledwie znanych z widzenia. Stała, nie wiedząc, co począć z sobą, gdy Nieczujski, czując się w obowiązku zastępowania gospodyni, zbliżył się, zapowiadając rychłe jej przybycie i wskazując miejsce na kanapce. Hrabia witał się tymczasem z Bończą, który miał minę kwaśną i tajemniczą, i z Romanem nasrożonym widocznie w obronie praw swych, na które napaść przeżuwał.

Szczeńciem dla wszystkich drugie drzwi otwarły się natychmiast i piękna Lola, za którą szła figlarna Herma, ukazała się w nich. Hrabina Bramańska powstała natychmiast, obudzając w sobie potrzebne uniesienie, i nie zważając na przytomność świadków, poczęta prędko nagotowane już powitanie:

– Kochana, droga pani! Może nie przypominasz mnie sobie! Przyjaciółka twojej matki jedyna, najszczęśliwsza, Bramańska. Nie mogłam wymóc na sobie, abym nie przybyła zobaczyć, uścisnąć, powitać córkę mej nieodżałowanej Zosi. O mój Boże! jakże ślicznie wyrosła... i jak mi matkę przypomina. Pozwól się uścisnąć... co za chwila! Jakżem szczęśliwa!

Tu zwróciła się do stojącego wyłysiałego syna.

– I niech mi wolno będzie przedstawić ci mojego Ildefonska, którego choć z imienia sobie przypomnisz, boście się dziećmi nieraz bawili i bardzo lubili.

Lola stała ogłuszona tym wyrazów potokiem, dając się ścisnąć i dość zimno coś szepcząc. Hermie oczy świeciły się jak u kotka, który czatuje na zdobycz. Biegała nimi po stojących rzędem Romanie, Bończy i hrabi Ildefonsie. Przywitanie zresztą gościa z hrabią narzeczonym, z panem Bończą musiało być krótkie, bo hrabina nie dawała chwili spoczynku baronównie. Widocznie chciała ją czułością, zajęciem żywym spoufalić i pociągnąć. Palila się jej twarz, bo to niemałego wymagało wysiłku, ale czemuż nie podola miłość matczyńska?

– Droga moja, kochana pani – paplała – niewymownie mnie to cieszy, że cię widzę tak piękną, tak dystygowaną, tak... a! kochałam matkę twą jak siostrę, mogę powiedzieć.

Tu nachyliła się jej do ucha i przerywanym śmieszkiem szeptał niezrozumiałą dokończył wstępna mowę.

Panowie przytomni, nieco opodał się skupiwszy, jedli się oczyma. Hrabia Ildefons, obrachowany i ostrożny, zabawiał się widocznie rozpoznawaniem sytuacji i czytaniem fizjognomii, gdyż oka z panny nie spuszczał.

Bończę bawił się brelokami od zegarka, a najniezwyklejszy hrabia Roman smażył się *dans son jus*¹⁶⁶, nic nie mówiąc. W pewnym oddaleniu od nich Nieczujski wyswobodzony, zabrawszy miejsce u okna, spoglądał na baronównę, której mu widocznie żal było, widząc, jak się męczyła.

Jedna Herma, spektatorka¹⁶⁷ nie interesowana całą sceną, zdawała się zupełnie szczęśliwą, chociaż sznurowała usta i lękała się je otworzyć, aby się nieprzyzwoicie nie roześmiać. Ci trzej pretendenci, wzajem się rozpatrujący w sobie, śmieszyli ją nad wyraz wszelki.

Twarz Loli robiła się coraz smutniejszą i surowszą, ale się to dawało tłumaczyć wspomnieniem matki.

Hrabia Roman, zrazu jak osłupiał postawszy chwilę, z rodzajem heroizmu, rezygnacji i lekceważenia siadł nareście na krzesło, ale w postawie mającej oznaczać wymownie, jak go dojmowało fałszywe położenie.

Siadł, a raczej upadł na to krzesło nieco odwrócony od panny, rękę zarzucając na poręcz niedbale, drugą założywszy za kamizelkę i skrzyżowawszy nogi od niechcenia, ręka zawieszona utrzymywała kapelusz, oczy wlepił w sufit.

Przepyszenie wyglądał, jak do portretu. Bończa niby się uśmiechał do Hermy, choć nie bardzo mu się śmiać chciało, a Ildefons hrabia Bramiński, wyprostowany, obliczał, jak mu się tu znajdować wypadało.

Panna nań wcale nie zwracała uwagi, chociaż matka ją zapewniła, że to był ten Ildefonsik, z którym się tak bardzo lubiła bawić i dla którego taką czuła sympatię.

Położenie wszystkich było nieznośne, towarzystwo z żywiołów nieprzyjaznych złożone w jedną jakąś grupę i całość skleić się nie mogło. Lola była widocznie na mękach.

Ale w dobrze urządzonej domu zawsze się można spodziewać dywersji¹⁶⁸, choćby przez kamerdynera. Zaczęto przygotowywać w drugim pokoju herbatę i zjawiała się jak kometa przelatująca ciocia Nieczujka.

Hrabia Ildefons zdecydował się rozpocząć cichą i skromną rozmowę z Bończę. Na Nieczujskiego nikt naturalnie ani spojrział, co zdawało mu się dogadzać. Swobodny, spokojny patrzył sobie to na ogród, to na Lolę, której oczy kilka razy szukać się go zdawały.

Opuszczony hrabia Roman poczynał się burzyć w sobie, gdy litościwa Herma przysłała mu w pomoc i przysiadła do niego.

– Jakże się ma stryj hrabiego? – odezwała się – sam przyjazd pański zdaje się zapewniać, że lepiej... Lola była o jego zdrowie niespokojną.

¹⁶⁶ *dans son jus* (fr.) - we własnym sosie

¹⁶⁷ *spektator* (łac.) - widz, obserwator

¹⁶⁸ *dywersja* (łac.) - tu: działanie mające na celu odwrócenie uwagi od czegoś

– Tak jest, stryj mój ma się lepiej znacznie – rzekł Roman smutnym głosem ofiary niewinnie poświęconej.

Zniżył głos i po namyśle dodał:

– Z jego rozporządzenia przybyłem tu, gdyż inaczej nigdy bym się tak często nie śmiał naprzykrzać, zwłaszcza że w Gromach, jak widzę, nie zbywa na towarzystwie.

– A! to tylko dziś taki jakiś dzień szczęśliwy – złośliwie poczęła Herma – na dnie powszednie nie mieliśmy nikogo oprócz pana Adolfa Nieczujskiego.

– Widzę, że nie odjechał jeszcze...

– Lola go zatrzymała – mówiła z pewnym naciskiem Herma – to bardzo dobry i miły człowiek, chociaż niepozorny.

– Tak bardzo niepozorny – śmiejąc się dodał Roman.

– Ale mężczyzna bardzo przystojny – podchwyciła Herma – a że troszkę zaniedbuje się, tego mu za złe brać nie można. Bez pretensji...

Roman milczał zacięcie. Herma paplała:

– Wszakże z hrabią Ildefonsem i panem Bończę panowie się znacie?

– A! bardzo dawno i dobrze! – rzekł Roman.

Była to jakby przymówka złośliwa do tego, że nie mówili do siebie. Hrabiego Ildefonsa w istocie trudno teraz było wciągnąć do rozmowy, gdyż cała jego wielce wyteżona uwaga zwrócona była na Lolę i matkę, która go usiłowała zbliżyć do niej i wyzywała coraz słówkiem jakim. Ale nader ostrożny kawaler odpowiadał krótko i zapobiegając wszelkiej kompromitacji, chciał być dla panny widocznie zagadką i tajemnicą.

Troskliwa matka na przemiany cicho i głośno prowadziła rozmowę nieprzerwaną z gospodynią, pochlebając sobie, że ją dowcipem i czułością swą zachwyci, chociaż w istocie do najwyższego stopnia tylko zamięczała. Chciała widocznie zawiązać stosunek poufaly i serdeczny.

– Ty, kochana baronówno, jesteś taka osamotniona, bez stosunków, bo chociaż wielce szacuję hrabiego Filipa, no, ale zawsze to mężczyzna, a kobiecie kobiet potrzeba i kobieta ją tylko zrozumieć potrafi. Nie dziw się, iż z całego serca ofiaruję moją przyjaźń, pomoc sąsiedzka i posługi.

Lola dziękowała; wtem jakoś dano znać, że herbatę podano, i całe towarzystwo przeniosło się do jadalnej salki, do wytwornie dosyć zastawionego stołu, u którego każdy zajął miejsce, jakie chciał i mógł.

Nieczujski ostatni pozostałe zajął na swym końcu. Spoglądano na niego ciekawie, ale niepozorna jego postać nie zastraszała nikogo.

Siedział skromnie, nie odzywał się wcale i trzymał na uboczu, tylko Lola uciekała się doń czasem wzrokiem, jakby przed nim poskarżyć się chciała, uzalić i od niego sił zaczerpnąć do nieznośnej tej komedii życia. Wśród dwóch hrabiów i szanownego Bończy, sztywnych, wymuszonych, obrachowanych, nadętych, Nieczujski korzystnie odbijał męską postawą, otwartą fizjognomią i obliczem jasnym a pełnym męstwa i spokoju.

– Kto to jest ten pan? – zapytała cicho hrabina Loli.

– Daleki mój krewny, z Poznańskiego – odpowiedziała gospodyni.

– Kto to taki ten jegomość? – pytał Bończy hrabia Ildefons półgłosem.

– Jakiś kuzynek z daleka z wizytą przybyły, zapewne po pieniądze pomoc – odparł Bończa.

Hrabiemu Romanowi zawadzał także ten intruz bardzo, ale nie był obowiązany zbliżać się do niego. W ogóle był dosyć osamotniony i łapał kose wejścia wymierzone na siebie.

Przy herbacie rozmowa mniej więcej była powszechną, gospodyni usiłowała w nią wciągnąć Nieczujskiego, który parę razy krótko odpowiedział.

Utrąpane owo posiedzenie skończyło się przecie. W przejściu na powrót do salonu Bończa miał zrzęczość zbliżyć się chwilę do Hermy.

– Nieskończenie jesteście wszyscy zabawni – szepnęła mu figlarka. – Widzę, że pan za wygrane Romanowi dać nie chcesz, a oto i nowy rywal przybywa w hrabi Ildefonsie.

– Niestraszny – odparł Bończa – lecz, co gorzej, jeśli Ildefons miał tę myśl, mogą ją powziąć i inni młodzi ludzie z sąsiedztwa. Będziecie panie miały najazd pretendentów i szturm do serca baronówny.

– A! to będzie nadzwyczaj zajmujące! – zawołała Herma – bardzo bym rada, ażeby się przepowiednia sprawdziła!

– A jakże pani nam wróży? – zapytał Bończa.

– Ja wcale wróżką nie jestem. Lola, dobra, kochana, jest jeszcze dzieckiem, do serca jej zajrzeć bardzo trudno... a kogo wybierze sobie, tego nikt dziś nie odgadnie. Wiesz pan, z mężczyzn kto jej dotąd najmiłszy?

Bończa z niezmierną ciekawością pochylił się, aby tajemnicę usłyszeć.

– Kuzynek Nieczujski! – śmiejąc się dodała Herma.

– Nie może być! – zdumiony odparł Bończa – pani żartujesz!

– Nic a nic, z nim mówić lubi, z nim jest najlepiej.

– Ależ przecie to nam nie grozi! – zawołał kawaler – boć to człowiek nie naszego świata.

Herma ruszyła ramionami.

– Cóż mówi o mnie? – zapytał ciekawy.

– Najgorzej, że wcale o panu nigdy nie wspominała.

– Nie było to najgorzej jeszcze – przerwał Bończa – lecz pani by ją powinna przez łaskę dla mnie wy badać.

– Nie przez łaskę dla pana, ale przez ciekawość zapytywałam ją.

– I cóż? i cóż? – natarczywie badał Bończa.

Roześmiewszy się, Herma na wychodnym już do salonu rzuciła mu w ucho:

– Ciesz się, stoisz na równi z hrabią Romanem!

Po tej zagadkowej odpowiedzi pierzchnęła. Bończa wrócił do salonu mocno zamyślony. Tu prędko nadchodzący wieczór jesienny zmuszał gości do odjazdu; hrabina Bramińska, wylewając ostatki czułości na córkę najlepszej swej przyjaciółki, zabierała się ją pożegnać, hrabia Ildefons obliczał się z sumieniem, czy jakiego nierozważnego nie popełnił kroku – ruszono się z miejsca. Bończa rad nierad wziął za kapelusz także. Tryumfujący ze swojego przywileju hrabia Roman pozostawał, otrzymawszy plac nad nieprzyjacielem cofającym się w porządku, ale z kwaśną miną.

Nie był jednak sam, gdyż zapewne wskutek danego znaku Nieczujski pozostawał w saloniku i wziął się zaraz, przysunawszy krzesło, do przeglądania albumów, jak gdyby one dla zabawy jego na stole rozłożone były. Herma dla zajęcia niespokojnych rączek miała szydełkową robótkę. Lola wyniosła jakąś kanwę rozpoczętą ogromnym deseniem. Wszyscy więc znaleźli sobie zatrud-

nienie, jeden tylko hrabia Roman, zostawiony własnemu przemysłowi, nie bardzo wiedział, co począć.

Jedynym talentem, jaki posiadał młodzieniec, który zresztą był także nieco muzykalnym, ale tu do wysokiego stopnia ćwiczeń swych nie posunął, było rysowanie karykatur. Znano go z tego, a drażliwe postacie lękały się tego niewinnego ołówka przedrzeźniającego je w dosyć pospolity sposób. W istocie karykatura jest pono najłatwiejszą do stworzenia z niewielką umiejętnością i dowcipem. Charakterystyczne rysy przesadzić potrafi nawet nieuk, pochwycić ich wyraz i uwydatnić umie tylko talent prawdziwy. Karykatura może być arcydziełem, ale znośną być może nawet, gdy jest bazgraniną.

Hrabia Roman słyszał ze swych karykatur.

– Powinien pan nam dać próbkę swego talentu – odezwała się Herma – postaramy się o papier i ołówki, rysuj pan nasze karykatury.

Romanowi pochlebiało to uznanie, bo on sam zbytnią nawet wagę przywiązywał do swego talentu, ale przychodziły mu te produkcje z ciężkością i improwizować ich nie umiał.

Skłonił się grzecznie.

– Nie przypisuję sobie tego daru, który mi pani przyznawać raczy – rzekł powoli cedząc – a nie śmiałybym w karykaturze przedstawić to, co w ideale widzę.

– Ja się panu ofiaruję, bo ideałem nie jestem! – zawołała Herma – rób pan moją karykaturę.

– Ja służę mu fizjognomią moją – dodał Nieczujski.

– A przede wszystkim ja – śmiejąc się odezwała z kącika kapitanowa – ze mnie starej najłatwiejsza karykatura gotowa.

Namyślał się hrabia, znać było, że niezupełnie się chciał bronić od popisu. Szło tylko o to, na kim miał sił spróbować.

Szczeńciem Bończę i hrabiego Ildefonsa tyle razy rysował wprzódy, iż obu ich umiał na pamięć, milcząc więc przysunął się do stołu. Herma żywo podsunęła mu „Fabery”¹⁶⁹ i całą libnę¹⁷⁰ papieru, hrabia począł, cedząc, tłumaczyć się, że i karykatura wymaga natchnienia, że nie czuł inspiracji i świętego ognia... ale począł coś kreślić.

Z dała przypatrywano się robocie. Tymczasem, gdy był tą pracą zajęty, Nieczujski nieznacznie dobył małego, w płótno oprawnego albumiku z kieszeni i ołówka, w książeczce swej także rysując. Z wejrzeń rzucanych ukradkowo na Romana można było wnosić, że jeśli nie karykaturą, to portretem jego się zajmuje.

Zdziwiły się panie, gdyż w nim wcale nie domyślały się artysty dyletanta. Herma przypatrywała się obu z zajęciem, Roman zdawał się wyteżać wszystkie swe siły na tę próbę, Nieczujski zamaszyste i swobodnie a pospiesznie dokonywał tajemniczej roboty.

¹⁶⁹ „F a b e r y” - nazwa ołówek produkowanych w niemieckiej fabryce o tej samej nazwie. Firmę tę, założoną w 1760 r. w Steinie, do stanu rozkwitu doprowadził Jan Lotar Faber, który miał filie w Nowym Jorku, Paryżu, Londynie i in.

¹⁷⁰ l i b r a (łac.) - 24 arkusze papieru

Gdy hrabia Roman pierwszy półarkuszek odłożył, ubolewając, że mu się nie udał rysunek, poszedł on po rękach. Poznano w nim łatwo Bończę skarykaturowanego dosyć szczęśliwie, ale sucho i niewprawnie.

Herma winszowała, skromny autor ze spuszczonymi oczyma przyjmował pochwały i z większym zapałem brał się do drugiego. Nieczujski już rysunek swój wykańczał powolniej, nie postrzeżony. Złożył książeczkę i chciał ją schować do kieszeni, gdy Lola pod stołem wyciągnęła po nią rękę. Nieczujski się zawahał trochę.

– Jestem bardzo nędznym amatorem – szepnął podając swój albumik – nie ma tu co patrzeć.

Obie z Hermą ciekawie przechyliły się nad szkicem.

Na całej stronicy zrobiony był dosadnie, wprawną ręką wizerunek nie skarykaturowany, ale prawie upiękniiony i niezmiernie podobny hrabiego Romana, którego charakter, sztywność, krochmal, dystygowana maniera pochwycone były z niezmierną trafnością. Nie będąc karykaturą, portret jednak zdawał się złośliwym, bo uwydatniał wszystkie słabości i wady pierwowzoru.

Ze szczególną miłością odrobiona była śpilka w chustce i nieposzlakowany krój sukni. Herma zdziwiona o mało nie krzyknęła. Lola uśmiechnęła się i posmutniała nagle, wpatrując się w wizerunek tej lalki. W tym portrecie był cały człowiek, można go było w jakim magazynie mód za szkłem na wzór wystawić. Wdzięczne rysy nic nie mówiące oddane były z dziwną prawdą i bezstronnością, ołówkiem nie kierowała namiętność, a jednak smutne to było...

Mimowolnie ciekawe rączki pań z cicha poczęły przewracać kartki już prawie szkicami zapełnionego albumiku. Były to jakby podrózne notaty z datami i oznaczeniem miejsc. Widoki chat, cerkiewek, kościółków, dworów, strojów włościan, typowe twarze, figury fantastyczne – ani na talencie, ani na wprawie nie zbywało Nieczujskiemu, choć obojga dotąd nikt się nie domyślał.

Hrabia Roman tymczasem szkicował pracowicie Ildefonsa, który mu się udał lepiej. Był on gotów, gdy właśnie albumik przeglądać skończono i Nieczujski po niego rękę wyciągnął, ale Herma go zatrzymała; zaczęto chwalić bardzo Ildefonsa, lecz razem śmiać się z niego. W istocie był on zabity tym rysunkiem, który i podobny był, i wielce śmieszny.

– Cóż pan powiesz na to – wtrąciła Herma – że ja tymczasem w czasie gdyś pan tych sąsiadów egzekwował¹⁷¹, *c'est le mot*¹⁷², zrobiłam pańską nie karykaturę, ale skromny portret.

– Pani? mój? – niespokojnie się rumieniąc zawołał hrabia Roman, któremu nigdy na myśl nie przyszło, że i on mógł zostać karykaturą.

– Nie chwałąc się jednak – dodała Herma – byłam dla pana nieskończenie litościwszą niż hrabia dla tych panów.

To mówiąc ukazała mu album. Roman, który miał pewne sztuki pojęcie, zdumiał się nadzwyczajnie i zamilkł. Z daleka patrzył na swój wizerunek i nie wiedział sam, czy się gniewać, czy dziękować.

Nie przyszło mu na myśl posądzać on Nieczujskiego, bo tak był zatopiony w swych karykaturach, że go rysującym nie dostrzegł.

¹⁷¹ e g z e k w o w a ć (łac.) - wykonywać wyrok skazujący na karę śmierci; tu w znaczeniu przenośnym

¹⁷² c' e s t l e m o t (fr.) - to jest właściwe słowo

- Nieprawda, że schwyciłam trochę podobieństwo? – spytała złośliwie Herma.

- Ja o tym sądzić nie mogę – odparł nieukontentowany widocznie Roman – lecz muszę przyznać, iż rysunek bardzo ładny.

Herma schowała albumik pod stół, lecz przy oddawaniu go Nieczujskiemu nie uniknęła wejrzenia Romana, który widząc go przechodzącym do kieszeni młodego jegomości, spochmurniał jeszcze bardziej, ołówek rzucił i siadł w krześle nadęty.

- Nie wiedziałem, że pan jesteś artystą – szepnął niechętnie do Adolfa.

- Ja wcale nim nie jestem – odpowiedział Nieczujski – nie mam do tego pretensji.

Portret ten schowany do kieszeni w niezmiernie zły humor wprowadził hrabiego. Czuł, że wobec niego karykatury pełzły i że on był zapłatą za złośliwość, z jaką swych rywali odwzorował.

- Ten jegomość za wiele sobie pozwala – pomyślał – lecz cierpliwości, wiesz tu przecież siedzieć nie będzie.

Tak spłynął długi wieczór, nieznośny dla Loli szczególnie, oglądającej się na zegar ciągle, aby godzinę pożegnania przyspieszyć.

Hrabia Roman, który czuł się w obowiązku dosiedzieć do ostatnich krańców czasu, jaki przyzwoitość oznaczała, nie opuścił salonu aż o jedenastej, namyśliwszy się, że na wsi mogła to być godzina spoczynku. Wątpliwość miał, czyliby dłużej jeszcze nie należało nudzić panny, na którą nadaremnie spoglądał, nigdzie się z jej wzrokiem spotkać nie mogąc, lecz Herma zaczęła znacząco składać robotę i on wziąć musiał za kapelusz.

Nieczujski szukał swojego także, gdy Lola dała mu znak nakazujący, aby pozostał. Odchodząc Roman rzucił nań wejrzenie jak sztyletem przeszywające i z dała mu tylko głową kiwnąć raczył.

Na wschodach słychać było krok odchodzącego Romana, gdy baronówna załamała ręce i zawołała do Adolfa:

- Zmiłuj się pan, powiedz mi, co mam począć? Z kilku słów hrabiny domyślałam się, że tu wkrótce całe sąsiedztwo w Gromach przyjąć będę musiała. Rozdrażni to mojego opiekuna, do rozpaczki doprowadzi hrabiego Romana, a mnie na śmierć zamęczy!

- Trochę cierpliwości – rzekł uśmiechając się zapytany. – Co to pani szkodzi? Czyżby pani wołała przez kilka dni siedzieć *tete-a-tete*¹⁷³ z hrabią Romanem?

- A! niech Bóg uchwali!

Herma się śmiała.

- Mnie by się zdawało, że to by było raczej do życzenia niż strasznym.

- Byłaby to zabawka, rozrywka, może nawet zajmujące dla pani studium. Daruje mi pani, że się mieszam w nie swoje sprawy, ale zostałem wyzwany, będę więc otwartym. Nadzwyczaj niezręcznie komedią gram i wolę szczerze mówić, co myślę.

- Ale mów pan, mów, proszę! – żywo zaczęła Lola.

- Hrabia Roman nie jest pani tak nadzwyczaj miłym, ażeby już z nim nikt współzawodniczyć nie mógł – mówił spokojnie Nieczujski. – Dłaczegóż by pa-

¹⁷³ *tete-a-tete* (fr.) - sam na sam, we dwójkę

ni nie chciała rozpatrzyć się w innych, widocznie stojących w rzędzie konkurentów? Może być, że pani uczynisz między nimi wybór szczęśliwszy...

Lola głową potrząsała i spuściła oczy.

– Za to ręczyć nie można – ciągnął dalej Nieczujski. – Któż wie? Tu idzie o życie całe i przyszłość, nie godzi się ich poświęcać dla grzeczności względem opiekuna.

– Ma zupełną słuszość! – wtrąciła Herma żartobliwie. – Co mówisz o Bończy?...

– Moja droga Hermo! – zakrzyknęła Lola – proszę cię!

– A hrabia Ildefons nie wyglądał majestatycznie z tą młodocianą łysiną podwyższającą mu czoło i nadającą jego fizjonomii takiż wyraz myślący?

Lola wzdrygnęła się nie odpowiadając.

– I nie rozczuła cię hrabina mama z tą troskliwością dla ciebie, ze swymi wspomnieniami dzieciństwa, gdyście z Ildefonkiem igrali razem?...

– Tego nigdy w świecie nie było! – zaprotestowała Lola – nigdy Ildefonseków nie był u nas.

Spojrzała rozpaczliwie prawie na Hermę i Nieczujskiego.

– Kogóż się jeszcze możemy spodziewać? – spytała.

– Ja tak dobrze sąsiedztwa nie znam, ale ciocia Nieczujka...

Kapitanowa kończąca drut w pończosze i siedząca w kątku westchnęła.

– O to! to! – rzekła – jeśli wszyscy jechać zechcą, zawiędyłych i świeżych kawalerów nie zabraknie.

– Na przykład? – nalegała Herma. – Niech ciocia tę staroświecką pończochę porzuci i da nam przedsmak przyszłych naszych rozkoszy.

– Czekać, muszę myślał przebiec okolicę – mówiła z drutem w zębach ciocia kapitanowa. – Ano, naprzód pan Modest baron Leliwa. Tego tak pełno wszędzie, iż nie sposób, żeby się tu nie wkręcił.

– Znam go – dodała Herma. – Młodzieź nazywa go „Bakiem”, bo się jak bąk ciągle kręci, a może, iż bąki strzela. Dalej, ciociu!

– Jest jeszcze Herman Pniewski, „Połsem” zwany.

– Cóż chcecie, wcale przyzwoicie nudny człowiek – wtrąciła Herma.

– I Rębaczewski, który Grochówkę tak przyozdobił, że na ogród pono długi zaciągał, człek z gustem.

– Przejeżdżając admiruję zawsze chiński domek w jego ogrodzie... żywcem z pudełka od herbaty.

– Na ostatek hrabia Nepomucen... hrabia Nepomucen, szambelanic.

– I tego znam – dodała Herma. – Ziewa strasznie...

Lola słuchała, Nieczujski stał milczący.

– Ale bo pani dobra – odezwał się do Hermy – zbyt jesteś surową. Już ciż niepodobna, aby, licząc z Bończą, jeśli się nie mylę, między sześciami jeden się nie znalazł, o którym by coś dobrego powiedzieć nie można było.

– Nie o jednym, o każdym powiem panu coś dobrego – żywo odcięła się Herma – a jednak z tych sześciu ja bym wybrała chyba siódmego.

– Jak to? hrabiego Romana? – zapytał Nieczujski.

– O! ten się nie liczy, to urzędowy nudziarz.

Milczenie trwało przez chwilę. Lola machinalnie rozłożyła kalendarz i szukała w nim, wiele jeszcze dni swobody pozostawało.

Biegły z taką niepoścignioną szybkością.

Po powrocie z Gromów pani hrabina Bramińska, przez całą drogę nic się od zadumanego syna nie mogąc dopytać, z bólem głowy siedziała na kanapie. Wstydziła się ona tego defektu przed ludźmi obcymi, lecz gdy nie było świadków, porzuciwszy robotę, szczególnie w stanowczych życia chwilach lubiła ciągnąć kabałę¹⁷⁴. I teraz z głową związaną chusteczką, po staroświecku w szafranie¹⁷⁵ ufarbowaną, pilnie rozkładała karty, gdy syn wszedł, przebrawszy się, zadumany wielce, trąc włosy, których nie miał, i usiadł naprzeciwko niej.

Westchnęli oboje spoglądając na siebie.

– Cóż ty mówisz? – spytała matka, która w rozumie syna najgłębszą pokładała wiarę.

Ildefons głową z lekka potrząsł.

– Niełatwa to rzecz coś o tym powiedzieć – począł nieco ochrypłym głosem – o to! o to! niełatwa. Skomplikowane tam rzeczy.

– Skomplikowane, mówisz?

– Nawet bardzo! – mówił jakby do siebie hrabia Ildefons. – Ja, kochana mamó, lubię wszystko rozważyć, rozważyć i dobrze obrachować. To nie dosyć, że tam hrabia Roman na przeszkodzie stoi. O niego to by tam zresztą i mniejsza było, żeby tylko z nim się jednym miało do czynienia. Ale już ciż nie darmo siedzi pani Grzegorska, ona tam też kogoś protegować musi. Może Bończę, bo to chytry, przebiegły człek, a i na tym nie koniec. No, a ciocia Nieczujka... ta też wpływy mieć musi, a przy niej syn. Jakaś figura niby cicha, ale ja dobrze obserwowałem go. Baronówna często na niego spoglądała, on też. Niby prosty człek, ale temu ufać nie można.

– Mój Boże, jak to ty wszystko zaraz umiesz pojąć! – westchnęła hrabina smutnie. – Ja czyniłam, co mogłam, aby ją ująć, przemawiałam do serca, do uczucia, do wspomnień... zimne jakieś stworzenie.

– Ładna panna – wtrącił Ildefons.

– E! żeby znowu tak bardzo ładna – odezwała się matka – zobaczysz, jak to prędko zwiędnie i zestarzeje. Ładniejsze Gromy. Westchnęli oboje, Ildefons zamyślił się głęboko.

– Ja mam coś! – rzekł.

– Cóż takiego?

– Ciotkę i jej syna trzeba by ująć. Przez nich by się drogi utarły.

– Ale jak?

– Nie wiem – mówił hrabia – tego nie wiem. Ludzie ubodzy, gdyby mieli na widoku korzyść jaką...

– A! to prawda! – szepnęła matka – ale jak do nich przystąpić, jak?

– No nie wiem – zakończył Ildefons zatapiając się w myślach.

Na tym pierwsza narada dnia tego się skończyła. Nazajutrz za ledwie wstali od stołu w Gromach, gdy powóz czterema końmi zaprzężony przywiózł do ganku szambelana hrabiego Dambskiego z synem hrabią Nepomucenem.

¹⁷⁴ k a b a ł a (hebr.) - wróżenie z kart

¹⁷⁵ s z a f r a n - roślina o kwiatach barwy żółtej; wysuszone części kwiatów mają zastosowanie m. in. w farbiarstwie

Stary był skromnie ubrany we frak czarny, a orderzy zawieszony niósł w miniaturze na łańcuszku, od niechcenia. Maltański Krzyż¹⁷⁶ prawie był kłapą przykryty i mało co widoczny.

Gdy oba z wielką pompą wtaczali się na pokoje, hrabia Roman pobladł jak trup i ledwie się mógł powstrzymać od okazania gniewu. Ojciec pełen życia i syn ziewający, milczący, wyglądający na dyplomatę nudzili już prawie kwadrans gospodynię, a śmieszyli jej przyjaciółkę, gdy nadjechał pan Rębaczewski.

Były to już dwie postacie z odgadniętych przez ciocię Nieczujską wczoraj. Rębaczewski uczynił takie wrażenie przybyciem swym na oficjalnym preten-dencie, hrabi Romanie, iż ten, chcąc pannie okazać widocznie swoje najwyższe nieukontentowanie z tego najazdu gości, jak mu się zdawało, wywołanego przez nią dla dokuczenia mu tylko, wyniósł się na górę do swojego pokoju i pozbawiwszy ją miłego towarzystwa swojego, w fotelu cygaro palił.

Nie taił on przed sobą, iż to był krok nader śmiały, nadzwyczaj dzielny i niezawodnie wywołać mający otwarte tłumaczenie, rozmowę. Wahał się nawet, czy o tym kroku na własną odpowiedzialność przedsięwziętym nie należało zawiadomić stryja listem. Zdawało mu się, że tym usunięciem się baronównę nastraszy. Gdy godzina herbaty wybiła, a Rębaczewski właśnie zabawiał Lolę, kreśląc plan zupełnego przeobrażenia parku, poczynając od wycięcia starych drzew, które perspektywę zasłaniały, Lola szepnęła Nieczujskiej, aby pana Adolfa posłała ściągnąć hrabiego Romana.

Posłuszny pan Adolf zawahał się, ale poszedł. Na górze zastał malkontenta¹⁷⁷ rozpartego w krześle z wonnym cygarem.

– Baronówna prosi pana na herbatę! – rzekł wszedłszy.

Roman spojrzał zrazu milczący, twarz jego objawiała, iż kaprysić chciał, nie wiedział, co dalej począć.

– Mam dreszcze i ból głowy – rzekł namyśliwszy się – jest to moje zwykłe nerwowe cierpienie, raczy pan podziękować za pamięć ode mnie i powiedzieć, że chyba po odjeździe gości od mojej newralgii¹⁷⁸ będę wolny.

Nacisk mocny położywszy na odjazd gości, hrabia sądził, iż uczynił już bardzo wiele. Głową ruch znaczący wykonał, skłonił się i palił cygaro.

– Przyślemy tu panu herbatę, a bodaj i wieczerzę, jeśli newralgia dozwoli jeść – nieco żartobliwie odpowiedział Nieczujski – może by lepiej było całkiem dziś nie wychodzić.

– O tym mój ból głowy rozstrzygać będzie – zakończył hrabia, nogę na nogę założył i palił.

Był pewny, że panna to uczuje ogromnie. W samej rzeczy obeszło się bez niego. Rębaczewski zabawiał ogrodem, a szambelan opowiadaniem o nowym Wiednia przeistoczeniu. Lola, tego dnia zrezygnowana już, była coraz bardziej

¹⁷⁶ M a l t a ń s k i K r z y ż - biały krzyż o ośmiu rogach, odznaka zakonu kawalerów maltańskich, joannitów, zwany też krzyżem cnót; tradycja przynależności do zakonu joannitów przetrwała długo w rodach szlacheckich i stanowiła tytuł honorowy.

¹⁷⁷ m a l k o n t e n t (fr.) - tu: człowiek niezadowolony z sytuacji

¹⁷⁸ n e w r a l g i a (gr.) - nerwoból, okresowe napady silnego bólu wzdłuż jakiegoś nerwu

milcząca, stary hrabia Dambski zabawiał ją wszakże, bo był człowiekiem mimo swej próżności miłym i nieskończenie żywszym od syna, który minami i ruchami więcej podsycił rozmowę niż słowy; ani hrabia Modest, ani Rębaczewski nie zachwycili ją wszakże.

Gdy ją pożegnali nad wieczorem, miała dopiero czas zapytać, co się hrabiemu stało.

– Hrabia dostał newralgii, głowa go bolała – rzekł Adolf uśmiechając się – zezwolił nam jednak pocieszać się nadzieją, że po odjeździe gości ozdrowieje może.

Herma śmiała się uradowana.

– A! przedziwny! – wołała. – Szkoda tylko, że nas dwóch karykatur pozbawił.

Jeszcze o tym szeptano, gdy hrabia Roman z wielką powagą wszedł do salonu, dając uczuć baronównie, iż się czuł obrażonym. Ją to tylko zniecierpliwilo. W chwili gdy się towarzystwo rozpierzchło, szepnął zbliżając się, że prosi o chwilę rozmowy. Lola spokojnie wyszła z nim do jadalnej, która stała otworem.

– Nie zdziwi się pani – odezwał się poważnie hrabia – gdy wyznam, że jestem silnie dotknięty, mocno zasmucony.

– Czym?

– Co znaczy, proszę pani, ten ciągły najazd na Gromy?

– Nie rozumiem, dlaczego pan mnie pytasz o to?

– Juściż zdaje mi się, że bez zezwolenia jej...

– Daję panu słowo, że nie prosiłam nikogo.

– Lecz to podaje w wątpliwość w oczach ludzi moje położenie.

– Pan masz moje słowo – odezwała się obrażona nieco Lola – lecz pana od wszelkich zobowiązań uwolnię, jeśli mu się co we mnie i u mnie nie podoba. Przed opiekunem będę się umiała wytłomaczyć.

Nastąpiło milczenie znaczące.

– Mój stryj – dodał hrabia – miał nadzieję, że przez te dni pani mi się zbliżyć dozwoli i dać poznać.

– Wszak tego panu nikt nie broni.

– Ale jesteście ciągle w tłumie natrętów.

– To prawda! cóż ja na to poradzę? – odezwała się rozgniewana nieco baronówna. – Wie pan co, trzeba by napisać i przybić na bramie, nie jestem już wolną i że wstęp do mnie dopuszcza się tylko za dozwoleнием opiekuna.

– Pani się gniewa...

– Ja? wcale nie! śmieję się, bo to po prostu śmieszne!

Westchnął hrabia.

– Cóż ja mam począć?

– Jak się panu zdaje.

– Kilkanaście dni takich wizyt, takiego nacisku...

– Każ kartę przybić na bramie! – rozśmiała się złośliwie baronówna a zwracając się nagle ku zdumionemu jej śmiałością Romanowi, dodała – szanowałam i szanuję życzenie ojca i wolę opiekuna, którego kocham, zawarowałam sobie jednak trochę swobody, która mojej ofiary miała być nagrodą. Widzę, że pan hrabia już teraz ją chcesz krępować! Cóż będzie potem?

– Ja wcale nie krępuję swobody – wyjąknął hrabia – ja tylko pytam pani o znaczenie tych odwiedzin.

- Zapytaj pan o nie tych, co przyjeżdżali – odparła uspokajając się
- Pani o tym nic nie wiedziała?

Lola zaczęła się śmiać, obrażony Roman skłonił się i rzekł: dobranoc. Sądził, że to będzie cios stanowczy i ostateczny. Baronówna wróciła powoli do salonu, prawie nieporuszona. Okoliczności te zmusiły Romana do wystylizowania listu do stryja. Rozkazał więc panu Francois, aby dobył tekę podróżną i przyrząd do pisania.

Wybierając się na dni kilka, hrabia był nawykły wozić ze sobą wszystkie przybory, jakich mógł potrzebować, gdyż pospolitym papierem, zwyczajną kopertą, ordynaryjnym atramentem i piórami, jakie się wszędzie spotykają, posługiwać się było dlań niepodobieństwem. Jak ubranie jego wymagało mnóstwa przygotowań nader wyszukanych, tak też każda czynność tylko z pewnymi warunkami dopełnioną przez niego być mogła. Portfel zawierający kancelaryjne przybory był przepyszny, ze skóry juchtowej¹⁷⁹, z herbami i cyframi¹⁸⁰. We środku liczne przedziałki mieściły papier z imieniem, cyframi, herbem i papier fantazyjny, także koperty garniturowe różnych formatów, gdyż wedle prawideł papier i koperta bardzo rozmaicie używane być mogą i muszą, a nauka przyzwoitości wskazuje, do kogo na półarkuszu, a do kogo na półkwartce pisać się godzi. Hrabia Roman rozłożył wszystko na osobnym stoliku i potrzebował pół godziny do przygotowania się do pisania, nie żeby zebrać myśli, lecz żeby samą czynność odbyć, jak należało. Już w chwili przystąpienia do listu wątpliwość poczuł, czy mu się skarżyć wypadało, i rozwiązał ten węzeł gordyjski¹⁸¹ niemożnością wyjścia inaczej z nader trudnego położenia. Potrzeba było zawiadomić hrabiego Filipa, jak tu rzeczy stały i jak narzeczona była usposobioną. Chociaż oburzony jej postępowaniem, Roman miał czas z wolna ochłonać i wyrachować, że stryja powinien być jak najchłodniej o tym objaśnić, okazując jak najmniej zazdrości i gniewu. Siadł więc do listu, podłożywszy liniowany papier, dobywszy bibułę, wypróbował pióro. List w formie i rodzaju dziennika zdał mu się najwłaściwszym. Opisał więc przybycie swe, osoby, które zastał, odwiedziny, jakie nastąpiły, później dotknął rozmowy z baronówną, ale tę złagodził znacznie. Żądał od hrabiego Filipa, aby go wsparł swą radą, i przyznawał się otwarcie, iż dotąd nie tylko nie postąpił we względach panny, lecz niemal część ich stracił, jeśli się tak wyrazić godziło. Szło mu źle jednym słowem, a najazd sąsiadów zdawał mu się umyślnym środkiem obronnym, aby zbliżenie utrudnić.

Zrazu pisał hrabia Roman, nie mając zamiaru poprawiania listu i przerebiania go na czysto, okazało się jednak, iż kopia była nieuchronną. Mazał więc, przekreślał, uzupełniał i wielce znużony, dopiero dobrze po północy odczytawszy ostateczną redakcję, poprzestał na niej. Francois miał już polecenie nazajutrz pewnego wynaleźć posłańca i wyprawić list z żądaniem odpowiedzi.

¹⁷⁹ j u c h t (ros.) - skóra z cieląt lub młodych wołów garbowana specjalnym sposobem, nieprzemakalna

¹⁸⁰ c y f r a - tu: monogram, litery początkowe imienia i nazwiska

¹⁸¹ g o r d y j s k i w ę z e ł - misterny węzeł zawiązany przez legendarnego króla frygijskiego Gordiusza w mieście Gordion; węzeł ten miał później przeciąć mieczem Aleksander Macedoński, stąd przecięciem gordyjskiego węzła nazywamy proste rozstrzygnięcie skomplikowanej sprawy.

Dokonawszy tego ważnego aktu, po którym spodziewał się bury dla narzeczonej i skruchy z jej strony, hrabia, spokojny w sumieniu, przed zwierciadłem wieczorną toaletę wykonał i położył się, by usnąć snem sprawiedliwego.

Następny dzień miał być nowymi utrapieniami oznaczony; o godzinie wizytowej, po obiedzie, ukazał się kocz staroświecki Leliwów z panem Modestem i jego stryjem, nadjechał z jakimś poselstwem od matki, hrabiny Bramińskiej, pan Ildefons, przywożąc oprócz tego piękny bukiet. Stryj bez przekonania jakoś indrodukował czynnego swego, ale zawsze niefortunnego synowca, pana Modesta, który natychmiast sobą cały salon nappełnił. Zabawił nawet panie, bo mu się usta nie zamykały. Mówił, gestykulował, śmiał się, podskakiwał, biegał i pracował w salonie jak nikt. Herma żartowała sobie z niego, ale tak zręcznie, iż się na tym nie poznał. Lola, która pierwszy raz widziała egzemplarz tak znakomity wiercipięty, zajęta nim była jak dziecię zabawką.

Pan Ildefons, dopełniwszy poselstwa swego, nadzwyczaj zręcznie zszedł z pierwszego planu sceny i cofnął się ku Nieczujskiemu, z którym się nieznacznie zapoznał. Parę razy zwrócił się z rozmową ku cioci kapitanowej mocno tym zadziwionej i odpowiadającej krótko, z towarzyszeniem ruchów osobliwych, innego mogących odstręczyć. Ostatecznie przysiadł się w kątku do pana Adolfa, który przeciwko temu nic nie miał, i nader grzeczne zawiązał badanie. Dowiedziawszy się o pragnieniu poznania kraju i okolicy, hrabia Ildefons zaprosił nawet Nieczujskiego, aby go raczył odwiedzić, przyrzekając mu być pomocą do studiów nad tym, co znał doskonale. Pan Adolf dosyć obojętnie, ale grzecznie przyjmował ofiary hrabiego, chłodno nieco dziękował za nie, od rozmowy się nie uchylając, tak iż rodzaj znajomości został zawarty.

Ostrożny hrabia Ildefons za pierwszym razem nie śmiał być zbyt natarczywym.

– Państwo tu, jak widzę – rzekł hrabia – miewają dosyć gości co dzień...

– W istocie, od czasu jak tu jestem, nie zbywa na nich.

– Na wsi to bardzo przyjemnie... Leliwowie są po raz pierwszy? – spytał cicho Nieczujskiego.

– Nie znam tych panów, a tu ich widzę w istocie dziś pierwszy raz.

Bramiński nachylił mu się do ucha.

– Niewielkie rzeczy – szepnął – niewielkie... dobrzy ludzie, no i po wszystkim, więcej powiedzieć nie można. – Rozmyśliwszy się doszepnął jeszcze: – niemajątni... nie...

Zaledwie to wymówiwszy, hrabia Ildefons pożałował swej zbytnej i nieogłędnej szczerości i zamilkł zamyślony. Wyrzucił już sobie, zagadał więc zaraz czym innym, a w końcu powtórzył zaproszenie do siebie pana Adolfa, który nic nie przyrzekając, podziękował.

Leliwa tymczasem, którego stryj mało się odzywał, nadzwyczaj gorliwie popisywał się z żywością myśli i mnogimi wiadomościami. Nie uważał, że Herma wyciągała go na różne paplaniny co najmniej niepotrzebne, nie widział, że się z niego uśmiecha.

Było to zabawnym i smutnym.

Nieszczęśliwy stryj, mający więcej taktu, na próżno spoglądał nań, starając się go pohamować w zapędach, pan Modest był jak koń rozbiegany, którego nic wstrzymać nie może. Sypał jarmarcznymi anegdotkami i dowcipami, a że Herma się śmiała, zapalał się coraz więcej.

Nikogo ten tak zuchwały sposób postępowania w salonie bardziej oburzać nie mógł nad hrabiego Romana, który bladł, czerwieniał, zacinał usta, zakładał nogę prawą na lewą i lewą na prawą i wcale się do rozmowy nie mieszał. Parę razy wciągnięty w nią, ledwie raczył rzucić słowo.

Tegoż dnia, chociaż w bardzo złym humorze, hrabia był z nadzwyczajnym smakiem ubrany. Surducik leżał na nim jak ulany, czarny krawat spięty był ogromnym turkusem, woniał rezedą jak grzęda rozkwitła. Wszystko to było stracone, nikt nań prawie nie patrzył, nikt woni tej nie ocenił. W barbarzyńskim owym towarzystwie nikt do tych rzeczy wyszukanych, przedziwnych, taką dystynkcją nacechowanych najmniejszej nie zdawał się przywiązywać wagi. Baronówna była roztargniona i wczorajszy mały spór, który powinien jej być dać do myślenia, nie wpłynął wcale na jej postępowanie.

Toteż ilekroć w ciągu tego dnia hrabia przyzwocie mógł się absentować, wychodził i spędzał smętne samotności godziny ze swym hawańskim cygarem.

Nie umiał sobie tego wytłumaczyć, dlaczego najszczególniej wstrętliwym dlań był pan Adolf Nieczujski. Pierwsze wrażenie jego grubych butów i pomiętego surduta zatrzeć się w nim nie mogło. Nie zbliżył się też wcale do niego, a sama przytomność gościa tego w salonie niecierpliwiła go niewymownie. Zwiększali zły humor hrabia Ildefons i Leliwa.

W jednej z tych wycieczek na górę do swojego apartamentu hrabia Roman, który znał dobrze hrabiego Ildefonsa, chociaż tytułu jego nierad był za równoważny ze swoim uważać, nie postrzegł się, iż Bramiński po cichu za nim wymknął. Dopiero na wschodach go zobaczył.

– Nie pozwolisz mi też hrabia u siebie cygara wypalić? – zapytał Ildefons.

– A bardzo proszę, *comment donc*¹⁸², bardzo proszę.

Prośba ta była zimna, lecz wystarczająca, hrabia Bramiński wszedł.

Dobywał już własne cygaro, gdy hrabia Roman uroczyście go powstrzymał, było to uchybieniem przeciwko formom.

– Za pozwoleniem – odezwał się – mam przyjemność hrabiego przyjmować u mnie, zatem proszę na moje cygaro.

Tu nastąpiło wydobycie różnych cygarnic zawierających wszelkie cygara do wyboru, hrabia Ildefons wziął pierwsze z brzegu i siedli milcząco.

Rozmowę trudno było rozpocząć. Zagadł ją przybyły pytając o zdrowie stryja, na co, nie sądząc potrzebnym ukrywać wcale, odpowiedział hrabia Roman, iż się znacznie polepszyło i na spodziewaną prędko konwalescencją¹⁸³ rachują z przyspieszeniem wesela.

Oznajmienie tak otwarte o weselu fatalnie podziało na gościa, który począł się przypatrywać cygaru swemu, mocno je ciągnąc, i po rozmyśle dodał:

– Więc to tedy już pewne?

– Alboż hrabia wątpieś?

– Nie, ale nie wiedziałem, iż to już stanowczo, to jest, że to ostatecznie albo, że się tak wyrażę, finalnie postanowione.

– Termin nawet oznaczony.

¹⁸² c o m m e n t d o n c (fr.) - jakżeżby

¹⁸³ k o n w a l e s c e n c j a (łac.) - rekonwalescencja, okres zdrowienia po przebytej chorobie

Ildefons głową tylko poruszył.

– A termin ten? – zapytał.

– Bardzo bliski – ogólnikiem go zbywając odezwał się hrabia Roman.

Znaczyło to nic innego nad: wynoście się, bo tu nie macie co robić.

Bramiński miał wiele rezygnacji, westchnął.

—Nie pozostaje, jak powinszować – dodał.

Roman się skłonił nieco.

– Pan nie wie, co tu Leliwów sprowadziło? – zapytał. Było to pytanie niedy-skretne, gdyż mogło utkwąć w samym hrabi Ildefonsie, który usta zaciął usłyszawszy je.

– Ja myślę – rzekł – że prosta ciekawość.

– A! – odparł hrabia – tak, zapewne, boć nie można przypuszczać, aby tu kto w innych zamiarach przybywał, mnie nieprzyjaznych i nieprzyjemnych. Mam słowo baronówny, śmiesznym by było starać się jej postanowienie zachwiać. Nie przypuszczam.

– Kochany hrabio – odezwał się Ildefons nieco dotknięty – już ciż trudno wzbronić sąsiadom przyjemności poznania dziedziczki Gromów.

– Ale tak jest – przerwał Roman – chociaż dla mnie właśnie w tych chwilach przedślubnych miłsze by było sam na sam.

Ildefons, nie dopalone położywszy cygaro, milczący zabierał się do wyjścia.

– Cóż to? nie dopalacie cygara?

– Dziękuję, muszę na dół powracać – rzekł Ildefons kłaniając się z daleka.

– Daliście mi naukę, z której muszę korzystać.

– Nie powinniście tego brać do siebie. Ależ przecie... ale zmiłuj się...

– Nie gniewam się bynajmniej – roześmiał się Ildefons – lecz trudno to było inaczej zrozumieć.

Sztywnie dosyć skłoniwszy się, wyszedł. Roman został, postrzegłszy się dopiero, iż niedorzeczność popełnił. Pogniewał się na siebie, lecz nigdy na tego przyjaciela nie zwykł był gniewać się długo – przebaczył mu chwilę uniesienia.

– Ale bo też mi dokuczają! – pomyślał w duchu – trudno wytrwać.

Ildefons, schodząc ze schodów, gorzko się uśmiechał:

– Po diabłaż było prosić tego Nieczujskiego, jeśli już tak rzeczy stoją.

Chmurny wrócił do salonu, wyszukał kapelusz i rękawiczki i po angielsku, bez pożegnania, się wymknął.

Leliwowie na utrapienie hrabiego Romana zostali na herbatę. Baronówna nawet, może trochę złośliwie mszcząc się na narzeczonym, rozmowniejszą była niż zwykle i pana Modesta zdawała się przyjmować wcale dobrze. Nie zajmował ją, ale przynajmniej zabawiał.

Już ciemnym mrokiem odjechali.

Hrabia Roman siedział w salonie właśnie i z odcieniem ironii zapytał baronównę, czy jej też pan Modest się podobał.

– Dosyć – odpowiedziała – może nie być tak dystyngowanym jak inni, ale ma wiele życia i dowcipu.

– Dowcipu! – podchwycił hrabia.

– Wesół jest i szczery – dodała Herma – i to coś warto.

Na tym skończywszy, hrabia Roman narysował karykatury Leliwów obu, a w dodatku matki hrabiego Ildefonsa, którą uczynił w najwyższym stopniu śmieszną.

– O talencie pańskim jużesmy dawno wiedzieli – odezwała się, przyglądając temu dziełu, Lola – nie sądziłam jednak, byś pan hrabia potrafił być tak złośliwym. Biedna hrabina zasługiwała na więcej miłosierdzia.

Tak skończył się ten wieczór. Nie było już zřeczności zbliżenia się do baronówny, a przedsięwzięty opis wycieczki po Włoszech przez hrabiego zupełnie został chybiony, gdyż Nieczujski począł wrzucać pytania i czynić sprostowania, które Romana zmusiły do zamknięcia się w dostojnym milczeniu.

Rzucił tylko zatrute wejrzenia na pana Adolfa, od którego się one odbiły, nie raniwszy go.

List wysłany z Gromów rano doszedł zawczasu do Pruhowa. Hrabia siedział w fotelu i przezierał rachunki, gdy doktor Pęklewski wszedł z tym piśmie, spodziewając się, iż nim uczyni przyjemność staremu. Wnosił bardzo słusznie, iż synowiec, znając stan zdrowia hrabiego, nie pospieszałby tak z udzieleniem mu złych wiadomości.

Odsłonięto nieco firankę i hrabia, z niecierpliwością rozpieczętował list, czytać go począł. Doktor stojący z daleka dostrzegł zaraz, że w miarę jak czytanie postępowało, chmurzyło się czoło starego, usta zacinały, twarz nabierała wyrazu, na którego znaczeniu omylić się nie było można. Energiczny starzec dokończył czytania powoli, wymógł na sobie spokój i rzucił list na stół. Oczy jego, podnosząc się, zatrzymały na doktorze, który stał śledząc każdy ruch jego.

Westchnął. Nie bywał zwykle wywnętrzającym się, tym razem strapienie mu usta otworzyło. Wskazał ręką na leżący papier.

– Ten biedny Roman – zawołał – nigdy w życiu sobie rady dać nie potrafi! Uchowaj Boże na mnie tego, co nieuchronne... jak on się na świecie obróci, odgadnąć nie umiem. Tyle starań około jego wychowania, tyle troskliwości o wykształcenie i wszystko daremne... wszystko daremne! – powtórzył starzec smutnie.

Doktor nie śmiał pytać o nic.

– Widzę – odezwał się – że list był niezupełnie zadowolniający pana hrabiego... nie byłbym z nim tak spieszył...

– A cóż by to pomogło? – odparł z rezygnacją hrabia. – I owszem, lepiej, że wiem, jak rzeczy stoją, może się da coś zaradzić... Jesteś przyjacielem naszego domu – dodał ciszej.

– Sługą wiernym – poprawił Pęklewski – niech hrabia wierzy, iż szczerzego nie ma.

– Ufam, że tak jest – kończył stary – i dlatego tak jestem otwarty. Roman popsuł sobie, jak widzę, w Gromach. Mój doktorze kochany, nie wiem już, co począć... prosiłbym cię...

– Niech hrabia rozkazuje – podchwycił doktor.

– Jedź, czy co... pisać już próżno. Jedź ode mnie w poselstwie do baronówny – mówił z wolna hrabia – proś ją... sam nie wiem, co już radzić! niech przyjedzie jednego z tych dni na parę godzin do Pruhowa. Sam się z nią widzieć pragnę... to będzie najlepiej.

Doktor się żywo zakręcił.

– A jeśli pan hrabia by mnie potrzebował? – zapytał.

– Nie zabawisz długo, nie spodziewam się nic tak złego, nagłego. Więcej mi pomoże trochę lepszej nadziei niżeli wszelkie leki.

W ten sposób złożyła się nagle podróż Pęklewskiego do Gromów, która niezmierne tam wywołać miała zdziwienie. Zamiast powrotu posłańca, którego doktor zabrał z sobą za powozem, hrabia Roman doczekał się przyjazdu i nastraszył tak, że zbiegł ze wschodów, aby Pęklewskiego rozpytać, co się stało.

– Nic nie ma nowego – odparł doktor – mam polecenie do baronówniej... Romanowi tryumfem zabłysły oczy.

– Hrabia prosi ją, aby go odwiedziła na parę godzin.

Nie pytał już więcej, Pęklewskiego wprowadzono zaraz. Znajomym był baronównie, która go sam na sam przyjęła. Miała ona przywiązanie do opiekuna i niespokojna o jego zdrowie naprzód zagadnęła o nie.

– O tyle, o ile w stanie tym dobrze być można, hrabia jest dobrze – rzekł Pęklewski. – Chociaż ja zawsze obawę o niego mam wielką. Wysłał mnie do pani.

Lola spojrzała zarumieniona.

– Hrabia prosi panią usilnie, abys go odwiedzić raczyła.

Nastąpiło dosyć długie milczenie.

– Prośba jego rozkazem jest dla mnie – odpowiedziała z wolna baronówna – jutro jadę. Pęklewski się skłonił.

– To go uzdrowi – dodał oglądając się po pokoju. – Muszę wyznać pani, iż go ostatni list hrabiego Romana mocno poruszył.

– Musiał się skarżyć na mnie – spokojnie poczęła baronówna, wstrząsała trochę głową i jakby zmieniając rozmowę powtórzyła: – Jutro jadę, wszystko się wyjaśni.

Smutna jej twarz, rezygnacja, małomówność uderzyły doktora, ale spełniwszy swe posłannictwo, nie mógł przeciągać rozmowy nadzwyczaj drażliwej. Zagadał więc o rzeczach obojętnych i miał nawet myśl uwolnienia baronówny od obecności swojej, a usunięcia się do Romana, aby nie być natrętnym, gdy do pokoju wszedł Nieczujski. Baronówna już go miała prezentować Pęklewskiemu, gdy ujrzała, że ci panowie ze zdumieniem i wahaniem się wzajem sobie nadzwyczaj pilnie przypatrywać zaczęli. Na ostatku Pęklewski nagle wstał i zawołał:

– Pan Adolf Nieczujski! Cóż pan tu robisz?

– Doktor Pęklewski! – odparł, ściskając dłoń jego Adolf.

– Panowie się znacie? – spytała zdziwiona baronówna.

– Od Berlina! – rzekł Nieczujski śmiejąc się. – Doktor Pęklewski część swoich studiów tam odbywał, a ja wszystkie.

Po krótkiej rozmowie Pęklewski, zamiast udać się do Romana, zaciekawiony mocno wyszedł z Nieczujskim do jego pokoju w oficynie. Tu się uściskali na nowo.

– Co ty robisz? – spytał Nieczujski.

– Jak widzisz, staram się czegoś dobić z moją nieszczęśliwą medycyną. Jestem tymczasem nadwornym doktorem pana hrabiego Zebrzydowskiego i jego totumfackim¹⁸⁴, a troszkę, pochlebiam sobie, faworytem. Do wielkich rzeczy to nie prowadzi, ale zawsze jest to czegoś początek, ale ty?

¹⁸⁴ t o t u m f a c k i (łac.) - człowiek, który komuś wszystko załatwia, którego można użyć do wszelkich posług, który narzuca się ze swymi posługami

– Moja historia daleko jest od twojej osobliwsza – odparł śmiejąc się Nieczujski. – Wpadłem tu zupełnie nieznamy, po trosze jak Piłat w Credo¹⁸⁵. Mam tu stryjenkę, kapitanową, chciałem ją poznać i odwiedzić – tu westchnął – zamiarem moim było krótko bardzo zabawić i powracać, bom zajęty i wybrałem się w podróż dla pewnych studiów przemysłowych. Tymczasem znalazłem tu taki skład okoliczności, iż mnie w rekwizycją¹⁸⁶ wzięto... Będziesz mnie mógł może objaśnić.

Pęklewski minę zrobił zafrasowaną.

– Cóż, u licha – przerwał Adolf – jesteście starzy towarzysze i przyjaciele, zaufania nie zdradzę ani go nadużyję, możesz być ze mną otwartym. Dzieją się tu takie rzeczy, które w zwykłych życia stosunkach nie trafiają się, wytłumaczysz mi je i objaśnisz. Moja kuzynka ma opiekuna który ją gwałtem chce wydać za synowca.

– Jak to gwałtem? czy baronówna nie chce wyjść za niego? Słowo dała.

– Ale serca nie dała – odparł Adolf – to nie ulega najmniejszej wątpliwości, małżeństwo, jakie się składa, najwidoczniej źle każe wróżyć o przyszłości, któż jest ten umierający despotyczny opiekun, co je klei?

Pęklewski spoważniał bardzo.

– Hrabia Filip jest moim pryncypałem, protektorem i człowiekiem, któremu wielce zobowiązany. Surowo go sądzisz. Nie jest to despota, ale człowiek silnej woli i rozumu wielkiego. Synowca chce ożenić, aby go majątkowo podnieść, to być może, ale przekonany jestem, że energiczny dosyć charakter baronówny i nieszkodliwa nicość, ale to w sekrecie zatrzymaj, hrabiego Romana wchodzi u niego na rachunek. Panna będzie panią w domu i powoli go na pasku poprowadzi.

Nieczujski ramionami ruszył.

– Ale ją poświęca – wyrzucił – to się nie godzi.

– Według swojego przekonania, nie. Roman jest chłopak uczciwy, tylko sparaliżowany wychowaniem. Zdaje mi się, że stryj, widząc to, małżeństwa pragnie dla niego, aby ona za oboje rozumem starczyła, lecz i jej z nim źle być nie może, chłopiec przystojny, dobrze wychowany.

– A! to się u was nazywa dobre wychowanie – przerwał niecierpliwie Nieczujski – że po woskowanych posadzkach ślizgać się będzie umiał z szykiem, mój doktorze!

Z kolei doktor ramionami ruszył.

– To się nazywało dotąd dobrym wychowaniem – rzekł – gdy młodzieniec wielkiego domu elegancko dom reprezentował. Nie wymagano odeń nic więcej. Chciano panicza z niego zrobić i tak go wystrychnęli.

– Przypuść, że nieszczęście, które może wszystkich spotkać, nawet takiego Zebrzydowskiego, przypuść, że zubożeje, że jutro nic mieć nie będzie, co po cznie?

Pęklewski zmilczał.

¹⁸⁵ j a k P i ł a t w C r e d o - zupełnie nie w porę, niepotrzebnie

¹⁸⁶ r e k w i z y c j a (łac.) - tu: żądanie udzielenia pomocy przy prowadzeniu jakiejś sprawy

– Lekcje tańca dawał i uczył menueta¹⁸⁷, a w dodatku – począł żywo Adolf – co za idea ślub przyspieszać, nie dać się im rozpatrzyć, poznać, samym o sobie wyrokować.

Doktor począł chodzić zamyślony.

– Dajmy temu pokój, co jest i co być musi – dodał – my na to nie poradzi-
my.

– Być może, ale na to z zimną krwią patrzeć niepodobna – odparł Nieczuj-
ski. – Owszem, jestem tego przekonania, iż powinniśmy wszyscy zapobiec
nieszczęściu, które się w oczach naszych gotuje.

– Lecz czyżby baronówna tak była przeciwną?

– Ona go znieść nie może i znosi tylko przez jakąś wdzięczność dla opieku-
na. Zdaje mi się jednak, że żądać, by ją tak daleko posuwała...

– Dajmy temu pokój – powtórzył Pęklewski – mnie nawet mówić nie wypa-
da. Niech się sobie dzieje, co chce. Co mi tam do tego! Nie mieszam się do
niczego.

Nieczujski spojrział - doktor Pęklewski zabierał się do drzwi.

– Jakże ty jesteś z hrabią Romanem?

– Nijak – rzekł śmiejąc się Adolf – on mnie ignoruje, a ja mam litość nad
nim. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, ja mu zawadzam, a on mnie niecier-
pliwi.

– Bądź co bądź, aby się i na mnie nie pogniewał za to, że tu przyszedł,
nie idąc wprzód do niego, pozwól, bym tam poszedł... powrócę.

Niespokojny wybierał Pęklewski szukać hrabiego Romana, słusznie się
domyślając, iż go odwiedzi w oficynach zniecierpliwia. Zastał go chodzące-
go po pokoju, ręce w kieszeniach, z miną pańską i chmurną.

Doktorowi szło o to bardzo, aby się w łaskach u hrabiego utrzymał, do-
strzegł zaraz chmury i usiłował je rozpedzić.

– Hrabia daruje, że tu nie pospieszył, znalazłem niespodziewanie dawne-
go uniwersyteckiego towarzysza i chciałem się z nim rozmówić, przyznaję się,
ażeby z niego coś wyciągnąć.

Roman popatrzał.

– Cóż to jest ten Nieczujski? – spytał.

– Był to bardzo dobry uczeń w uniwersytecie i, jak sędzę, zamożny oby-
watel.

– Garbarz.

– Może być, że ma garbarnię.

– Włazł tu i siedzi, nie wiedzieć czego... prosty człek, nieznośny i daje sobie
tony. Pan byś mu choćby ode mnie dać powinien do zrozumienia, że najlepiej
by zrobił, gdyby sobie stąd pojechał.

– Ja sędzę, że on to uczyni i bez mojej rady, bo mu, jak mówi, do domu
pilno.

– Bardzo się cieszę.

– Baronówna jutro jedzie do Pruhowa, cóż on tu będzie robił?

¹⁸⁷ m e n u e t (fr.) - taniec w wolnym tempie, rozpowszechniony w XVII i
XVIII wieku

– Więc jedzie – uśmiechając się rzekł Roman – zatem i ja towarzyszę... to dobrze. Tu chwili nie było swobodnej, tak ta szlachta okoliczna się cisnęła... ohydnie.

Pęklewski milczał.

Hrabia był, jak na siebie, dosyć ożywiony, dobył chusteczkę i wachlując się nią mówił i chodził.

– Widocznie tu buntowano baronównę...

– Nie mogłem inaczej postąpić, tylko dać znać stryjowi. Jakież to na nim uczyniło wrażenie?

– Do mojego wyjazdu nic nie uważałem oprócz niepokoju i niecierpliwości – odezwał się doktor – lecz jeśli mam prawdę powiedzieć, lękam się, aby choroba, której postęp z trudnością mi przyszło zahamować, nie pogorszyła się.

Roman westchnął.

– Jedźmy dzisiaj – rzekł po namyśle – uprzedzimy baronównę.

Pęklewski skłonił się posłusznie, oba razem powrócili do salonu. Tu Lolę zastali spokojnie siedzącą z Hermą nad książką. Spojrzała na wchodzącego Romana i położyła swoją na stole. Z kapeluszem w ręku postępował ku niej krokiem mierzonym.

– Ponieważ pani była łaskawa przyrzec nam swą obecność w Pruhowie, chcę ją poprzedzić jeszcze dzisiaj. Doktor Pęklewski jest stryjowi potrzebny.

Lola skłoniła się tylko.

– Ja – rzekła zwracając się do doktora – kazałam już konie rozstawić, tak abym jutro, choć późno, powrócić mogła, wyjadą przede dniem, będę więc w Pruhowie wcześniej.

Prawie natychmiast nastąpiło chłodne pożegnanie, gdyż Roman odmówił zaproszenia na herbatę i pośpiesznie wyszedł ciągnąc za sobą Pęklewskiego, który ledwie otrzymał pozwolenie pożegnania dawnego towarzysza.

– Jak to? jedziecie zaraz? – zapytał Adolf.

– Każą mi, muszę.

– No i znowu lat dziesięć widzieć się nie będziemy.

– Być może.

Ścisnęli się za rękę.

– Doktorze – odezwał się Nieczujski – powiem ci szczerze, żal mi cię, grasz rolę dworaka, z którą ci ciężko i która cię do niczego nie doprowadzi. Wolałbym, żebyś w małym miasteczku biedę klepał, dorabiając się uznania i klienteli.

– Być może, iż na tym skończę – szepnął Pęklewski.

– Aleś od tego zacząć był powinien – zakończył Nieczujski i uściskał go. – Życzę szczęścia.

Już u progu schwycił go jeszcze.

– Jeśli ci się zręczność trafi – dorzucił – spełnij obowiązek i odradzaj staremu, aby ich nie żenił. Niewymownie mi tej kobiety żal, którą ten człowiek pociągnie w swój świat i moralnie zabije.

Uwolnił się Pęklewski nie dawszy odpowiedzi.

W pół godziny potem ekwipaż hrabiego wyruszał sprzed ganku. Herma, patrząc oknem, odezwała się:

– A! gdyby raczył nie wracać!...

Lola z głową spuszczoną nad książką, westchnęła tylko.

Do dnia wyruszyła baronówna, uprosiwszy z sobą kapitanowę, która jej towarzyszyła. Nieczujski przyszedł się pożegnać do powozu. Na widok jego Lola wydobyła rękę, by mu ją podać.

– Panie Adolfie! – zawołała cicho – nie opuszczaj mnie pan... siedź! Proszę, nie myśl o wyjeździe, póki się moje losy nie rozstrzygną. W panu czuję jakąś męską nad sobą opiekę.

Konie ruszyły, Adolf długo zamyślony pozostał, zawrócił się potem i poszedł do swych książek do oficyny.

Herma, która się nudziła, gdy jej kilka tylko godzin sam na sam z sobą zostać przyszło, nie wiedziała, co począć. Czytała, grała, patrzyła w okno, ziewała, gniewała się, drzemała, a gdy pora obiadowa zbliżała się zaczęła, posłała bez ceremonii po pana Adolfa, który nadszedł.

– Pan jesteś niegrzeczny – przywitała go od progu. – Wiesz, ja jestem samiućka jedna, skazana na nudy, i nie domyśliłeś się przyjść mnie bawić.

– Ale bo widzi pani, ja i zabawny nie jestem, i bawić nie umiem.

– To trochę prawda, alebyś się nauczył, jakbym panu dała kilka lekcji. Pan jesteś dziwny człowiek – dodała Herma – pan jesteś bardzo dziwny.

– W czym?

– We wszystkim. Grasz, choć młody, rolę sensata¹⁸⁸, dobrowolnie się czynisz nieznośnym.

– Nie jestem tu w swoim żywiole – odparł Nieczujski – niech mi pani wierzy, iż właśnie żadnej roli grać nie umiem i nie gram. Jestem całe życie tym nudnym człowiekiem, jakim mnie Pan Bóg stworzył.

Spojrzała nań Herma dziwnie.

– No, nie powiem, żebyś pan był nudnym, ale ekscentrycznym. Trochę więcej salonowej polityry by nie zawadziło...

– Tej już nie nabędę – rozśmiał się Nieczujski – a w towarzystwie, w jakim żyję zwykle i do którego wrócę prędko, ona mi niepotrzebna.

Herma podparła się na rękę i zadumała.

– Wiesz pan – rzekła cicho – kto inny na jego miejscu umiałby korzystać z tak dziwnego składu okoliczności.

– Dla nabycia polityry? – spytał Adolf.

– A! nie! – niecierpliwie nóżką tupiąc dodała Herma. – Jak to? więc pan jesteś ślepym?

– O czymże mowa, nie wiem? – podchwycił Nieczujski.

Popatrzywszy mu w oczy piękna pani mówiła dalej, ciszej coraz.

– Kto inny na pańskim miejscu powziąłby niechybnie myśl, choćby zuchwala, korzystania z tak nadzwyczaj mu przyjaznego usposobienia Loli.

Widząc Adolfa, który w nią wlepił oczy zdziwione, jakby zrozumieć nie mógł, co chciała powiedzieć, Herma poruszyła się żywo i dodała:

– Nudny pan jesteś! czyż jeszcze nie rozumiesz?

– Słowo pani daję, że nie mogę zgadnąć, o co chodzi – odpowiedział spokojnie Nieczujski – nie mam sobie do wyrzucenia, abym nie korzystał z dobrego usposobienia baronówny. A ilekroć się zdarzy, daję jej jak najsumieniejsze rady...

¹⁸⁸ s e n s a t (łac.) - człowiek przesadnie poważny

Herma się śmiała, popatrzyła długo, długo na Adolfa, skrzywiła piękne usta, pokręciła główką i cicho szepnęła jakby do siebie:

– Jakiż pan jesteś naiwny!

– Mógłbym się pogniewać za ten przydomek – przerwał Nieczujski – bo to synonim niemal... głupiego.

Ruszyła ramionami Herma.

– Widzę – odezwała się – z panem inaczej mówić potrzeba. Ja jestem ciągle z Lolą, zwierza mi się, co myśli i czuje, prawie mimo woli, mogę więc o tym sądzić i nie myślę się, że ze wszystkich mężczyzn, jacy tu bywają i co się jej poznać dali, pan u niej miałeś najwięcej szczęścia, ale najmniej na to zasłużyć się starałeś. Jak ono się panu dostało, nie wiem, lecz widzę, że Lola ma dla pana skłonność.

– Przyjaźń – przerwał rumieniąc się Adolf.

– Ale co tam przyjaźń! – uderzając o stół ręką dodała Herma – gdybyś pan umiał korzystać, powtarzam, łatwo by się zrobiło gorętsze uczucie...

Nieczujski dziwnie wstrząsnął głową.

– W żaden sposób być to nie może – rzekł – ja i ona wychowaliśmy się i przeznaczeni jesteśmy do dwóch różnych wcale światów, mogą się znaleźć pewne sympatie i zgodności, lecz tylko dlatego, że się za mało znamy. Baronówna ma błyszczeć na wielkim świecie, do którego ja nie jestem stworzony, jam człowiek pracy, a ona...

Nie dokończył.

– Właśnie może te sprzeczności ją do pana zbliżają – poczęła Herma. – Zresztą ja w rozbiór przyczyn i odgadywanie pobudek zapuszczać się nie umiem, ale dosyć niedyskretnie zdradzam przyjaciółkę. Ona cały dzień nie myśli, nie mówi, nie troszczy się, tylko o pana...

Nieczujski mocno się zmieszał.

– A! to się pani zdawało – zawołał – jest tym grzeczniejszą i troskliwszą, żem tu gościem i że chce mi życzliwą i gościnną się okazać.

Herma porwała książkę ze stołu, otworzyła ją i nagle zdesperowawszy zaczęła ją czytać. Adolf, zobaczywszy to, wziął się do przeglądania albumów. I była długa milczenia chwila, lecz ukradkiem badając twarz Adolfa, Herma łatwo się przekonać mogła, że iskra, którą rzuciła, nie wpadła w wodę i nie zgasła. Pan siebie i umiejący rządzić nawet wyrazem twarzy, Nieczujski był widocznie pod wrażeniem tego, co świeżo usłyszał. Siedział zadumany, z oczyma wlepionymi w książkę, w której nic nie widział.

Machinalnie przewracał karty, czoło jego marszczyło się i wygładzało, wewnętrzna walka wstrząsała przez chwilę spokojną duszą. Znać, że się musiał głęboko zatopić w sobie, bo gdy oznajmiono do stołu i Herma wstała, przyszała do niego, wyciągnęła doń rękę, aby ją prowadził, to stała nie postrzeżona długo i śmiechem dopiero potrafiła go rozbudzić. Zerwał się przelekły, oglądając się, jakby nie wiedział, czego może chcieć od niego.

– Jeszczem tak zamyślonego człowieka czy tak roztargnionego nie widziałam w życiu. Kwadrans stoję przed panem i nie widzisz mnie. Solski oznajmił głośno, że dano do stołu, drzwi się odmykały...

– Najmocniej przepraszam – rzekł zmieszany Nieczujski – to skutek tego, gdy człowiek pracy, jak ja, za długo się od niej oderwie. Masz pani słuszość, naówczas naiwnym się staje... głupieje. To się mnie trafiło – dodał prowadząc

ją do stołu – a zapobiegając, aby choroba nie wzięła góry, trzeba uciekać, trzeba uciekać!

Nie odpowiadając nic Herma popatrzała na niego, siedli do stołu i obiad przeszedł na obojętnej rozmowie. Dopiero przy deserze, gdy służba się oddała, założywszy piękne rączki jedna na drugą, pani Grzegorska westchnęła.

– Nie uwierzysz pan – rzekła – jak mi tej Loli żal. Zawsze myślałam, że ona jak ja będzie się komentować tym światem i tymi ludźmi, wśród których żyć jesteśmy zmuszone. Dopiero od niewielu dni poznałam ją lepiej, ona będzie nieszczęśliwą.

– Tak – odparł Adolf – jeżeli pójdzie za hrabiego Romana, to pewna, lecz mnie się zdaje, że powinna się uwolnić z tych więzów i czekać, aż się jej trafi ktoś, co by ją ocenić, zrozumieć i zastosować się do niej potrafił. Wielki świat – mówił dalej – obfituje wprawdzie w świecące lalki i ludzi tak upoliturowanych, że spod polityry nie widać, z jakiego są drzewa, ale znajdują się wśród niego ludzie wykształceni, poważni i tworzący sobie w życiu zadania, które spełniają. Wszakże baronówna na jednego z takich trafić może.

– Dosyc to trudne – odezwała się Herma. – Ja, przyznam się panu, wolę żyć w tym pustym świecie, z ludźmi pustymi, z których się śmieję i rzucam nimi, jej to nie starczy... Za wiele wymaga. Mnie ci panowie bawia, ją nudzą. Trochę jest ekscentryczna.

– Ja tego nie znajduję – rzekł Adolf.

– Dodaj pan – kończyła Herma – że Lola nadto jest do pewnych form i ogłady nawykła, ażeby ją choćby w najidealniejszym człowieku nie raził brak pewnych warunków. Dla niej więc potrzeba człowieka... potrzeba człowieka... powiedziałabym, niemal takiego jak pan, gdybyś miał trochę lepszego krawca.

Nieczujski począł się śmiać,

– Daruj pani – przerwał – krawiec mnie nie uczyni, czym nie jestem, maniery hrabiego Romana nie nabiorę nigdy, a może i dobrego smaku, którego uprawę zaniedbałem.

Nagle Herma odwróciła się ku oknu i zmieniła temat.

– Pomyśl pan, co to się tam w tej chwili dzieje w Pruhowie! Mnie to przez cały dzień nie wychodzi z głowy. To widzenie się ze starym hrabią, ta przewaga, jaką on ma nad nią, mogą ją zmusić do stanowczego poświęcenia się... Biedna Lola! Taką mieć kulę u nogi jak ten Roman.

– Ale dlaczegoż ma znowu tak ulegać opiekunowi?

– W tym wszystkim jest dla mnie jakaś tajemnica. Matka podobno umierając i znając swego męża, który był tak wyłącznie biurokrata, iż się do niczego więcej nie zdał, zdała opiekę na przyjaciela domu, hrabiego Filipa, ojciec umierając naznaczył go opiekunem córki.

Spuściła oczy Herma i cichuteńko szepnęła:

– Wie pan, nie chcę posadzać, ale to tak jakoś wygląda i ludzie tam coś mówią, jak gdyby między hrabią a matką baronówny była jakaś bardzo serdeczna przyjaźń, która tę opiekę jeszcze troskliwszą czyni.

– Lecz to właśnie powinno by opiekuna skłonić, aby wszystko szczęściu pupili poświęcił – rzekł nie chcąc badać Adolf.

– Tak, lecz hrabia chciałby dziedzica swego imienia i majątku połączyć z tą, którą też kocha jak w ł a s n e d z i e c i ę – dokończyła Herma. – A – rzekła po chwili – nie położę się spać, dopóki Lola nie powróci i póki się nie

dowiem, co się tam stało. Baronówna powie mi wszystko... Dzień taki mi się wydaje nieznośnie długi!

To mówiąc wstała od stołu, Adolf odprowadził ją do salonu i jak mógł najprędzej, uciekł do oficyny.

Po wyjeździe doktora Pęklewskiego z Pruhowa, nad wieczorem, hrabia Filip uczuł się gorzej nieco i kazał odprowadzić do łóżka. Wziął lekarstwo, odmówił wieczerzy, skarżył się na ból głowy, służący, który w ciągu tej choroby zawsze był przy nim, znalazł, że nogi znowu więcej namiękły, i zdało mu się, że puchlina postąpiła wyżej nieco. W nocy była lekka gorączka. Sługa chciał posłać, nic nie mówiąc, po doktora, lecz niewiele by to powrót przyspieszyło, którego się w każdym razie spodziewano dnia tego. Jakoż nad rankiem Pęklewski przybył z hrabią Romanem i nie spoczawszy, pobiegł się zaraz dowiedzieć do pokoju chorego. Tu mu powiedziano, jakie zaszły zmiany, ale hrabia nade dniem zasnął, sprawdzić więc ich i rozpytywać się nie mógł. Pęklewski położył się w drugim pokoju na kanapce, aby być gotowym, gdy chory się przebudzi. Niedługo spoczywał, bo głos hrabiego dał się słyszeć i pobiegł zaraz do niego. Chory, postrzegłszy go, podniósł się żywo i pierwsza rzecz, o którą spytał, była:

– A cóż? baronówna? kiedy?

– Będzie tu za godzin kilka, myśmy ją z hrabią Romanem poprzedzili.

Głowa starego opadła na poduszki, lecz natychmiast prawie podniósł się i chwycił doktora za rękę ciągnąc go ku sobie. Oczy mu błyszczały chorobliwie, usta miał spalone, oddech przyspieszony.

– Mój Pęklewski – mówił prędko i gorączkowo – ty z całą swoją nauką i poczciwością nic nie poradzisz na to, zwlec można koniec choroby, ale go niepodobna odmienić, ja to wiem. O życie mi nie idzie, chodzi mi o to, ażebym dokonał, co mi każe serce i sumienie, potrzebuję na to czasu i siły. Jest mi gorzej, zdaje się, że puchlina postępuje. Zrób, co tam wiesz i umiesz, aby ją uprosić o folgę, choćby to w rezultacie skrócić miało konanie... Jutro przyjeżdża baronówna.

– Dziś – poprawił Pęklewski – bo oto już dnieje, a za kilka godzin tu stanie.

– Tak, prawda, prawda, noc przeszła – rzekł hrabia – przebyłem ją w gorączce. Dajże mi co, abym przytomnym był i silnym, i swobodnym... potem niech już będzie, co chce...

– Ja myślę – pospieszył doktor – że pan hrabia nic nie potrzebujesz, tylko trochę wypoczynku.

– Tak, a spokoju, który by dał wypoczynek, wyrobić na sobie nie mogę – odparł śmiejąc się smutnie hrabia.

Doktor wziął za puls.

– Poradzimy na to – rzekł – lecz niech pan hrabia dopomoże lekarstwu tą silną wola, która działa cuda, trzeba chcieć... myśli niepokojące odegnać i zasnąć.

Pęklewski z jednej z flaszek stojących przy łóżku wziął ciemną miksturę i podał jej łyżkę hrabiemu, który posłusznie połknął i spiesznie przyłożył głowę do poduszki.

– Zbudźcie mnie, gdy myślicie, że będzie miała nadjechać, potrzebuję się ubrać.

Zasłonięto firanki, Pęklewski rzucił się w fotel, lecz znać było, że go to wszystko dosyć niepokoiło. Roman wypoczywał i zajmował się rozporządzeniami na przyjęcie narzeczonej.

Około godziny jedenastej dano znać, że powóz od strony Gromów się zbliża. Staraniem hrabiego przygotowane były pokoje dla baronówny, w których przebrać się, spocząć i śniadanie znaleźć miała. W chwili gdy powóz zachodził przed ganek, stary hrabia się przebudził.

– Przyjechała? – zapytał.

– W tej chwili – odezwał się Pęklewski.

Sen trochę w istocie uspokoił chorego, który kazał sobie podać zwierciadło, spojrzął w nie i nic nie mówiąc zażądał, aby go ubrano. Ubiór ten mógł tylko do połowy jego osoby być zastosowany, nóg bowiem tknąć nie było można, obwinęto je tylko świeższą kołdrą i hrabiego przeniesiono na krzesło o kółkach, które z nim razem zatoczono do saloniku.

Kazał zawołać hrabiego Romana.

– Widziałeś Lolę? – spytał, gdy wszedł.

– Przyjałem ją, gdy z powozu wysiadła – odpowiedział hrabia – kazała mi powiedzieć, że gdy stryj zechcesz, w każdej chwili widzieć się z nim może. Nie rozumiem nawet tego, bo sędzę, że się ubierać musi...

Stary spojrzął na zegarek.

– O której przybyła? – spytał.

– Było około jedenastej.

Pomyślał nieco hrabia Filip, była dwunasta godzina.

– Będę musiał nieco dłużej pomówić z baronówną – rzekł do Romana – bądź gotów, gdybym wskutek rozmowy zawołał, będziesz mi potrzebnym.

Roman się skłonił, był zaś w zupełnej gotowości, gdyż powróciwszy wziął kąpiel, zjadł, przespał się nieco i nowe włożył ubranie, takie wytworne i tak skromne, iż mógł się w nim ukazać choćby na śniadanie u dworu. W krawacie fantazyjnym, który we własnym domu i przed obiadem uchodził, wpięta była śpilka rzadko się ukazująca. Wyobrażała ona główkę osłoniętą tajemniczo, z palcem na ustach. Jubiler myśli i rysunek tego cacka zapożyczył ze sławnej rzeźby Preaulta¹⁸⁹.

Roman był tego dnia nadzwyczaj z siebie zadowolniony. Nie więcej nad kwadrans pracował nad politurą paznokci, które błyszcząły jak opale¹⁹⁰ i kształtem owalnym mogły zazdrość obudzić w kobiecie. Ręka nie była zbyt małą ani bardzo wdzięcznych kształtów, lecz sztuka poprawiła naturę.

Zebrawszy myśli hrabia Filip dał znak, aby go wytoczono do salonu. Doktor miał oznajmić baronównie, iż opiekun tam czekał na nią. Wkrótce otwarły się też drzwi i Lola w skromnym stroju podróżnym, czarno ubrana weszła.

Oczy hrabiego wlepione we drzwi na chwilę z niej nie zwróciły się, twarz przybrała wyraz smutny.

Lola pomieszana, ale z uczuciem wielkim, zbliżyła się doń usiłując się uśmiechnąć.

¹⁸⁹ P r e a u l t Auguste (1809 - 1879) - rzeźbiarz francuski wykształcony w kierunku naturalistycznym, tworzył dzieła o tendencyjnej treści: *Głód, Nędzia*. Dla kościoła Saint - Gervais wykonał *Chrystusa na krzyżu* i posąg św. Gerwazego.

¹⁹⁰ o p a l - półszlachetny kamień barwy mlecznej, mieniący się kolorowo

Przywitanie było milczące, lecz serdeczne; hrabia wskazał obok przygotowany fotel. Ledwie mógł mówić, tak był wzruszony, wziął ją za rękę i całując pocałował:

– Widzisz, nie jestem bardzo dobrze, a tak mi życie potrzebne, właśnie gdy ode mnie ucieka.

– Ale gorzej przecie nie jest?

– Ani lepiej – rzekł hrabia – dni moje policzone, a jak we wszystkich ludzkich rachunkach coś na omyłkę też potrzeba mieć w zapasie. Moja Lolu kochana, chciałem cię widzieć koniecznie, aby prosić, byś mi choć zgon lekkim uczyniła i spokojnym. Chcę umrzeć, widząc twój los ustalony i przyszłość Romana. Co masz przeciwko niemu?

Spojrzał na nią, oczy miała spuszczone i milczała.

– Kochany opiekunie – odezwała się, z ciężkością dobywając wyrazów z siebie – nic nie mam przeciw niemu, ale nic za nim oprócz twej woli.

– Tak, lecz spuśćże się na to, iż wola moja nie jest dziwactwem, nie jest chorobliwym marzeniem, jest rachubą na szczęście wasze. Znam Romana bardzo dobrze. Znam go lepiej niż ty, nie jest człowiekiem złym, lecz, niestety, pragnąc z niego uczynić dziedzica wielkiego domu, zatrzeć ślady pierwotnego wychowania, trafiłem na naturę miękką, która się inaczej obrobić nie dała. Jest dobrym, jest szlachetnym, ale jeśli ty go nie uratujesz, on zginie... Z nim imię nasze i moje ostatnie nadzieje. Nie żądam ofiary, bo wiem, że potrafisz go poprowadzić i będziesz szczęśliwą, to jest panią swej woli i losów. Romana znam, innego, jakiego byś wybrać mogła, ocenić bym tak nie umiał, lękałbym się o ciebie, wierz mi, umiej go prowadzić, prowadź, stanie ci się posłusznym.

– Kochany hrabio – odezwała się po namyśle baronówna – dałam słowo, będę posłuszną, lecz pozwól mi westchnąć nad tą smutną koniecznością prowadzenia tego, który by właściwie moim być powinien przewodnikiem.

– Twoim? – podchwycił hrabia uśmiechając się – ja cię tak jak jego znam od dziecka, widziałem cię rozwijającą się i rosnącą, nie sądzę, żebyś była stworzoną do podległości.

– Lecz czyż w małżeństwie nie ma nic nad tę konieczność, ażeby jedno z dwojga panowało? – zapytała Lola.

– Mogłoby się trafić – odezwał się hrabia – że dwa charaktery dobrałyby się zupełnie równej siły, ale jakże to rzadko się zdarza... Naówczas, gdy ostygnie miłość, rozpoczyna się walka, siły się równoważą i małżeństwo staje się, jak książę S. umierając mówił, trzydziestoletnią wojną.

– Ja nie znam wcale świata – poczęła Lola, gdy zamilkł – inaczej sobie jednak wyobrażałam przyszłość. Chciałam, by w pomoc jej przyszło serce, żeby się zrodziło uczucie. My się nic a nic nie znamy!

– Byłoby to wymówką dla mnie – odezwał się stary hrabia – żem was za-wczasu nie zapoznał i nie zbliżył, ale przyznam ci się, żem się tego obawiał więcej, niż po tym spodziewał. Ta myśl, że możecie być dla siebie przeznaczeni, wstręt by obudzić mogła.

– Pozwól mi być otwartą – zaczęła Lola coraz odważniej, widocznie usiłując się zdobyć na siłę – chcesz mojego szczęścia, byłeś przyjacielem mej matki, doradcą ojca, byłeś mi ojcem przybranym...

Hrabia chwycił ją za rękę i spojrzał na nią z czułością, łzy mu się potoczyły z oczów.

– Czyż pewien jesteś, że dla hrabiego Romana i dla mnie związek ten będzie szczęściem, nie niedolą i niewolą?

Stary milczał długo.

– Któż czegokolwiek na świecie mógł kiedy być pewnym – rzekł spokojnie – ale wy, młodzi, macie złudzenia, z których mnie życie wyleczyło, wy wierzyście w siły, w zjawiska, w szczęście, w marzenia, których nicości nauczyło mnie ono. Dlatego zdaje mi się, że za was i dla was obojga widzę jaśniej, rachuję ściślej i że się nie mylę. W każdym razie moja rachuba ma więcej szans prawdy niż inne. Czyż Roman biedny tak ci jest wstrętnym?

Lola na usta już biegnące słowo wstrzymała, ręce jej ścisnęły się mocno i szybko poprawiła się:

– Nie.

– Ośmiel go, pozwól mu się zbliżyć – błagał stary. – Powtarzam ci raz jeszcze, on jest mojego rodu nadzieją, moją przyszłością, którą chcę w twe ręce oddać i powierzyć. Nazwisko nasze piękne, stare, zasłużone chcę uratować od zapomnienia i zguby... to, to jedyne moje pragnienie, to był cel mojego życia od czasu, jak innego się wyrzekłem. Nie mam nikogo oprócz Romana, a Roman sam, bez ciebie, zginąć może lub się zmarnować. Z drugiej strony o los twój mi idzie. Kocham cię więcej niż jego, przyszłość twoja obchodzi mnie jak własnego dziecięcia.

Głos starego był tak błagalny, tak przejęty, iż Lola wzruszyć się nim dała.

– Kochany hrabio – rzekła – spełni się wola twoja, lecz te dni, które mi dałeś, to ostatnie dni swobody... nie odbieraj mi ich. Ja ich potrzebuję, aby zwyciężyć samą siebie, aby się oswoić z tą przyszłością i z tym człowiekiem... Daruj mi je.

– Ja ich nie odbieram – przerwał hrabia chwytając ją za ręce – lecz rachuję na ciebie...

Odetchnął nieco.

– Roman się skarżył – rzekł – że byłaś dla niego zbyt surową, natłok gości, których nacisku zrozumieć nie mogę, przeszkadzał mu się dać poznać. Skądże tak nagle sąsiadów czułość?

– Ja tego nie rozumiem – odpowiedziała baronówna i zamilkła.

Nic nie mówiąc hrabia wziął za dzwonek, który stał przy nim na stoliku, i zadzwonił. Kamerdyner ukazał się we drzwiach.

– Prosić hrabiego Romana – rzekł sucho.

Lola, usłyszawszy to, pobladła, ale spojrzenie na schorzałego starca odjęło jej odwagę odezwania się choć słowem. Czekwała z rezygnacją na przybycie zapowiedzianego, który ukazał się w całym blasku, z wyrobionym na ustach uśmiechem. Hrabia przybrał twarz niemal surową.

– Przywołałem cię – odezwał się – abyś jeszcze raz podziękował kochanej mojej pupili za dane słowo. Winienesz jej największą wdzięczność za to, że cię przyjąć raczyła, i spodziewam się, że ją całym życiem będziesz się starał okazać.

Hrabia Roman zmieszał się mocno, zarumienił, skłonił i wyciągnął rękę, sięgając po dłoń panny, którą chciał ucałować.

– Padnij jej do nóg! – zawołał stryj – nie będzie to za wiele. Mnie winienesz wychowanie i przysposobienie za syna, ale jej winien będziesz przyszłość całą.

Nawykły do posłuszeństwa, choć z pewnym wahaniem, Roman zbierał się przykleknąć na jedno kolano z należnymi dla ubrania swojego ostrożnościami, gdy Lola, której oczy łez były pełne, zerwała się z krzesła, by tej sceny uniknąć, i odbiegła kilka kroków.

Stary popatrzał na oboje i westchnął.

– Oboje jesteście młodzi i nieśmiali – szepnął po cichu – lecz mam nadzieję, iż bliższe poznanie te pierwsze lody połamie.

Roman widocznie chciał coś powiedzieć i nie wiedział, jak się odezwać.

– Pani zechce wierzyć – mówił jakając się – pani będzie przekonana, pani zaufa mi...

Lola spojrzała nań szybko. Nie dokończył już i w rękę drżącą pocałował.

Więcej na ten raz stryj wymagać nie mógł. Ażeby rozmowę z tego drażliwego sprowadzić tematu, spytał, czy Lola chce powracać tegoż dnia do Gromów.

– Muszę, kochany hrabio – odpowiedziała żywo – mam gości.

– Jak to! jeszcze gości? – zdumiony odezwał się hrabia.

– Tak jest, moją dawną koleżankę z pensji, przyjaciółkę najlepszą...

– A tak! panią Grzegorską – przerwał hrabia – lecz któż drugi?

– Daleki krewny nasz, synowiec kapitanowej.

– Ale ten przynajmniej nie powinien się liczyć do gości – odparł z uśmiechem hrabia – ma to być wcale pospolity człowiek, ubogi, bez wychowania.

Lola się zapłonila, oczy jej podniosły się i padły mimowolnie na Romana, jakby go oskarżały o tę złą opinię o panu Adolfie. Młody hrabia uczył to i zmieszał się nieco.

– Nie wiem, kto go tak hrabiemu odmalował – odezwała się baronówna. – Człowiek jest, w istocie, inaczej niż my, ale bardzo starannie wychowany, niedostatni może, lecz też niebiedny i wcale miły.

Starzec spojrzał zdziwiony.

– Wygląda jakoś oryginalnie – rzekł.

– Niezbyt się stara o powierzchowność – dodała baronówna – to prawda.

– Cóż to, długo ma zabawić w Gromach?

– Nie wiem, ale rada bym go zatrzymać, widząc, jaką to czyni kapitanowej przyjemność.

Zamilkli.

– Do tych gości musi zaraz przybyć Roman – cicho dodał hrabia – bo go wyprawię, aby się lepiej dał poznać. Sądzę, że i inni goście z sąsiedztwa, nasyćwszy ciekawość, nie będą natrętni...

– W istocie to był prawdziwy najazd – ośmielił się wtrącić hrabia Roman – co tylko miała okolica młodzieży, wszystko to wysypało się do Gromów.

Staremu błysnęły oczy złośliwie.

– Szkoda – począł jakby rozbudzony – że mnie nie prosili, abym ich rekomendował, miałbym zreczność o każdym dobre słówko powiedzieć, bo to wszystko dobrzy znajomi... Któż był? pewnie Ildefons hrabia Bramiński z mamą, którą ja jeszcze panną pamiętam. A! ciężko jej, ciężko nosić ten tytuł, jakiego się wcale nie spodziewała. Pan Ildefons ma wiele przymiotów, ale skrytych, bo ich nikt nigdy odkryć nie może... Musieli być Dambscy? Z papą? Prawda? ojciec i syn. Godni ludzie, oryginalni, bo ojciec wydaje się od syna młodszym... Nie zdziwiłbym się, gdyby się puścił w konkury! Myślę, że baronówna poznała i Pniewskiego z Pniewa z jego propinacyjną sławą, i Rębaczewskiego, postrach naszych ogrodów, i pana Modesta, który tak jest czyn-

ny, że nigdy nic zrobić nie miał jeszcze czasu, i Bończę z jego końmi i char-
tami.

Stary widocznie się rozpałał mówiąc o sąsiedztwie.

– Wszystko ludzie godni – dodał – nieszczęśliwi tylko, na ruinach, na dłu-
gach, na nadziejach, oczekujący z niebios posagu i panien. Hrabina Bramiń-
ska pości od lat dziesięciu na tę intencję, hrabia Damski co rok zjeżdża na
wieś zobaczyć, czy syn jego nie przestał poziewać i wzdychać... A! godni, mili,
nieoszacowani! Jakżeby radzi podchwycić mojemu synowcowi narzeczoną.
Jaki to tam musi być apetyt na Gromy!

Złośliwy ten wybuch wprędce wyczerpał starego hrabiego. W ciągu mowy
twarz mu się zmieniła, czułość na niej i wzruszenie znikły, nielitościwy sar-
kazm ją okrył. Baronówna słuchała z jakimś przestachem i zdziwieniem.
Inna strona tego człowieka odsłaniała się przed nią, gniew wewnętrzny ją ob-
nażał.

Ten, co przed chwilą był samą miłością i rozumem chłodnym, stał się nie-
mal namiętym i zajadłym. Jak gdyby odgadł wrażenie, które uczynił, nagle
wstrzymał się hrabia Filip, ręką wychudłą powiódł po czole, zakaszłał się,
oczy zamknął – potrzebował spoczynku po tym wysiłku wyczerpującym.

Skinał na Romana.

– Proś prędko Pęklewskiego – rzekł – aby mi przysłał lekarstwo, i każ da-
wać do stołu. Ja nie jem z wami, ale mojemu drogiemu gościowi towarzyszyć
będę do stołu, aby nań dłużej popatrzeć.

Wkrótce Pęklewski, we fraku już, ukazał się z flaszką, łyżką i niespokojną
twarzą, hrabia połknął podany mu napój, drzwi się otworzyły i ukazała sala
jadalna.

Starym obyczajem była ona razem portretową. Po rogach stali czterej ryce-
rze we zbrojach na straży tej galerii przodków okrywającej całe ściany. Prze-
pyszny gobelin zajmował część jedną, nie zajętą nimi.

Stół był zastawiony z przepychem, okryty srebrami, choć obiad przygoto-
wany był tylko na cztery osoby, a jedna z nich wcale go dotknąć nie miała,
bo stary hrabia jeść nie mógł i Lola też straciła apetyt po rozmowie. Kapita-
nowa tylko, podziwiając kuchnię francuską Pruhowa, jadła spokojnie za
wszystkich. Gospodarz i delegowany przezeń mistrz ceremonii, hrabia Ro-
man, usilnie się starali, aby przy tej zręczności okazać, na jakiej stopie dom
miał być utrzymywany. Hrabia Roman zajmował się sam oznaczeniem pra-
widłowego porządku w podawaniu win, których nikt nie pił. W srebro opraw-
ne kartki z programami obiadu, drukowane po francusku, leżały przed go-
ściami. Nie brakło nic choćby na przyjęcie koronowanej głowy. Służba szła
szybko, cicho, zręcznie i z pożądanym szykiem.

Dla Loli zamyślanej, roztargnionej, usiłującej na próżno twarzą wesołą oka-
zać opiekunowi wszystko to było straconym. Ocenić tego nie umiała, choć we
wszystkim lubiła elegancję i wytworność.

Hrabia, świeżo po lekarstwie, wyczekać musiał do końca obiadu, nim mu
filiżankę bulionu wypić było wolno. Uczta przeszła jakoś smutnie, podano
kawę czarną, a służba baronówny, zawczasu odebrawszy rozkazy, pośpie-
szyła z przygotowaniami do odjazdu i powóz stanął przed gankiem.

Hrabia usłyszał tętent koni i odgadł, co znaczył, pośpiech ten dotknął go
widocznie, posmutniał, wpatrzył się w twarzyczkę pupili, jakby ostatni raz
widział ją w życiu i chciał nią oczy nasycić.

– Spieszycie się bardzo – rzekł cicho.

– Musimy, kochany opiekunie – odparła Lola, która już nakładała rękawiczki i, zmęczona znać, pragnęła spoczynku i samotności.

Po chwili wstała dla pożegnania baronówna. Hrabia siedział blady w swym krześle.

– Któż wie, czy się jeszcze zobaczymy – rzekł cicho – moje godziny policzone... mam nadzieję, ale pewny nie jestem, czy dożyję chwili, co mi da spokój. Pozwól, bym, stary, pobłogosławił ci, podziękował.

Spojrzał jej w oczy przez łzy, które mu zwilżyły powieki, Lola wzruszona pochyliła się ku niemu.

– Bądź co bądź, niech ci Bóg w życiu błogosławi, jak ja błogosławię, powinnaś być szczęśliwą...

Po chwili milczenia wstała baronówna, doktor się znalazł przy hrabi, hrabia Roman, śmielszy po kilku wina kieliszkach, podał rękę narzeczonej, aby ją do powozu odprowadzić, odmówił jej, nie obrażając opiekuna, nie mogła, poważna i ostygła już przeszła salę nie mówiąc słowa. Nieczujka za to żegnając się śmiejąc, jakby czuła się w obowiązku trochę wesela rzucić na tę scenę zbyt żalobną i smutną.

Lola rzuciła się w głąb powozu, odetchnawszy swobodniej, konie ruszyły.

Fotel hrabiego, którego głowa na piersi opadła, przesuwali już służący do sypialni, szedł przy nim Pęklewski. Stary nie mówił słowa, zdawał się pogrążony w myślach i jakby chwilowo nieprzytomny, co przypisać było można zbyt niemu wysiłkowi dnia tego. Pęklewski nalegał, aby hrabia szedł zaraz do łóżka, co też wykonanym zostało.

Parę razy spojrzał na Romana, który powrócił, i nie mówiąc nic zabierał się do spoczynku.

Roman z doktorem wyszli do pierwszego pokoju, ostatni był mocno zakłopotany, tarł włosy i stękał.

– Lękam się – rzekł po cichu do Romana – abyśmy dzień ten nie byli zmuszeni opłacić zbyt drogo. W takiej chorobie wszelkie niezwykłe wzruszenie, wysiłek może za sobą pociągnąć bardzo złe skutki. Hrabia ma olbrzymią siłę ducha, ale i to się wyczerpuje.

– Byłoby jakie niebezpieczeństwo? – zapytał Roman trochę przestraszony.

Pęklewski poruszył ramionami.

– Dotąd go nie ma, ale co się do jutra stanie, za to ja ręczyć nie mogę...

To mówiąc padł na krzesło i zamyślony wsparł się na rękę.

Hrabia Roman uspokoił się i w tej chwili przypomniał sobie, iż w pośpiechu po tym uroczystym obiedzie wody ze skórka cytrynową do popłukania ust dać zapomniano.

To uchybienie wymagało surowego skarcenia, jakoż się udał niezwłocznie do kamerdynera, aby śledztwo przeprowadzić o wypadku, który mógł honorowi domu uczynić uszczerbek, gdyby został ogłoszony.

Nazajutrz po tym dniu pamiętnym, rano bardzo zbudził doktor Pęklewski śpiącego i owiniętego systematycznie w kołdrę, z pierzynką edredonową¹⁹¹ na nogach hrabiego Romana.

¹⁹¹ e d r e d o n o w y (f r.) - puchowy; edredon - cenny puch otrzymywany z kaczek edredonowych odznaczający się miękkością i sprężystością

Ponieważ zwyczajem było, iż go budził ekscytarz¹⁹² o naznaczonej porze, Roman, przetarłszy oczy, dorozumiał się zaraz, iż coś niezwykłego zająć musiało. Stojący przed nim blady doktor Pęklewski kazał się domyślać, iż chodziło o stryja.

– Jakże się ma hrabia? – zawołał.

– Ma się źle – rzekł sucho dosyć doktor – wstawaj pan, życzy się widzieć z nim.

– Cóż to hrabiemu?

– Puchlina postępuje do góry, jest źle, jest bardzo źle, od wczoraj pogorszenie ogromne, tracę nadzieję wszelką, powinniśmy się przygotować na to, co najstraszniejsze.

Zmieszany Pęklewski zaledwie mógł mówić. Nie mniej przerażony Roman ubierał się żywo, zapomniawszy teraz o wszelkich prawidłach i stopniowanych ablucjach¹⁹³. Francois, który szczęściem nadbiegł, pomógł mu do odziania się przyzwoitego, o którym nie myślał.

Była godzina piąta rano, dzień zaledwie poczynało. W pałacu panowała cisza jakby przedgrobowa, ludzie wszyscy byli na nogach, ale chodzili jak cienie... Z jednego okna sypialni przez zielone firanki blade przeglądało światło.

Tam czuwała resztką życia.

Gdy Roman wszedł z doktorem, hrabia chciał się podnieść z poduszek, poruszył głową, ale już dźwignąć jej nie mógł, ręka jego z niepokojem właściwym konającym poruszała się, chwytając bezmyślnie, co pod nią podpadło. Głos, który się dał słyszeć, był osłabły i zgasły.

– Siadaj przy mnie, tu – rzekł do Romana – com przewidywał, to się stanie. Źle jest ze mną.

Popatrzył na niego niespokojnie.

– Mój Romanie, co się stanie z tobą? Trzebaż, bym nawet nie dożył tego wesela? Cóż teraz będzie, co będzie, gdy mnie nie stanie?

Z politowaniem i niepokojem wlepił w niego oczy.

– Któż wie? – szepnął jakby sam do siebie – może by lepiej było, żebym cię był zostawił przy rodzicach i dozwolił im wychować własne dziecko?

Pęklewski zbliżył się do łóżka.

– Proszę, zaklinam, niech się hrabia uspokoi – rzekł – nie ma nic groźnego, słabość już była kilka razy na tym stopniu.

– Alem ja się nigdy nie czuł tak osłabłym, tak niespokojnym, tak źle – odparł cicho stary. – Gorzej jest, doktorze, niż kiedykolwiek było.

Oczyrna powiódł i zażądał, aby go podniesiono z poduszkami, oddychać coraz ciężej było... Widocznie spieszył się mówiąc, jakby obawiał, że mu czasu zabraknąć może.

– Wszystko jest w porządku – mówił schylając się ku Romanowi na pół osłupiałemu – testament mój w sądzie złożony, papiery zarejestrowane¹⁹⁴... Ślub trzeba przyspieszyć nie zważając na żałobę. Pogrzeb także.

Tu obejrzał się hrabia niespokojnie, skinał na synowca i szepnął mu do ucha głosem ledwie posłyszonym:

¹⁹² e k s c y t a r z (łac.) - budzik

¹⁹³ a b l u c j a (łac.) - mycie, obmycie

¹⁹⁴ z r e g e s t r o w a n y (łac.) - wpisany, wciągnięty w księgi

– Ojcu dasz znać później, nie trzeba, ażeby się tu pokazywał, to by ci zaszkodzić mogło, mnie też i pamięci mojej. Pojedziesz do nich, jeśli zechcesz.

Ręką przeciągnął po twarzy.

– Księdza! księdza! – zawołał nagle.

– Panie hrabio, spokoju, spokoju! – powtarzał Pęklewski, podając lekarstwo jakiejś ręką drżącą. Chory wypił je i zdawało się, że podziałało nań. Zamknął oczy, odetchnął lżej, ręce opadły nieruchome, piersi poruszały się z wolna.

Do pobliskiego probostwa pobiegł ktoś dać znać wikaremu, który sam tylko był w domu. Szczęściem ksiądz już wstał był i niedługo zjawił się we dworze. Hrabia zdawał się usypiać, lecz obudził się, odgadując przybycie wikarego, którego przywołać polecił.

Doktor Pęklewski trochę był przeciwnym przypuszczeniu go, obawiając się wrażenia, lecz rozkazowi wyraźnemu ulec musiał. Spowiedź trwała krótko, ostatni obrzęd odbył się z przytomnością zupełną, lecz po niej hrabia znowu skarżyć się zaczął na duszenie, kazał podnosić poduszki i tak, siedząc, drzemał znowu.

Hrabia Roman wyprowadził Pęklewskiego do przedpokoju.

– Mów mi pan, czy istotnie jest tak bardzo źle?

– Hrabia do jutra nie dożyje – odparł doktor – nie można się ludzić, wszelkie środki podtrzymania życia daremne.

Milczący powrócili do łóżka umierającego, który to usypiał, to budził się, oglądając na Romana, a ilekroć go ujrzał, jakby zgryzota mu dokuczała, zamykał oczy wzdychając.

Stan taki trwał do wieczora, nadeszła gorączka i chory stracił przytomność. Kiedy niekiedy wyrzywały mu się z ust wyrazy dziwne, dowodzące, że przez głowę osłabłą przesuwwały się marzenia z całego życia przypomnień.

– Oświecić salę! – wołał – wdziac wielkie liberie... żeby mi było po pańsku... Zdjąć z niego kalkulacją szczerze... rachunki są fałszywe... Pięćdziesiąt tysięcy czystego zarobku... Roman niech się uczy po angielsku... Brat mi tego za złe nie weźmie... uczynię szczęśliwym... To córka moja... to jej córka... jaka do niej podobna... tak jak ona smutna... niech zaraz do ślubu stają, zaraz... Ona go poprowadzi, jestem spokojny... *Je suis le comte Zebrzydowski!*¹⁹⁵ Kto przeczy? Zabiję! Wasza Ekscelencja raczysz przyjąć hołdy moje...

Urywane, bez związku wymykały mu się z ust te wyrazy przeplatane śmiechem i westchnieniem, w ostatku usta już tylko poruszały się bez głosu, oddech to ustawał, to wybuchał gwałtownie, walcząc sił ostatkiem z ugniatającym go ciężarem... śmiertelna bladeść pokryła twarz... oczy się zamknęły. Hrabia Filip Zebrzydowski nie żył.

Doktor Pęklewski, który stał przy łóżku, powolnie przycisnął na pół otwarte powieki. Roman stał osłupiały długo, musiał go odprowadzić do jego mieszkania. Tu dziedzic Pruhowa padł w fotel, aby siły odzyskać i powrócić do przytomności. W pałacu spodziewany zgon hrabiego nie wywołał żadnego poruszenia, wszystko zawczasu przygotowane było na wypadek pogrzebu.

¹⁹⁵ *J e s u i s l e c o m t e Z e b r z y d o w s k i !* (fr.) - Jestem hrabia Zebrzydowski!

Nie miał się więc nawet czym zajmować hrabia Roman oprócz żałoby, którą, natychmiast przywoławszy Francois, rozporządził, jak być miała urządzoną.

Nie wiedząc nawet o woli stryja, postanowił własnym domysłem pogrzeb uczynić jak najwystawniejszym, chociażby miał jak najwięcej kosztować.

W tym zresztą zgadzał się z nieboszczykiem, który podobnież zawczasu wydał rozkazy. Doktor zresztą wyręczał czynnie hrabiego Romana, przypuszczając, iż mu za to wdzięcznym być musi, że go zastąpi w chwilach, gdy wzruszenie nie dozwalałoby pomyśleć o niezbędnych drobnostkach. W kilka godzin jednak młodzieniec, pełen rozsądku i mocy nad sobą, już się sam począł troszczyć o spełnienie obowiązków, jakie nań wkładała śmierć stryja. Głowa jego pracowała nad tym głównie, aby w ceremoniale pogrzebowym nic nie było opuszczonym, czego tradycja, zwyczaje i sława wielkiego domu wymagały.

Przypomniał sobie, iż przyzwoitość kazała wystylizować *lettres de faire part*¹⁹⁶, które służyć razem miały za zapraszające listy pogrzebowe. Sam więc siadł do redakcji tego aktu historycznego i ułożywszy go, zadzwonił, aby mu przywołano Pęklewskiego. Szło o to, ażeby w najbliższym miasteczku, w drukarnię i litografię¹⁹⁷ zaopatrzonym, jak najdystyngowańszymi smakiem wykonywano co najrychlej listy.

Pęklewski akomodujący się¹⁹⁸ niezmiernie wziął to na siebie.

Lecz nie dosyć na tym było – to, co miało służyć dla wszystkich, nie mogło być użytym dla przesłania żałobnej wieści do Gromów. Uczuł hrabia Roman, że szczególnie stosunek, w jakim się do narzeczonej znajdował, obowiązywał go do własnoręcznego listu. Ani się z nim też opóźniać godziło. Siadł natychmiast do rozwiązania zadania, które w pocie czoła udało mu się z zachowaniem form wszelkich wygotować na czysto w przeciągu niespełna godziny.

Wiadomość o zgonie hrabiego rozeszła się zresztą z szybkością niezmierną rozmaitymi kanałami po całym sąsiedztwie, a raz dopłynawszy do miasteczka, z niego rozlała się tegoż dnia na dalsze okolice. Nie wiedziano tylko w Gromach o niczym, bo nikt by był nie śmiał do dworu śpieszyć z wieścią tak smutną. Tegoż dnia dowiedział się Bończa, hrabia Ildefons, Modest i inni i nowina ta wszędzie wywołała nadzwyczajne wrażenie. Wiedziano powszechnie o tym, iż hrabia Roman miał słowo panny, słyszano z różnych źródeł dosyć pewnych, że baronówna nie bardzo chętnie słowo dała narzucenemu jej Romanowi, nastroczało się więc gwałtownie to niezmiernej wagi dla całego sąsiedztwa pytanie, czy zgon starego hrabiego jej postanowienia nie zmieni. Zdania były bardzo podzielone, lecz większość pocieszała się tą nadzieją, że swobodniejsza Lola zapewne stosowniejszy wybór uczyni. Każdy z tych panów uważał siebie za najstosowniejszego. Jednym słowem, śmierć ta, zamiast żalu, niemal uczucie wyswobodzenia wzbudziła.

Po powrocie z Pruhowa baronówna smutna zamknęła się u siebie, po cichu tylko rozmówiwszy się z Herma, która daleko mniej od niej dowiedzieć się mogła, niż się spodziewała. Zwróciła się więc do cioci Nieczujskiej, którą wyspowiadała szczegółowo, ale i od niej wielkiego światła zaczerpnąć nie po-

¹⁹⁶ *lettres de faire part* (fr.) - listy zawiadamiające

¹⁹⁷ *litografia* (gr.) - rodzaj techniki graficznej; tu: zakład litograficzny

¹⁹⁸ *akomodujący się* (łac.) - przystosowujący się, godzący się

trafiła. Nazajutrz uderzyło wszystkich, że baronówna w ciągłej zadumie jakiejś, patrząc i nie widząc, roztargniona, słowa się do nikogo prawie nie odzywała. Dopiero wieczorem Nieczujski jakoś potrafił zawiązać rozmowę, która się przeciągnęła do późna.

Herma jak najtroskliwiej czuwała nad tym, ażeby jej nikt nie przerywał. Właśnie siedziała na straży, nieznacznie przysłuchując się dochodzącym ją słówkom, gdy służący ją tajemniczo wywołał. Wyszła, nie mogąc domyśleć się, o co chodziło.

W sieni stał zaczajony Bończa, ujrzała go z nadzwyczajnym zdziwieniem: godzina była późna, odwiedziny kazały się domyślać jakiegoś wypadku. Bończa w długich butach, obryzganym błotem, widocznie tylko co był zsiadł z konia. Herma podbiegła do niego na palcach, z oczyma pałającymi ciekawością. Co to jest?

– Chciałem pierwszy oznajmić państwu smutną wiadomość, do której pani przygotujesz może baronównę... Wiemy z pewnością, że hrabia Filip umarł.

Zrazu Herma załamała ręce, bo się zwykle mimowolnie tym ruchem objawia podziw i przerażenie, wprędce jednak uspokoila się jakoś.

– Czy to pewno?

– Najpewniej... w miasteczku już przygotowania do pogrzebu czynią.

Bończa, zrozumiawszy, iż długo zabawić nie wypadało, ucałował pulchną rączkę pięknej pani, zakręcił się i zniknął.

Namyślając się, z wolna weszła Herma znowu do salonu i za pierwszym wejściem poznała, iż zajęta rozmową z panem Adolfem Lola nie postrzegła nawet jej zniknięcia i powrotu. Mogłaby więc była siaść na swym miejscu i tajemnicę jakiś czas zatrzymać przy sobie, ale tak piękna nowina w łonie tak żywej istoty jak Herma długo się ostać nie mogła – kręciła się na krześle, myślała i pierzchnęła co rychlej, aby do sekretu i narady przypuścić ciocię kapitanową.

Ta siedziała nad swoją pończochą nic się nie domyślając, gdy Herma wpadła wystraszona, okazując, że z czymś przybiegła ważnym, opatrzyła wszystkie drzwi i tak się poczęła zwijać niespokojnie, przygotowując do wyznania, iż ciocię nastraszyła.

– Co pani jest? na Boga? co pani się stało?

– Zlituj się, kapitanowo, cicho! cicho! żeby się Lola nie domyśliła.

– Czegóż? czegóż?

– Żeby się nie postrzegła...

– Lecz cóż się stało?

Dopiero nachyliwszy się do ucha. Herma szepnęła:

– Niestety, stary hrabia umarł.

Nieczujka głośno w ręce plasnęła.

– A nie mówiłam! – zawołała – ja, widząc go, czułam, że nie pociągnie, jeszcze się zmógł tą rozmową, poruszył... Lecz skądże wiadomość?

– Najpewniejsza, Bończa ją przywiózł. Cóż teraz pocniemy? co myślicie, jak sądzicie? co Lola zrobi? czy dotrzyma słowa? – ale to nie może być! Moja kapitanowo, co pani sądzisz? mów, ja głowę tracę!

Trzepała tak, sypiąc pytaniami, że Nieczujka do słowa przyjść nie mogła.

– Kto tu teraz przewidzieć potrafi, co się stanie? – rzekła w końcu – kto zgadnie, co się w jej sercu dzieje?

– Ale juściż go nie kocha?

– Tak, opiekuna jednak kochała...

Kapitanowa potrząsnęła głową.

– Powiedzieć jej, przygotowywać? czy taić przed nią? – spytała pośpiesznie Herma. – Mów, ciociu, mów, ty ją może znasz lepiej.

– Bończa mógł zbałamucić, mogli go ludzie zawiadomić fałszywie. Może to pogłoska nieprawdziwa... po cóż ją nabawić niepokojem – przemówiła kapitanowa. – Dano by nam przecież znać wprzód niż innym.

Kończyła ledwie, gdy wprowadzono posłańca z Pruhowa z listem. Zapieczętowany był lakiem czarnym...

Herma pochwyciła go prędko, zobaczyła adres do baronówny, poczęła obracać na wszystkie strony i nagle zapytała posłańca:

– Umarł hrabia?

– Jaśnie pan skończył – rzekł cicho stajenny.

Dwie kobiety spojrzały po sobie, odprawiono posłańca do stajni. Ciocia Nieczujka nie bardzo wiedziała, co począć. Herma z trudnością mogła utrzymać w sobie tajemnicę.

W salonie tymczasem pan Adolf, zostawiony sam na sam z kuzynką, prowadził spokojną i bardzo ożywioną rozmowę. Nie postrzegali się oboje, jak czas upływał szybko. Mówiono o wszystkim, o świecie, ludziach, losach, a Lola w usposobieniu smętnym utrzymywała, że są fatalizmy, przeznaczenia i nieuniknione dole.

Przeciwnie Nieczujki, starał się jej dowieść, iż wola człowieka, gdy odważnie stanie do walki choćby z tą tajemniczą siłą, która losem się zowie, często z niej wychodzi zwycięsko. Sprzeczali się i zgadzali, rozumieli dziwnie, i Lola nie mogła się powstrzymać od naiwnego wyznania, które rumieńcem okryło twarz Adolfa, iż z nikim tak swobodnie, tak miło, tak otwarcie jak z nim wymienić myśli nie mogła.

– Niech kuzynka wierzy – odparł Nieczujki – iż mnie to nieporównanie większą czyni przyjemność niż jej. Pani znajdujesz łatwiej w tych kręgach, w których się obracasz, ludzi nawykłych do zastanawiania się nad podobnymi zadaniami, ja, choć się na towarzystwo uskarżać nie mogę, najczęściej muszę być z ludźmi, którzy tylko interesa materialne życia pojmują i cenią. Dla nich to, co poza nimi leży, zowie się próżną mrzonką. Był czas, żeśmy w istocie może do zbytku marzyli, ale dziś, przyznając to, pozytywizm obrał z nas ducha, zniżył poziom myśli będących w obiegu, uczynił rozsądnymi do zbytku, ale istotami bez polotu.

– Dlaczegoż się pan zamykasz w swym towarzystwie? – spytała Lola.

– Inne byłoby dla mnie nieprzystępnym dla wielu różnic w przekonaniach... Są przy tym powody uboczne, których wyliczać trudno.

– A! to pan, przebac mi, że mu to powiem – odezwała się baronówna rumieniąc nieco – jesteś do zbytku nieśmiały i nadto ostrożny...

– Jak to pani rozumie?

– Widzę to nawet z jego obejścia ze mną – rzekła Lola otwarcie – gdybym ja niemal gwałtem nie wciągnęła pana w tę miłą dla mnie rozmowę, która mnie karmi i uspakaja, mówiłbyś pan chyba z drugiego końca salonu o pogodzie.

Uśmiechnął się Nieczujki.

– Boję się być natrętnym.

– Dumnym pan jesteś do zbytku – mówiła baronówna – nie chcesz się nastroić nikomu... zmuszasz, by się mu kłaniano.

– A! nie, ale wolę pozostać na uboczu – rzekł Nieczujski zapominając się – ale wolę nie nawykać do zbyt wielkich przyjemności, aby za nimi i do nich nie tęsknić.

– Przynajmniej za Gromami nie zateśknisz pan pewnie, boś tu niewiele miłych, a dużo niesmacznych godzin przepędził.

Adolf spojrział na nią.

– Przeciwnie – rzekł – pobyt mój tutaj policzę do najmilszych wspomnień życia. Zatrulo mi go tylko to, że patrzeć muszę na położenie pani, które we mnie dziwne obudza uczucia.

– Fatalizm! – odparła Lola.

– I trochę słabości – dodał Adolf – z energiczniejszą wolą można by wyjść z tego położenia zwycięsko.

– A, nie znasz go pan jak ja!

Wchodząc właśnie z zarumienioną mocno wzruszeniem twarzą do salonu, Herma zwróciła uwagę gospodyni i przerwała dalszy ciąg rozmowy.

Lola popatrzyła na nią i uderzyła ją więcej niż wszystko malująca się w jej ruchomych rysach jakaś niecierpliwość i niepokój. Nikt mniej nad nią nie umiał ukryć się z uczuciem, jakiegokolwiek ono było natury.

– Co ci jest. Hermo? – spytała Lola.

– Mnie? ale nic, nic a nic! zaręczam.

Powiedziała to takim głosem, iż z niego się domyślił nawet pan Adolf, że coś zająć musiało. Wejrzenie na Herme potwierdziło go w tym przekonaniu.

Piękna pani usiadła, wzięła jakąś robótkę, porzuciła ją, otworzyła książkę i odsunęła, w ostatku rozparła się w krzesło, spuściła głowę i udawała spokojną, ale jak najniezręczniejszą.

Nieczujka tymczasem, namyśliwszy się, powiedziała sobie w duchu:

– Cóż to ona, dziecko czy co? Trzeba, żeby się uczyła żyć i cierpieć...

Otworzyła drzwi powoli i list trzymając w ręku zbliżała się ku Loli.

– Podobno staremu hrabiemu bardzo się pogorszyło – odezwała się, zwlekając jednak nieco oddanie listu.

Usłyszawszy to Lola zerwała się nagle i zawołała:

– Hrabia umarł!

Wszyscy milczeli, Lola spojrziała zdziwiona – nikt nie zaprzeczał. Baronówna stała cała drżąca, opierając się o stół w oczekiwaniu.

Najśmielsza kapitanowa, chwilę jej dawszy na oswojenie się z tą myślą, odezwała się:

– No tak, nie ma co taić. Umarł hrabia...

W milczeniu baronówna upadła na kanapę, sparła się na rękę i zakryła oczy. Nieczujka z wolna podsunęła jej list, który leżał nietknięty. Poznała na nim Lola kaligraficzne pismo hrabiego Romana...

Herma, której ciekawość okruszynami nawet karmić się lubiła, wzięła na siebie wyłączenie w rozpieczętowaniu, rzuciła okiem na pismo i podsunęła je przyjaciółce. W niewielu wyrazach Roman dawał znać o poniesionej stracie, a że jako narzeczony nie uznał właściwym podpisać się „najniższym sługą”, a nie wypadało mu w tej chwili przypominać się z tytułem do ręki baronówny, po długim znać namyśle położył podpis nazwiska bez żadnej kwalifikacji.

Zdobna pieczęć na kopercie uderzała rozmiarami olbrzymimi, zawierała bowiem wszystkie herby koligacyjne, godło i armatury¹⁹⁹ przepyszne. Ręka piszącego zdradzała człowieka, któremu sroga boleść nie przeszkadzała do pisania na liniach i pamiętania o rysunku liter...

Jeszcze bardziej niż listowi samemu Herma przypatrywała się twarzy przyjaciółki, usiłowała w niej wyczytać przyszłość, której była ciekawą, lecz baronówna płakała w tej chwili, płakała ze szczerego żalu po człowieku, który ją kochał... i myślała o przyszłości. Nie przyszło jej nawet do głowy przypuszczać, że ten wypadek mógł potargać węzły, które jej ciążyły, zdawało jej się przeciwnie, że słowo dane zmarłemu śmierć czyniła świętszym i nieodwołalszym jeszcze.

Adolf, nie chcąc być natrętnym, wymknął się zaraz po cichu. Nieczujnska, widząc się niepotrzebna, poszła za nim, dwie przyjaciółki same zostały... Milczenie trwało dość długo.

– Nie dziwię ci się, że płaczesz – przerwała je w końcu Herma – ja po każdym umarłym płaczę... ale, moja Lolu, pozwól sobie powiedzieć, że ja temu najzaciejszemu z opiekunów nie mam za złe, iż przyśpieszył nieco nieuchronne już zakończenie dramatu. Teraz następuje żałoba, hrabia Roman ma czas pokazać się w całym blasku tym, czym jest, to jest najnieznośniejszym z ludzi, bom się na nim okropnie zawiodła, i nastreczy ci, nie wątpię, sposobności dania mu odkosza.

Baronówna oczy załzawione podniosła.

– Mylisz się, moja Herma – odezwała się – dałam słowo umierającemu, który na mnie włożył obowiązki, ufał mi, zdradzić go nie mogę, nie chcę, nie potrafię nigdy.

– A! to już heroizm, którego nie pojmuję – zawołała Herma – skłaniam przed nim głowę i milczę. Cała moja nadzieja, że hrabia Roman, widząc, że nie masz doń serca...

– Teraz mu to jak najmniej będę się starała pokazać – przerwała Lola.

– Chcesz gwałtem być ofiarą?

– Chcę, bo muszę.

– Są rzeczy niepojęte – dokończyła Herma – nie rozumiem nic...

Przyjaciółka rzuciła się jej na szyję wybuchając rzewnym płaczem, który jej mowę tamował. Łzy te najlepiej świadczyły, że wielką z siebie uczynić miała w istocie ofiarę, ale nieuniknioną.

Tak się skończył ten wieczór.

Nazajutrz rano posłaniec odjechał do Pruhowa bez żadnej odpowiedzi; gotowano się do pogrzebu.

Nowy list oznajmił, iż przysposobienia do tego obrzędu mającego się odbyć uroczyście, na którym Jego Eksceleńcja biskup diecezjalny miał celebrować, a kaznodzieja z Krakowa aż przybyć z egzortą²⁰⁰, zmusiły do odłożenia go do kilku dni.

¹⁹⁹ a r m a t u r a (łac.) - tu: ozdoby plastyczne w postaci zbroi lub oręza umieszczone wokół tarczy herbowej

²⁰⁰ e g z o r t a (łac.) - tu: kazanie, mowa pogrzebowa

Lola przywdziała grubą żałobę, hrabia Roman namyślał się długo, czyby mu wypadało w ciągu tego czasu między zgonem a pogrzebem odwiedzić Gromy, uznał wszakże, iż się wstrzymać powinien.

Nadszedł dzień naznaczony. Cały dwór baronówny, jej przyjaciółka, pani kapitanowa wyruszyli na pogrzeb; pan Adolf wybierał się z powrotem do domu nic nie mówiąc.

Prawie w chwili gdy już wyjeżdżać miano, dowiedziała się o tym baronówna. Stała już w czarnych kwefach²⁰¹ zebrana do podróży tej, gdy Adolf żegnać się począł.

– Ale to nie może być – zawołała, nie zważając na przytomnych i chwytając go za rękę – pan nie pojedziesz, pan mnie nie możesz opuścić w tej chwili! Pan Bóg pana zesłał dla mnie, ja go potrzebuję, ja proszę!

Widząc, z jaką żywością Lola rozpoczęła rozmowę, Herma pod pozorem zapomnianego czegoś uciekła. Ciocia Nieczujka stała opodal posępna.

– Panie Adolfie – dodała nie puszczając jego ręki – ten, co był moim opiekunem, umarł, jestem sama na świecie, niedoświadczona, sierota... Jesteś mi krewnym, mam dla was sympatię, przyjaźń, szacunek... pan mnie nie opuścisz...

– Ale, moja droga baronówno – wmieszała się kapitanowa, widząc, że Adolf zbladły milczy – nikt ci nie jest wdzięczniejszy nade mnie za dowód twej łaski i zaufania dla poczciwego mego Adolfa, tylko... tylko widzisz, on także ma obowiązki i interesa, on bo musi...

Lola patrzyła, nie słuchając, na Adolfa, trzymała jego rękę i cała była drżąca.

– Zostań pan! – powtórzyła.

Nieczujski skłonił się, pocałował ją w rękę i nic nie odpowiedział.

Milczenie oznaczało posłuszeństwo. Baronówna już miała, uspokojona, siąść do powozu, gdy nagła myśl uderzyła ją, iż Nieczujski, pozostawszy w Gromach, rozważyć może, odmienić zdanie i uciec.

Odwróciła się od drzwiczek otwartych.

– Ale pan jedziesz z nami?

– Ja? – zapytał Adolf zdziwiony.

– Tak, pan jedziesz – dodała rozkazująco baronówna.

– Nie jestem przygotowany...

– Dogoń pan nas, jak chcesz, ale daj mi słowo.

Adolf i na to się zgodził. Powozy odchodziły, a on jeszcze stał w ganku zadumany i jakby złamany niespodzianym wypadkiem. Główna Hermy, odjeżdżając, wychyliła się uśmiechnięta ku niemu z wyrazem szyderskiego zwycięstwa.

– Jestem szalony! – mówił do siebie Adolf – jestem słaby... jestem niezrozumiały samemu sobie.

Tarł ręką po czole.

– A tak! – dodał – są fatalizmy, są przeznaczenia, które w najspokojniejsze życie mogą wrzucić ziarna, co je jak mur rozsadzają... Co dalej? na Boga? co dalej...

²⁰¹ k w e f (fr.) - pod koniec XVIII w. żałobne przybranie głów kobiet

Wtem konie, które nakazano co najprędzej zaprząć, zabiegły po pana Adolfa. Poszedł się ubrać i pojechał do Pruhowa.

Pogrzeb hrabiego Filipa odbył się naturalnie z całym przepychem i ostentacją, na jaką tylko mógł się zdobyć hrabia Roman. Herby jednak, którymi kościół został przyozdobiony, malowane naprędce przez niewprawnego artystę, wyszły spod jego ręki niezupełnie prawidłowo i dosyć fantazyjnie.

Kiru²⁰² nie żałowano ani świec, ani ludzi do orszaku, dla których szyto żałobę i płaszczki dniem i nocą.

Jednym słowem przepych był wielki. Zdaje się, że hrabia Roman musiał czyhać na przyjazd baronówny, czekał bowiem nań u drzwi, wprowadził do kościoła i osobne zapewnił jej miejsce, obok którego sam pozostał. Baronówna nie mogła się temu oprzeć, chociaż było to publicznym uznaniem praw pretendenta do jej ręki. Zwracało to oczy, ale hrabia Roman właśnie sobie tego życzył.

Po obrzędzie baronówna nie przyjęła jednak zaproszenia do pałacu i wprost do domu z całym dworem swym odjechała, co zresztą hrabia Roman znalazł, ściśle biorąc, prawidłowym.

Kilka dni zajęty czynności urzędowe, w czasie których śmiertelny postrach panował w Gromach, bo się spodziewano co chwila przybycia narzeczonego.

Baronówna była w szczególnym usposobieniu – nie dawała sobie nawet wspomnieć o tym, ażeby słowo dane złamać mogła, uważała się z nim związaną nieodwołalnie, a mimo to czuć było, że rada by zapomnieć o tym, co ją czekało, myśl nawet wszelką o tej konieczności oddalić.

Jakby rozerwać się pragnąc, zapuszczała się w długie, nieskończone rozmowy z panem Adolfem. Mówiła z nim o swoich interesach, wymagała, aby rozpoznał stan majątku, aby się obeznał z tyczącymi się go sprawami, a mówiąc o przyszłości, zdawała się istotnie zapominać czasami, że ona była na łasce mało jej dotąd znajomego człowieka.

Herma, aż do zbytku otwarta, mówiła jej śmiejąc się:

– Na mnie ty robisz takie wrażenie, jakbyś jutro istotnie wyjść za mąż miała, ale za pana Adolfa.

Przypuszczenie to, które mogło być obrazić Lolę, ani ją dziwiło, ani obruszało, ani zbijane było zbyt gorąco. Słyszając je baronówna wzdychała, spuszczała oczy i milczała.

Pan Adolf chodził chmurny jak noc i, widocznie w walce z samym sobą, ożywał się tylko, gdy z obojętnej w początku wpadał w jedną z tych rozmów nieskończonych z Lolą, z których Herma się wyśmiewała.

– Co wy z sobą całymi godzinami mówić możecie, do tego stopnia zajęci, rozstrojeni, że o Bożym świecie nie wiecie? – pytała.

– Zmiłuj się – mówiła Lola – to pierwszy mężczyzna, którego spotykam w życiu, co mnie rozumie i ja go rozumiem.

– *C'est beaucoup dire!*²⁰³ – kończyła Herma.

I nie było odpowiedzi.

²⁰² k i r (tur.) - czarne sukno żałobne

²⁰³ *C'est beaucoup dire!* (fr.) - To ważne słowa!

Do zachmurzonych twarzy w Gromach należała ciocia Nieczujaska. Nie kryła się z tym bynajmniej, że ten kuzynowski stosunek pana Adolfa był jej nieprzyjemnym.

– Ale bo nie wiedzieć, co to jest! – mówiła otwarcie Hermie. – Sama o tym nie wiedząc, bo to pocziwe dziecko, bałamuci mi Adolfa. Szczęście, że to człowiek stateczny, no a przypuściwszy drugiego na jego miejscu, głowę by stracił i gotowo by mu się nie wiedzieć co przyśnić. Po co kusić człowieka?

– Ale Lola w najniewinniejszej myśli szuka roztargnienia – mówiła Herma.

– Jać o tym przecie wiem – niecierpliwie dodawała Nieczujaska – a zawsze to nie do rzeczy... Ma narzeczonego...

Od pierwszego dnia po odebraniu wiadomości o zgonie Lola przywdziawszy żałobę, i choć do niej obowiązana nie była, nie zrzucała jej.

Zdaje się, że uważała ją za tarczę i ochronę od napaści hrabiego Romana, za słuszny powód do odroczenia tej godziny ostatniej, stanowczej, która ją przerażała.

Oczekiwanie na przybycie Romana przez dni kilka zatruwało spokój w Gromach, ale że się ani pokazał, ani listem zgłaszał, przestach ów minął jakkolwiek, zapomniano o nim trochę.

Tymczasem jednego dnia przed obiadem grom ten wiszący nad głową baronówny spadł wreszcie. Hrabia Roman w grubej żałobie, krepach, obszywkach, ze śpiłką czarną w chustce czarnej, z guzikami *en jais*²⁰⁴ u koszuli – zjawił się w salonie. Nie zastał w nim nikogo oprócz Adolfa, który z daleka go przywitawszy, miał sobie za obowiązek zawiązać rozmowę.

Hrabia Roman przyjął tę grzeczność rumieńcem oburzenia, odpowiedział półsłowem i odwrócił się, dając poznać aż nadto wyraźnie, iż żadnych bliższych stosunków zawierać sobie nie życzył.

Pan Adolf popatrzał nań długo z impertynenckim trochę wyrazem twarzy, siadł przy stole i zostawiwszy go stojącym wśród salonu, wcale już zajęty książką nie zważał na niego, ale nie wyszedł, bo takie było życzenie baronówny.

Wewnętrzny stan ducha młodego hrabiego dobitnie malował się na jego twarzy i w ruchach. Zdawało się co chwila, że wybuchnie, że popełni jakąś niedorzeczność, ale do tego zrazu nie przyszło.

Zimna krew pana Adolfa zwiększała i co chwila potęgowała gniew i rozdrażnienie Romana. Poczynał się przechadzać po salonie, coraz żywsze dając oznaki niecierpliwości, jakby pannie chciał dać do zrozumienia, że miał tu swe prawa i nie był z tych ludzi, którzy czekają.

Wpłynął ten zły humor na piękny zrazu układ włosów hrabiego Romana, które niespokojnie ręką rozgarniając, doprowadził do namiętnego nieładu nadającego mu fizjonomię desperata, niezgodną z jego naturą.

Baronówna, jakby naumyślnie to smutne *tete-a-tete* przeciągnąć chciała, nie wychodziła.

Dwa razy hrabia siadał i wstawał... pociągając jedną z czarnych rękawiczek urwał u niej guziki, chustkę zwinął w sposób najnieprzyzwoitszy, dobywając nieustannie zegarka skończył na tym, że minął się z kieszenią dlań

²⁰⁴ e n j a i s (fr.) - z gagatu (czarna, lśniąca odmiana węgla brunatnego dająca się polerować, używana do wyrobu przedmiotów ozdobnych)

przeznaczoną i dał mu zawisnąć na guziku od kamizelki, stworzeniu, jak wiadomo, słabym i urywaniu się podlegającym.

Blisko pół godziny minęło na tej mimice, Adolf, zatopiony w książce, czytał. Zabrakło znać cierpliwości hrabiemu, który żywo przystąpił do niego i odezwał się z przekąsem:

– Ponieważ pan w tym domu zdajesz się grać rolę gospodarza, raczże mnie pan objaśnić, jak długo mam oczekiwać na baronównę?

Adolf niezmiernie powoli podniósł głowę, popatrzył wkoło i rzekł zimno:

– O tym wcale nie wiem.

Hrabia stał naprzeciw niego nieporuszony.

– A! o tym pan nie wie! to zabawne!

Pomilczał chwilę nie ruszając się z miejsca.

– A pan tu jeszcze długo bawi? – odezwał się z przyciskiem.

– I o tym nie wiem – odparł Adolf. – Kuzynka życzyła sobie, bym pozostał.

– Kuzynka! – powtórzył hrabia – kuzynka...

Adolf popatrzał i za nim jak echo potwierdził głośno:

– Kuzynka.

Dalej nad tę impertynencję, której sobie pozwolił hrabia w chwili rozdrażnienia, nie śmiał się już posunąć. Postrzegł właśnie wiszący na guziku rewolucyjnie, nieprawidłowo, skandalicznie zegarek, pochwycił go i zapakował do kozy, to intermezzo²⁰⁵ zmieszało go i odjęło ochotę do dalszej rozprawy.

Począł chodzić po salonie.

Lola z Hermą weszły. Hrabia zbliżył się ku nim sztywnie. Wprzód jeszcze, nim go przywitała, baronówna zmierzyła oczyma obu panów zostawionych sam na sam i zrozumiała ich położenie. Nie wiedziała tylko, czemu je przypisać, czy dzikości Adolfa, czy niewłaściwemu znalezieniu się hrabiego.

Powitanie było ceremonialne bardzo. Lola pochyliła się zaraz do Adolfa i szepnęła półgłosem:

– Czemużeś pan nie zabawił hrabiego, aby mu czas skrócić?

– Próbowałem – ciszej odparł Adolf – ale mnie odprawiono z dodatkiem niezbyt przyjemnym.

Oczy Loli błysnęły gniewem i pobiegły na narzeczonego, który siedział z dumą konsularną na fotelu.

Położenie stawało się przykre. Na licu gospodyni wypalony rumieniec nie schodził, szarpała w rękę chusteczkę.

– Piękną mamy pogodę – odezwała się, jakby tylko dla uspokojenia sumienia, do Romana.

– Jak na tę porę, prześliczną...

Nie czekając nawet tej odpowiedzi, z której Herma już się śmiać poczynała, Lola zerwała się z kanapki, skinęła na pana Adolfa i odprowadziwszy go do okna w drugim końcu salki, spytała nakazujące:

– Jak to było?

Nieczujski opierał się zrazu, ale potrafiła wymóc na nim powtórzenie tego, co mu hrabia powiedział, i szybkim krokiem wróciła na swe miejsce.

Zbierała się burza widocznie. Sam hrabia Roman poprzedzając ją chmury postrzegł na czole panny. Zdawało się jednak, że ją rozwaga zakłać potrafiła.

²⁰⁵ i n t e r m e z z o (wł.) - tu: krótka wstawka, przerwa

Baronówna z wolna ostygła, opanowała się i poczęła o czymś obojętnym. Herma się wmieszała do rozmowy, nie unikał jej Nieczujski i tak jakoś z biedą przeszedł czas do obiadu. Lola tylko z wielką odwagą i stanowczością grała poważnie rolę gospodyni. Hrabia, choć się nie udobruchał, bo przebaczyć nie mógł, że mu tak długo, i to jeszcze w towarzystwie czyimś, czekać kazano, stał się znośnym.

Obiad przeszedł bez wypadku.

W pochodzie nazad do salonu hrabia Roman wyraził życzenie poufnej rozmowy, która mu chętnie została udzieloną. Lola, nie czekając dłużej, weszła z nim do otwartego gabinetu. Hrabia, który tak rozmowy pragnął, wobec niej stracił nieco odwagę, przychodziła mu za spiesznie.

– Pragnąłem... – rzekł cedząc nieco – życzyłem sobie pomówić z panią o wspólnych interesach.

– Dotąd o wspólnych jeszcze nie wiem – odezwała się Lola spokojnie.

– To jest względem ślubu – dokończył hrabia.

Baronówna nie tak prędko zebrała się na odpowiedź.

– Hrabia Filip był dla mnie czułym ojcem – rzekła – noszę po nim żałobę i nie sędzę, abym ją zrzucić mogła przed zwykłym rokiem i sześciami niedzielami.

– Hrabia, mój stryj, przewidując swój zgon – rzekł Roman – wyraził życzenie, ażeby żałoba nie była do ślubu przeszkodą.

– W tym jednym woli jego dopełnić nie mogę – przerwała baronówna – potwarzam, nie mogę.

Hrabia milczał obracając kapelusz.

– Więc pani każe mi czekać rok i sześć niedziel?

– Nie ja, ale żałoba.

– Ściśle biorąc – odezwał się Roman – tylko ja do żałoby jestem obowiązany. Radziłem się ludzi doświadczonych, dla pupilów terminem najdłuższym bywało sześć niedziel.

– Ja radziłabym się tylko serca mojego – odpowiedziała Lola – a to mi każe nosić żałobę dziecka.

Znowu przerwała się drażliwa rozmowa, hrabia poprawiał włosy i coraz je gorzej gmatwał.

– Lecz przez rok chyba baronówna będzie musiała prosić o naznaczenie opieki? Prawo tego chce.

– Mówiono mi o tym i stosując się do niego żądałam, aby naznaczono pana Adolfa Nieczujskiego, mego kuzyna.

Zaczerwieniony mocno hrabia cofnął się krok zaciskając usta mocno.

– Przy tej zręczności – kończyła panna – mam hrabiemu do uczynienia wymówkę. Słyszałam wypadkiem jego rozmowę z panem Adolfem.

– Słyszała pani?

– Tak jest, i nie kryję panu, że mi się nie podobała, że mnie obraziła.

Roman zaczerwienił się z gniewu.

– Ale mnie obraża pobyt jego tutaj.

– Dlaczego? – spytała baronówna.

– Bo pobyt przedłużony nie jest przyzwoity, bo to jest jegomość nie na swym miejscu w salonie pani.

– Nie wiem, czy hrabia sobie przypominasz naszą pierwszą rozmowę – poczęła gospodyni usiłując się okazać spokojną. – Zapowiadałam panu, że so-

bie wymawiam zupełną swobodę postępowania. Przyjmuję w moim domu, kogo mi się podoba, i nie pozwolę nikomu rządzić się tu za mnie.

Hrabia Roman spuścił głowę.

– Pani raczy wejść w moje położenie, są rzeczy, których ja od narzeczonej wymagać mam prawo.

– Nie uznaję tego prawa, hrabio Romanie! – zawołała Lola. – Pan Adolf jest mi potrzebny, jest mi miły i dla fantazji pańskiej wcale nie myślę go stąd oddalać.

Hrabia zamyślił się długo, westchnął.

– A gdyby do tego przyszło, że jeden z nas dwóch oddalić się musi? – wyjąknął gniewnie.

Lola zamilkła, jakby oddech wstrzymując w sobie, jakby wybuch hamowała...

– Uczynisz pan, jak mu się będzie zdawało, ale pan Adolf nie odejdzie.

Bładość chorobliwa okryła twarz człowieka, który widocznie mniej miał odwagi, niż jej okazał pod naciskiem chwilowego rozdrażnienia. Widząc, że się los jego ma rozstrzygnąć, rad by był powrócić do pierwszego położenia, a cofnąć się duma nie pozwalała.

Czuł, że popełnił niedorzeczność. Rok i sześć niedziel żałoby dawał mu czas do trzeźwiejszego rozmysłu, pośpiech ten, prawie bez powodu, wydawać się musiał dziecinnym.

– Pani więc odwołujesz swe słowo i sprzeciwiasz się woli nieboszczyka? – dodał półgłosem.

– Nie, bom dając słowo, przypomnij sobie, stawiała warunki, do których się odwołuję.

– Cóż mi pozostaje? – spytał Roman.

– Zostawiam panu rozstrzygnięcie – żywo dorzuciła baronówna.

Stał jeszcze przez chwilę hrabia, jakby wahając się, co począć. Duma wzięła wreszcie górę nad innymi uczuciami.

– Przybyłem tu – przebaknął niewyraźnie – wioząc pierścionek przeznaczony niegdyś przez nieboszczyka do zaręczyn, nic mi nie pozostaje, jak dając pani czas do namysłu, uwolnić ją od mojej przytomności.

Skłonił się, a wtem baronówna dodała pośpiesznie:

– Czasu do rozmysłu ani potrzebuję, ani przyjmuję. To, czego pan wymaga po mnie, jest niepodobieństwem. Jest to mój jedyny krewny, nie kryję panu, że dla niego mam szacunek i przyjaźń szczerą.

– To jedno, iż ten pan jako kuzyn znajdować by się musiał w naszym przyszłym salonie, czyni dla mnie tolerowanie tego stosunku niepodobnym.

Lola uśmiechnęła się, lecz w oczach jej widać było politowanie.

– Zmuszasz mnie pan, abym przy rozstaniu z nim stała się niegrzeczną – rzekła zniżwszy głos do szeptu prawie. – Czyż hrabia sądzisz, że dla mnie, a ze mną może i dla wielu osób tajemnicą jest stan pańskich rodziców i ich położenie?... A pan wyrzucasz mi pokrewieństwo to i człowieka, na którego wartości się nie poznałeś?

Piorun, który by uderzył w niego, straszniejszego by na hrabi Romanie nie wywarł skutku nad te ciche słowa, które go do ziemi przybiły.

Stał się innym człowiekiem.

Być może, iż Lola sama pożałowała słów wyrzeczonych, których powstrzymać nie umiała, tak upokorzonym go ujrzała, tak straszliwie zmienionym... Drżał cały oglądając się dokoła.

– Jeśli stryj zwierzył pani tę tajemnicę, którą pragnął mieć ukrytą – rzekł – bo inaczej nie pojmuję, jak by ona do niej dojść mogła, nie godziło się...

– Godzi mi się oznajmić panu, że ten zacny opiekun, którego szanuję pamięć, dla mnie nie miał tajemnic. Rzecz ta pozostanie, bądź co bądź, między nami, chociaż w mych oczach nieboszczyk dał dowód słabości.

Zamilkła, Roman podniósł głowę bladej.

– Mam pani słowo...

– Nie wydam pańskiej tajemnicy, bądź pan pewnym – rzekła ruszając ramionami – bobym nieboszczykowi uchybiła i drogiej jego dla mnie pamięci.

Roman nie miał siły już dodać ani słowa, skłonił się z daleka.

Było to pożegnanie. Szybkim krokiem wyszedł do salonu, przechodząc przezeń skłonił się raz jeszcze wszystkim i zniknął. Konie znać stać musiały przed gankiem, gdyż wkrótce później powóz ruszył.

Lola nierychło powróciła do salonu.

Potrzebowała zebrać myśli, oprzytomnieć, uspokoić się, siadła w gabinecie sama, sparła głowę na rękę, zadumała się. Łzy potoczyły się z oczów. W takim stanie znalazła ją Herma, która weszła niespokojna i przestraszyła się widząc rozplakana, przypadła do niej żywo.

– Lolu, co ci jest? co się stało? Czego płaczesz? Ten nieznośny hrabia wyjechał. Zerwałaś z nim?

– Ja? nie!

– Cóż zaszło między wami?

– Nic nie wiem, nie pytaj mnie – mówiła przerywanymi słowy baronówna – nie rozumiem, co się stało... Nie wiem, co z tego wyniknie.

Herma nic więcej dowiedzieć się już nie mogła. Błagała na próżno. Domyśliła się jednak łatwo, iż rozeszli się w nieporozumieniu.

Wieczorem baronówna dla bólu głowy zamknęła się w pokoju.

Nazajutrz ukazała się znacznie spokojniejszą, patrzyła tylko w okno, jakby czekała na coś, i pierwsza postrzegła z południa przybywającego w wielkiej żałobie masztalerza²⁰⁶ z Gromów, który przywiózł list do niej.

Trzech posłańców jeden po drugim pobiegło po to pismo, lecz gdy je przyniesiono, Lola nie miała go siły otworzyć... Brała je po kilkakroć w ręce i rzucała z przestachem.

Przyjaciółka, patrząc na to zniecierpliwiona, wzięła na siebie rozerwanie koperty... przebiegła ją oczyma i z okrzykiem radości podała Loli. Obie zaczęły czytać pospiesznie.

List wystylizowany znakomicie i przypieczętowany wielką pieczęcią domu Zebrzydowskich, pokorny, uniżony, błagalny niemal uwalniał baronównę od danego słowa. Hrabia, przekonawszy się, iż serca pozyskać nie był szczęśliwym, praw swych się zrzekał.

– Jesteś wolną! to rozumniejszy daleko człowiek, niżem się spodziewała! – klaskając w dłonie zawołała Herma.

Potem nachyliwszy się do ucha Loli, szepnęła ledwie dosłyszczanym głosem:

²⁰⁶ m a s z t a l e r z (czes.) - starszy stajenny mający nadzór nad służbą stajenną, końmi i uprzężą

– Mimo wszystkich hrabiów i baronów okolicy idź ze mną o zakład, że za rok i sześć niedziel będziesz panią Adolfową Nieczujską... tylko zmiłujcie się, kupcie sobie choć mizerne baronostwo!

Lola odepchnęła ją z lekka i niby gniewnie.

– Nie wiedzieć, co pleciesz! – odezwała się.

Zdaje się wszakże, iż Herma trafnie bardzo odgadła, bo wprawdzie nie w rok i sześć niedziel, ale w półtora roku, za trzeciej już bytności pana Adolfa w Gromach odbyły się zaręczyny, a wkrótce potem ślub, po którym państwo młodzi na kilka miesięcy do Włoch wyjechali.

Hrabia Roman, zrzuciwszy żalobę, puścił się w wielki świat stolicy galicyjskiej, przebywszy jedną zimę we Lwowie. Tu jednak, chociaż przez część towarzystwa wysoko był cenionym, scena dlań wydała mu się za szczupłą. Na zimę następującą wybrał się do Wiednia, tu uczuł się dopiero całkowicie w swym żywiole. Dobra wypuszczone zostały dzierżawą z ekscepcją²⁰⁷ jednego folwarku z pałacem w Pruhowie.

Tej pamiętnej zimy, która o przyszłym losie jego stanowić miała, hrabia Roman poznał w najlepszym towarzystwie wiedeńskim wdowę jeszcze młodą, uchodzącą za bardzo bogatą, znacznego domu i mienia na Węgrzech, bezdzietną, piękną i tak wielkiego tonu i dystynkcji, iż ideałem mu się wydała. Salon jej i dom przybytkiem był mody, elegancji i tej wyszukanej wykwintności form, do którego hrabia tak nadzwyczajną przywiązywał cenę. Podobała mu się czarodziejka z czarnymi oczyma i mimo dwóch pułkowników dobił się szczęśliwie pięknej, białej i czule ścisnąć umiejącej dłoń jego rączki.

Czy był szczęśliwym, historia nie powiada, a czytelnicy sami się tego domyśleć powinni.

Meran 1873

²⁰⁷ e k s c e p c j a (łac.) - wyjątek